

ANNA KUSIAK

PRĘDZEJ CZY PÓŹNIEJ,
PRAWDA ZAWSZE WYJDZIE NA JAW

PROCHY



Ten ebook jest chroniony znakiem wodnym

ebookpoint.pl Kopia dla:

Mena Es mena2015@interia.pl G12192351705

mena2015@interia.pl

ANNA KUSIAK

PROCHY



PROLOG

Listopad 1999 roku

Noc miała zapach spalonej ziemi. Dym z kominów kłębił się w rzednym mroku, osiadając węglowym pyłem na białym, pierwszym tej zimy, śniegu. Zbliżał się świt.

Jak każdego ranka Agnieszka Świątkowska wyszła przed pracą z psem. Nie mogła go zostawić na podwórku, bo miała nieogrodzony dom i wredną sąsiadkę, która wściekała się, gdy tylko zobaczyła Lalkę biegającą luzem. Oczywiście, mogła uwięzić ją na łańcuchu, przy budzie, lecz było jej zwyczajnie żal psiska, bo kilka ostatnich listopadowych dni zmieniło się w śnieżną apokalipsę.

U nich, w Trzcinicy, i tak sytuacja nie wyglądała tak źle, jak kawałek dalej w świętokrzyskim i małopolskim. Co prawda spadło trochę śniegu i drogi stały się śliskie, ale ogólnie dało się żyć. Tyle że mróz chwycił i znowu musiała palić w piecu.

Agnieszka niechętnie rozgarnęła butem kupkę śniegu, czekając, aż suka załatwi swoje potrzeby. Ta jednak, zamiast zrobić, co miała zrobić, zaczęła ciągnąć ją w kierunku lasu.

– Gdzie idziesz? – burknęła niechętnie. – Wracaj – dodała bez przekonania. Było jej zimno, w dodatku powoli zaczynało jej się spieszyć.

Powinna jeszcze dołożyć do pieca przed wyjściem, by nie wygasło za wcześnie, a przecież jeszcze musiała się przebrać i umalować, i zdążyć na autobus do Jasła. Zerknęła na zegarek. – No już, chodź. – Pociągnęła lekko za smycz.

Lalka jednak za nic miała to, że pani się spóźni i dostanie burę od szefa.

– No dokąd idziesz?! – zdenerwowała się. Pies ciągnął coraz mocniej, nie odpuszczając. – No dobra, ale tylko na chwilę i wracamy – skapitulowała, wchodząc za zwierzęciem do lasu.

Pomiędzy drzewami było ciemno, jednak jasny śnieg wyraźnie odcinał się od pni. Suka obwąchiwała okolicę i w końcu zatrzymała się przy płytkim jarze, zawalonym śmieciami. Kolejne nielegalne wysypisko śmieci. Wywożenie złomu do lasu było prawdziwą plagą w okolicy.

– I co? Zadowolona?

Lalka obeszła dół, po czym zanurkowała w stercie gratów. Były tam i stara pralka, a przynajmniej drzwiczki od niej, popękane, łazienkowe płytki i mnóstwo jakichś części, nie wiadomo właściwie od czego. Agnieszka nie spodziewała się takiego zachowania po zazwyczaj jednak ułożonym psie i wypuściła smycz z ręki.

– Wracaj! – Tupnęła nogą rozeźlona. – Do nogi! Lalka!

Zero reakcji.

– Lalka!

Chwilę stała, przyglądając się obojętnie, jak pies grzebie w swoich skarbach. W sumie chętnie nie poszłaby dzisiaj do roboty. Było okropnie zimno, najpierw wymarźnie na przystanku, potem w autobusie, a przecież jeden dzień nieobecności nikogo nie zbawi. Już rozmarzyła się, jak dzwoni do szefa i mówi mu, że nie da rady dojechać, odpocznie trochę, nadrobi całą stertę domowych obowiązków, które zbierały się od

kilku tygodni. Zaraz jednak zeszła na ziemię. Przecież potrąci jej to z pensji, a na to nie mogła sobie pozwolić. Powinna być wdzięczna, że w ogóle przy obecnym bezrobociu ma pracę.

Zerknęła ponownie na zegarek. Czas kurczył się w zastraszającym tempie. Jeszcze chwila i będzie musiała zrezygnować z makijażu. Na podłożenie do pieca już właściwie nie było szans.

– Lalka! Lalka!

Pies wciąż nie reagował.

– Dobra, idę po ciebie! – fuknęła gniewnie. – Ale jak cię już złapię, to...

Zwierzę zastygło w bezruchu, po czym zamachało ogonem. I nagle suka sama odwróciła się i podbiegła do swojej pani. Agnieszka patrzyła na to jak zaczarowana. A jednak psy są jeszcze mądrzejsze, niż się o nich mówi.

– No, chodź, pieseczku, chodź, musimy wracać – powiedziała czule. Lalka podbiegła do niej radośnie, trzymając swoje znalezisko w pysku. – Dobry piesek, dobry, ale co ty tam właściwie masz?

Suczka ponownie zamachała radośnie ogonem, po czym spuściła łeb i położyła swój skarb przed panią.

Agnieszka pochyliła się i zamarła w bezruchu identycznie jak pies przed chwilą.

Na białym śniegu leżała ludzka ręka.

ROZDZIAŁ 1

Strzepnięty popiół spadł na parapet, znacząc go szarymi drobinkami. Dobrosława zaciągnęła się mocno, by po chwili wypuścić kłąb dymu za okno. Przez chwilę patrzyła, jak papierosowa chmura ulatuje na zewnątrz, po czym rozsnuwa się na tle złocących się w jesiennej aurze wzgórz.

Była w Trzcinity. Była w domu.

Po śmierci Karola nie potrafiła odnaleźć się w Rzeszowie. Każde wyjście z mieszkania, każde spojrzenie za okno przypominało jej o tym, co się stało, o tym, do czego sama doprowadziła. Odruchowo zerkała w stronę parkingu przy Tesco, zupełnie przypadkowo spoglądała tam przez szybę, szukając skrawka tego miejsca, gdzie ostatni raz się spotkali, gdzie wszystko mogło się zacząć od nowa, lecz zamiast tego – nieodwołalnie się skończyło. To było silniejsze od niej.

Wiedziała już, że istnieje tylko jeden sposób, by mogła przeciąć te emocjonalne więzy: przeprowadzka. Musiała opuścić przytulne mieszkanie na Nowym Mieście, zmienić otoczenie, widok za oknem i wszystkie te drobne niteczki, które łączyły ją z wydarzeniami sprzed trzech miesięcy.

Zanim jednak poskłada swoje życie na nowo, powinna odpocząć. Niewielka podkarpacka wioska tuż za Jasłem była idealnym miejscem,

by nabrać trochę dystansu do tego, co wydarzyło się ostatnio w jej życiu. Spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i wróciła do odległej przeszłości. Gdzie mogła się schować ze swoimi uczuciami jak nie w domu? Już raz to zresztą przerabiała.

Rodzice o nic nie pytali, wiedzieli o całej sytuacji, choć nie ze wszystkimi szczegółami. Jej siostra Ludmiła potrafiła być dyskretna.

Zaciągnęła się kolejny raz i wtedy usłyszała odgłos zbliżającego się samochodu. Odruchowo zagasiła papierosa i wrzuciła do popielniczki, zaraz jednak zreflektowała się, że w końcu nie ma już nastu lat i że wszyscy doskonale wiedzą, że znowu zaczęła palić. Stare nawyki były jednak silniejsze.

Na podwórku zatrzymała się szara skoda. Trzasnęły drzwi.

– Cześć! – zawołała Ludmiła, wysiadając z samochodu. – Nie pal tyle! – Pokiwała żartobliwie palcem, idąc w stronę drzwi wejściowych.

Dobrochna uśmiechnęła się kpiąco i wyszła do korytarza. Mijał trzeci dzień, od kiedy zjawiała się w rodzinnym domu, a słyszała od niej ten tekst już przynajmniej piąty raz. Pewnie padałby z jej ust i częściej, gdyby nie fakt, że Ludmiła wraz z mężem i dziećmi mieszkała na drugim końcu wsi. Jednak gdy tylko najmłodsza z sióstr wróciła na łono rodziny, przyjeżdżała codziennie z wizytą.

– Mamy jeszcze nie ma? – spytała, już w środku.

– Jeszcze nie. Ma dziś jakieś dodatkowe zajęcia w szkole w związku z akademią na Dzień Nauczyciela czy coś takiego.

Starsza siostra pokręciła głową.

– Że jej się jeszcze chce – mruknęła. – Ja na jej miejscu już dawno przesłabym na wcześniejszą emeryturę.

Marianna Machniewicz była historyczką i uczyła w miejscowej szkole. Prawdziwa nauczycielka z powołania nie zamierzała jeszcze rezygnować z pracy.

– A widzisz ją siedzącą w domu?

– W sumie nie. Zanudziłaby się na śmierć. – Ludmiła, wchodząc do kuchni, się roześmiała. Jak w większości domów, to tam znajdowało się jego serce i to tam zazwyczaj gromadzili się domownicy.

Usiadły przy stole. Ciepłe promienie przedpołudniowego słońca padały na drewniany blat, rozjaśniały wnętrze i sprawiały, że wszystko zdawało się bardziej radosne. I w tym samym momencie, gdy Dobrochna o tym pomyślała, coś mocno piknęło ją w okolicach serca.

Na próżno próbowała wmówić sobie, że to nie jej wina, że nic nie mogła zrobić. Tak, była winna. Tak, wszystko mogło się inaczej skończyć.

Czy żyliby długo i szczęśliwie jak w bajce? Czy może po płomiennym rozkwicie nadszedłby równie ognisty koniec?

A może nic by się nie stało, może nie byłoby żadnego, nawet chwilowego happy endu?

Nieważne, jak mogłoby być, ale przynajmniej miałyby szansę tego doświadczyć, przekonać się na własnej skórze. Ten przywilej został jej odebrany i już nigdy nie dowie się, co by było, gdyby – zawsze z tyłu jej głowy będzie krążyć myśl, że coś mogło się zdarzyć.

Odruchowo skuliła ramiona i w tej samej chwili poczuła ciepłe palce na swojej dłoni.

– I jak tam? – spytała cicho Ludmiła.

Dobrosława wyprostowała się, starając się przegonić nadciągający mrok. Nadaremnie. On już był w jej środku, zagnieździł się tam i powoli

próbował zjadać ją od wewnątrz.

– Dobrze – odpowiedziała, starając się nadać temu jednemu słowu tyle werwy, ile mogła.

– Prawdziwie dobrze? – drążyła siostra.

– Na tyle dobrze, jak może być w tej sytuacji – powiedziała, próbując się uśmiechnąć.

Palce Ludmiły zacisnęły się mocniej.

– Wiem, jak to zabrzmi, ale wszystko w końcu się ułoży – szepnęła. – Wierzysz mi?

Dobrochna kiwnęła nieznacznie głową. Być może było tak, jak mówiła siostra, lecz w tej chwili nie mogła w to nijak uwierzyć.

Ludmiła chciała dodać coś jeszcze, lecz w tej samej chwili za oknem rozległ się odgłos silnika samochodowego. Podniosła wzrok, zerkając ciekawie przez firankę.

– To pewnie mama – powiedziała Dobrosława.

– Chyba tak.

Silnik zgasł, trzasnęły drzwi samochodowe, od domu i w korytarzu zastukotały obcasy.

– Tu jesteś. – Marianna Machniewicz weszła do kuchni, popatrzyła na młodszą córkę, po czym przeniosła wzrok na starszą. – Ty też już przyjechałaś? Chłopcy są jeszcze na próbie do szkolnej akademii, więc nie zabrałam ich ze sobą. – Położyła na wolnym krześle torebkę i podeszła do blatu kuchennego, by nalać sobie wody.

– A ty nie powinnaś być na tej akademii? – zdziwiła się Dobrochna. – Mówiłaś, że wrócisz później.

Marianna wychyliła duszkiem niepełną szklanę i odstawiła ją ze stuknięciem na stół.

– Powinam. Ale nie byłam w stanie. Musiałam wrócić, bo... Nie, to się po prostu w głowie nie mieści! Ledwo wytrzymałam na lekcjach!

Dobrochna z Ludmiłą wymieniły się znaczącym spojrzeniem. Coś się stało, coś było zdecydowanie nie tak.

Jakby na potwierdzenie tych słów matka nerwowo odstawiła puste naczynie do zlewu, przeszła przez kuchnię, usiadła na sekundę na krześle, po czym znów wstała, by z szafki wyciągnąć czystą szklanę i znów nalać do niej wody.

Dobrosława zerknęła jeszcze raz na starszą siostrę, lecz ta pokręciła głową i nieznacznie wzruszyła ramionami. Też nic nie wiedziała.

– To co się takiego stało? – spytała ostrożnie Dobrochna.

Marianna popatrzyła na nią zdziwiona.

– Nic nie wiecie?

– Nie.

Matka zaczerpnęła głęboko powietrza, po czym odetchnęła głęboko.

– Dzisiaj... – zaczęła i urwała gwałtownie. Przygryzła wargi.

Córki wpatrywały się w nią z rosnącym niepokojem.

– Dzisiaj? – powtórzyła niespokojnie Dobrosława.

Marianna ponownie odetchnęła.

– Dzisiaj rano na wałach znaleziono ciało – powiedziała głucho i umilkła.

– Ciało? Jakie ciało? Ktoś wpadł pod samochód? Jakiś pijak nie wrócił do domu? – drążyła niecierpliwie Dobrochna. – Mamo?

Kobieta drgnęła i spojrzała na córkę nieprzytomnie.

– Nie, żaden samochód, żaden pijak. To... To była kobieta. Leżała w lesie, całkowicie naga. Ona... – Przełknęła głośno ślinę. – Karolina Karaś. Na pewno ją kojarzycie. Ona... ona została zamordowana.



Omszałe leśne poszycie ugięło się pod ciężarem jego stóp. Otaczały go drzewa, gołe pnie nacierały z każdej strony, jakby chciały zamknąć go w okrążeniu i zmiażdżyć. Zdawało się, że wokół nie było nic innego.

Komisarz Marcin Czarnecki z wyraźną ulgą opuścił gęsty zagajnik i wyszedł na jego skraj. Każdy las wyglądał dla niego tak samo. Każdy tak samo kojarzył się z tym, co wydarzyło się trzy lata temu. Każdy nienawidził jednakowo mocno. Tak mocno – jak czasami samego siebie.

Wyciągnął z marynarki paczkę papierosów i zapalił. Wolnym krokiem ruszył z powrotem w stronę, gdzie na jednym z pól rozłożone były policyjne namioty.

– I co tam, rozejrzałeś się trochę? – zapytał nieuważnie Andruszkiewicz. Starszy aspirant Rafał Andruszkiewicz co prawda wciąż był jego podwładnym, jednak już od dawna traktowali się jak równorzędni partnerzy.

– Trochę. Las jak las. Dla pewności trzeba będzie wysłać tam ekipę, ale nie sądzę, by cokolwiek znaleźli. – Z trudem powstrzymał się od wzruszenia ramionami. – A wy? Macie już jakieś konkrety?

– Kilka. – Andruszkiewicz zerknął w niewielki notes i wyrecytował jednym ciągiem. – Cztery rany kłute zadane ostrym narzędziem, raczej nóż niż śrubokręt. Ale – zawiesił głos – myślę, że kluczowe będzie w tym przypadku nie *modus operandi*, ale miejsce. Zwłoki zostały tu podrzucone, a ich ułożenie wyraźnie zaaranżowane, co już zresztą zdążyłeś zauważyć. Wygląda mi to na jakąś rytualną manifestację.

Czarnecki poczuł przebiegający przez plecy dreszcz. Rytualna manifestacja – tak, zdecydowanie były to dobre słowa opisujące to, co zastali dziś rano na miejscu zbrodni. Nagie kobiece ciało porzucone pośrodku szczyrego pola. Zamknięte oczy, rozpuszczone włosy spadające kaskadą na plecy. Leżała na lewym boku, a wschodzące słońce oświetlało jej bladą twarz. Sacrum w profanum, oddzielone od złego świata wypalonym okręgiem trawy. Nie mógł nie zgodzić się z Andruszkiewiczem – ktoś zadał sobie sporo trudu, by wszystko tak wyglądało. I musiało mu to zająć sporo czasu.

Pomyślał o tym, że nigdzie nie było widać śladów krwi, o tym, jak powinno to wyglądać, gdyby cztery ciosy nożem zostały zadane na miejscu, i poczuł kolejne ciarki. Odruchowo zerknął na włosy ofiary i mimowolnie odetchnął z ulgą. Były kruczoczarne, choć – co stwierdził nie bez niepokoju – zdecydowanie farbowane.

Gdyby nie ten krąg, gdyby nie to, że kobieta została tu podrzucona, pomyślałby, że może mają naśladowcę. Sława nożownika z Podkarpacia z pewnością dotarła do Trzciny, przecież poniekąd można było powiedzieć, że to właśnie tu się zakończyła. Tyle że on atakował prawie wyłącznie blondynki, nie przenosił ciał i nie pozorował żadnych magicznych rytuałów.

Czarnecki wsadził ręce do kieszeni i zapatrzył się w stronę, z której przyjechali, tam, gdzie w dole znajdowało się pradawne słowiańskie grodzisko.

– Myślisz o tym, co ja? – spytał Młody, podążając za jego wzrokiem.

Czarnecki uśmiechnął się pod nosem. Po czym powoli odwrócił się plecami do widniejących w dole wzgórz.

– Zależy, o czym myślisz.



Ludmiła zbladła.

– Karolina Karaś? Jesteś pewna?

Marianna kiwnęła głową.

– Tak, jestem pewna. Znalazła ją pani Kazia, ta co sprząta w naszej szkole – wyjaśniła. – Skracała sobie drogę przez las i ją zobaczyła. Była pewna, że to Karolina. Zna ją przecież od dziecka.

– Mój Boże... – szepnęła Ludmiła i zamilkła.

Dobrosława patrzyła to na jedną, to na drugą.

– Ale jesteś pewna, że została zamordowana? – spytała sceptycznie. – Wiesz, jak to ludzie, coś zobaczą, a drugie tyle sobie dopowiedzą. Ta Karolina to siostra Magdy, tak? A Karolina czasem nie była alkoholiczką, tak jak ich matka?

Jak przez mgłę kojarzyła Karolinę, najstarszą siostrę Magdy Karaś, swojej koleżanki z podstawówki. Wyszciekana, szczupła nastolatka przewijała się gdzieś w jej wspomnieniach, jednak dzieliła ich na tyle duża różnica wieku, że nie miała z nią bliższego kontaktu. Raz czy dwa widziała ją, gdy przyszła w odwiedziny do Magdy, czasami na przystanku i tyle. O ile jednak Karolinę pamiętała bardzo słabo, o tyle obraz ich matki tkwił jej przed oczami jak żywy.

Mama skrzywiła się nieznacznie.

– Owszem, Karolina lubiła sobie wypić – przyznała z ociąganiem – ale tym razem to nie żaden pijacki wypadek. Pani Kazia była przerażona. Mówi, że to jacyś sataniści – ściszyła odruchowo głos, jakby samo wypowiedzenie tych słów na głos mogło przynieść nieszczęście. – Podobno nie tylko była naga, ale jeszcze jej ciało leżało w wypalonym okręgu. Kazia mówi, że przez chwilę myślała, że kręcą u nas jakiś film. – Marianna zawiesiła głos, po czym dodała już głośniejszym głosem: – Ja tam w satanistów co prawda nie wierzę, ale brzmiało to naprawdę

przerażająco. W sumie jak o tym opowiadała, od razu stanęło mi przed oczami jakieś morderstwo rytualne.

– I jesteś pewna, że waszej Kazi nic się nie pomyliło? – upewniła się jeszcze raz Dobrochna. – Wiesz, naprawdę nie chce mi się wierzyć, żeby miało się u nas odbyć jakieś morderstwo rytualne. Może rzeczywiście mieli znów kręcić jakiś film historyczny w grodzisku? Pytałaś taty?

Mama pokręciła głową.

– Pytałam. Nic na ten temat nie wie. I też słyszeli już o tym morderstwie.

Zapadła cisza.

Dobrosława utkwiała niewidzący wzrok w ścianie. Nie bardzo mogła poukładać to sobie wszystko w głowie: Trzcinica i morderstwo? Niewielka, spokojna podkarpacka miejscowość i zbrodnia rytualna? Morderstwo kuchenne, gdy żona rzuca się na męża: tak, przemoc domowa, gdy mąż zabija żonę, nad którą się znęcał: tak. Pijacka rozróżba, może nawet jakieś zadawnione międzysąsiedzkie urazy też, ale morderstwo z zimną krwią, by dziwnie pojętemu rytuałowi stało się zadość?

– Jesteś pewna, że nikt tego nie upozorował? Może to nie żaden wypalony okrąg, tylko przypadkiem rzucili ją w miejsce po ognisku?

Marianna w odpowiedzi zagryzła tylko wargi i jeszcze raz uporczywie zaprzeczyła, przeniosła więc zrezygnowany wzrok na Ludmiłę.

– Może ty znasz kogoś, kto miał na pieńku z Karoliną? W końcu znałyście się dobrze od dawna. Ty, Daria Myśliwiec i jedna z sióstr Karoliny byłyście przecież najlepszymi przyjaciółkami, prawda? – Dobrosława zerknęła na siostrę z zamyśleniem. – Była Karolina,

najstarsza, Magda, najmłodsza, w moim wieku, i trzecia, średnia, w twoim. Jak ona miała na imię?

Ludmiła wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Wciąż nienaturalnie blada, oddychała szybko.

– Renata – wyszeptała drżącym głosem. – Ale ona nigdy nie była moją przyjaciółką! – Podniosła głos rozeźlona.

Dobrosława patrzyła na jej rozgniewaną twarz i doskonale wiedziała, że kłamie.



Październik 1999 roku

Tysiące drobinek kurzu wirowało w jasnym snopie światła, padającym ze strychoowego okienka. Ich zapach kręcił w nosie, mieszał się z wonią starych desek i resztek słomy upchniętej w jednym z kątów pod dachem. Ludmiła kichnęła siarczyście, gdy tylko znalazła się w środku.

– Zdrówko! – Renata zaśmiała się i zamknęła od wewnątrz klapę prowadzącą na strych. – Zaraz się przyzwyczaisz. O ile nie masz alergii.

– Nie mam. – Ludmiła siąknęła nosem. – No, może trochę.

Daria ciekawie rozglądała się po tonących w półmroku przedmiotach.

– Często tu przychodzisz? – spytała.

– Czasem. Jak chcę trochę spokoju. – Renata podeszła do niewielkiego stolika i zaświeciła mosiężną lampkę nocną.

Ludmiła pomyślała, że biorąc pod uwagę sytuację Renaty, w takim razie spędza tu całkiem sporo czasu. Rzut oka po strychu potwierdził, że może mieć rację. Na blacie stolika prócz starych książek leżało kilka najnowszych numerów „Twista” i „Bravo Girl”, pod stołem – puste opakowanie po paczce serowych cheetosów i niedopita resztką oranżady.

Jednak jej uwagę zwróciła głównie niewielka płaska szklana buteleczka wciśnięta między krokwią a dachem.

Renata zauważyła jej spojrzenie, bo w jednej chwili zrobiła kilka kroków w przeciwną stronę pomieszczenia.

– Ale teraz pokażę wam najlepsze – powiedziała szybko. – W domu mamy deski na suficie, racja? To właśnie deski od tej podłogi. – Zatrzymała się nagle i klękła. Ręką przesunęła powoli wzdłuż łączeń. – Widzicie? Miejscami ze starości zrobiły się w nich szczeliny. Sęki też spękały. – Pochyliła się i przytknęła oko do drewna. Przez chwilę tkwiła w tej niewygodnej pozycji, po czym gwałtownie się wyprostowała. – Tu na dole jest pokój Karoliny – szepnęła konspiracyjnie. – Ostatnio jak był u niej kolega z klasy, widziałam, jak się całowali i... – Odchrząknęła znacząco. – Nie tylko...

– Co? Nie gadaj! – Ludmiła w jednej chwili zapomniała o wetkniętej pod dach małpce, podeszła do Renaty i klękła tuż koło niej. Przyłożyła oko do jednej ze szczelin.

– Nie gadam, serio widziałam ich. Karolina była już w staniku, ale wtedy matka wróciła do domu. – Urwała gwałtownie, czerwieniejąc.

– No nieźle – skwitowała Ludmiła, nie odrywając wzroku od podłogi. – Widziałaś, Daria?

Druga z koleżanek z ociąganiem podeszła do niej i kucnęła tuż koło niej.

– Serio widać? – spytała sceptycznie.

– Serio.

Ludmiła odsunęła się i wpuściła Darię na swoje miejsce. Dziewczyna przytknęła twarz do szpary. Przez kilkanaście sekund tkwiła w bezruchu, po czym nagle oderwała się od podłogi.

– Karolina przyszła – powiedziała z dziwną miną. – Chyba nie powinniśmy...

– Co nie powinniśmy? Przecież o to właśnie chodzi!

– Ciiicho! – syknęła Renata. – Może usłyszeć.

Ludmiła wykonała gest, jakby zasznurowywała sobie usta, i bezgłośnie wróciła na pozycję obserwacyjną. Siostra Renaty, Karolina, stała przy meblach, kręcąc gałką od wieży. Po chwili z głośników ryknął słodki głos Britney Spears, oznajmiający „You drive me crazy!”. Karolina się odsunęła, ściągnęła z siebie dresową bluzę i jakby nigdy nic w samym topie zaczęła tańczyć na środku pokoju. Ludmiła z zapartym tchem obserwowała, jak smukłe ciało nastolatki wygina się w rytm piosenki.

– To taka moja mała zemsta za to, że ma swój pokój, a ja muszę gnieść się w jednym z Magdą – usłyszała nad sobą zjadliwy szept Renaty.

Karolina wciąż szalała na dole, nucąc pod nosem zniekształcone słowa angielskiej piosenki. Jej ruchy miały w sobie dziwną dzikość, hipnotyzowały, nie pozwalając oderwać oczu.

– I co? Fajne, nie? Można się trochę pośmiać.

Nagle huknęły drzwi.

– Wyłącz to, do jasnej cholery! Głowa mi pęka, gówniaro! – Na dole rozległ się wściekły wrzask. Matka Karoliny odepchnęła córkę mocno i uderzyła rozpostartą dłonią w odtwarzacz. Muzyka w jednej chwili ucichła. Ludmiła wstrzymała oddech.

Kobieta odwróciła się w stronę nastolatki i wycelowała w nią palec.

– Mówiłam, do jasnej cholery, żebyś nie włączała tego wycia?! Mówiłam?! Jeszcze jeden raz, a wyrzucę ten złom przez okno!

Karolina odgarnęła dłonią włosy i uniosła dumnie podbródek.

– Ręce precz od moich rzeczy! – warknęła. – Sama sobie kupiłam, za własne pieniądze. Spróbuj dotknąć mojej wieży, a...

– A co? – wpadła jej w słowo matka. – Co ty niby możesz?! Skąd w ogóle miałaś na to pieniądze, co?

– Nie twoja sprawa! – odwarknęła. – Pilnuj lepiej siebie i swoich butelek!

Ręka kobiety z całą siłą plasnęła o policzek dziewczyny. Ludmiła patrzyła jeszcze przez chwilę, jak matka dziewczyny mruczy gniewnie pod nosem przekleństwa i wychodzi z pokoju. Karolina rzuciła się na łóżko... i Ludmiła dopiero wówczas oderwała się od szpary. Przed oczami wciąż latały jej czarne plamki, od intensywnego wypatrywania się w szczelinę.

– No, no, ale szopka! Miałaś rację: można się pośmiać – powiedziała, rozprostowując zdrętwiałą rękę, po czym zachichotała złośliwie. Odpowiedziała jej tylko cisza.

Gdy jej wzrok przyzwyczał się już do półmroku oświetlonego jedynie niewielką lampką, zrozumiała. Renata stała zawstydzona ze spuszczoną głową, zaplatając mocno ręce na klatce piersiowej. Przez chwilę zrobiło jej się głupio. Zerknęła na Darię i już widząc jej rozgniewaną minę, wiedziała, że przegięła.



Nie jest żadną tajemnicą, że w małych miejscowościach wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy, dlatego Dobrosława wcale się nie zdziwiła, gdy okazało się, że odnalezione ciało było głównym punktem toczonych w sklepie rozmów. Wystarczyło kilka minut spędzonych na wyszukiwaniu na półkach artykułów spożywczych, które miała kupić, by – nawet jeżeli byłaby całkowicie nie w temacie – znała wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

Inną sprawą było to, ile w tej wiedzy tkwiło prawdy, a ile dodanych przez kolejne osoby poglądów, sugestii i wyobrażeń „jak w rzeczywistości było”.

– ...całkowicie naga! Ale wiecie, że podobno miała tatuaż na biodrze? Nigdy, przenigdy bym nie pomyślała, że akurat ona. Podobno nawet ładny, czerwona róża otoczona kolcami, ale mimo wszystko – ekspedientka pokręciła energicznie głową – ja jestem na nie w kwestii takiego szpecenia ciała. Nawet jeżeli to teraz modne.

– Ale są pewni, że to Karolina? Nie, to się normalnie w głowie nie... – Kobieta stojąca obok umilkła w momencie, gdy Dobrosława podeszła do lady i położyła na niej koszyk.

To też jej wcale nie dziwiło. Wyjechała stąd tyle lat temu, że ludzie mogli przestać ją poznawać. Sprzedawczyni zaczęła kasować produkty, podczas gdy poprzednia klientka przyglądała się Dobrochnie uważnie.

– Ile płacę? – spytała, sięgając po portfel.

Uiściła należność, schowała zakupy do torby i już miała wyjść, gdy prawie zderzyła się z wchodzącą kobietą.

– Przepraszam – mruknęła na odczepnego pod nosem, nie podnosząc wzroku i chcąc wyjść jak najszybciej na zewnątrz.

– Dobrosława?

Przed nią stała Magda Niemczycka – a właściwie, bo pod takim nazwiskiem znała ją przez najdłuższy czas – Magda Karaś.

– Dobrze, że cię widzę. Miałam się właśnie do ciebie odezwać – powiedziała Magda i Dobrosława doskonale już wiedziała, w jakim celu dawna koleżanka ze szkoły chciała się z nią skontaktować. – Ale nie wiedziałam, że jesteś w Trzciny.

– A, cześć – powiedziała. – Przyjechałam kilka dni temu... – Zawahała się. – Na jakiś czas.

– No popatrz, co za zbieg okoliczności. – Magda położyła jej rękę na ramieniu. Zacisnęła usta, zerkając znacząco na stojące przy sklepowej ladzie kobiety. – Wyjdźmy na zewnątrz. Mam do ciebie sprawę.

„Jakżeby inaczej”, pomyślała Dobrosława z niechęcią.

Ledwie drzwi zamknęły się za nimi, Magda odwróciła się w jej stronę.

– Widziałam twój samochód przed budynkiem – wyjaśniła. – Musiałam sprawdzić, czy to ty. W żadnym innym wypadku nie weszłabym tam do tych plotkar dzisiaj. – Kiwnęła głową w stronę wejścia. – A skoro tam byłaś, to z pewnością już wiesz. Moja siostra Karolina została zamordowana. Musisz mi pomóc.

Dobrochna zmrużyła oczy, przyglądając się dawnej koleżance. Ostatni raz widziały się w czerwcu, gdy przyjechała do Magdy wyciągnąć od niej informacje o starej sprawie nożownika z Podkarpacia. Czyżby ona teraz czuła, że Dobrosława jest jej cokolwiek za to winna?

– Słyszałam – bąknęła. – Bardzo mi przykro.

Magda niby machnęła ręką, jednak Dobrochna wyraźnie widziała, jak jej usta wykrzywiły się w płaczliwym grymasie.

– Nie miałyśmy ze sobą zbyt dobrego kontaktu – powiedziała Magda cicho. – Właściwie to nie pamiętam, kiedy rozmawiałam z nią po raz ostatni. – Umilkła na moment. – Ale to jednak była moja siostra.

– Musi ci być bardzo ciężko – odezwała się ostrożnie Dobrochna.

Koleżanka tylko westchnęła w odpowiedzi. Zapadła cisza. Obie milczały, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Ona... – zaczęła po chwili Magda. – Fakt, zdarzało jej się wypić. Zresztą nie będę ściemniać: Karolina była pijaczką, zadawała się z menelami, piła po krzakach, raz czy dwa zdarzyło jej się zasnąć w fosie. To trwało ostatecznie trzy, może cztery lata. – Zacięła się na moment. – Mówię to, bo cię tu nie było, więc pewnie nie wiesz, a z pewnością o tym usłyszysz. Mogę cię jednak zapewnić, że to nie ma nic wspólnego z jej śmiercią. Nie wiem, co za skurwysyn jej to zrobił, ale dorwę go. Jak Boga kocham, dorwę. A ty mi w tym pomożesz.

– Może znalazła się w złym miejscu w złym czasie – powiedziała wymijająco Dobrochna. – Skoro mówisz, że zdarzało jej się zabalować, może zasnęła przy drodze, może ktoś akurat ją zobaczył... Policja na pewno go znajdzie. Przesłuchają ludzi, pracowników skansenu. Ktoś na pewno coś widział.

Magda prychnęła lekko.

– Nawet jeżeli, naprawdę sądzisz, że powiedzą cokolwiek policji? Przecież wiesz, jakie ludzie mają tu podejście do służb. A to jeszcze obcy, z Rzeszowa, z wojewódzkiej! Nie wierzę, że wyciągną cokolwiek z kogokolwiek. To musi być ktoś swój, to musisz być ty. – Popatrzyła na nią ufnie – Pomożesz mi?

W jednej chwili Dobrosława poczuła, jak zapada się w ciemną, pustą otchłań. Słyszała te słowa nie tak dawno, brzmiały prawie tak samo, też „to musisz być ty”, też ten błagalny wzrok. Wtedy uległa, zgodziła się – i skończyło się to bardzo źle. Tyle że wówczas miała swoje powody, teraz mogła odmówić.

– Dobrochna? Wszystko w porządku?

Zaczerpnęła głęboki wdech. Zobaczyła piaszczystą ziemię pod swoimi stopami. Świat wciąż wirował. Pochyliła się lekko do przodu i oparła rękoma o kolana, próbując powstrzymać zawroty głowy.

– Dobrochna?

– Tak, tak w porządku. – Kiwnęła uspokajająco ręką. Rzeczywistość powoli zaczęła się stabilizować.

Kolejnych kilka oddechów i mogła się wyprostować. Magda przyglądała jej się z troską wymieszaną ze zdziwieniem.

– Jesteś chora? Dlatego wróciłaś do rodziców?

– Nie. Po prostu... po prostu muszę trochę odpocząć. Miałam ostatnio ciężki czas.

Troska ustąpiła miejsca wyraźnej uldze.

– To dobrze, znaczy się dobrze, że nie jesteś chora – uściśliła. – Czyli pomożesz, prawda?

Musiała odmówić, nie mogła zrobić inaczej, musiała odpocząć. Choć może jednak nie powinna – może trzeba było iść naprzód, starać się jak najszybciej zapomnieć, nie tkwić w marazmie, nie pozwolić, by przeszłość rozdarła ją na strzępy i pożarła?

Magda wpatrywała się w nią z coraz większym niepokojem.

– Dobrochna?

Nie. Nie mogła. Jeszcze nie teraz. Nie tutaj, nie w tej chwili.

– Przykro mi, Magda. Nie mogę. Naprawdę nie mogę.



Muzeum sprawiało całkiem przyjemne wrażenie, choć drewniane chatki, które Marcin Czarnecki widział za szybą, nieodłącznie przywodziły mu na myśl wakacje u babci na podrzeszowskiej wsi, dokąd jeździł jako szczeniak. To było tak dawno, że prawie wydawało się mu, iż nigdy się nie wydarzyło. Zresztą jak wiele innych rzeczy w jego dotychczasowym życiu.

Za jego plecami rozległ się cichy odgłos otwieranych drzwi, a następnie kroki. Czarnecki odwrócił wzrok od widocznego za oknem fragmentu skansenu i się obejrzał.

W przeszklonych drzwiach stał wysoki, szczapowaty mężczyzna z gęstą, kędzierzawą brodą, która zasłaniała większą część jego twarzy. Wyglądał trochę jak Święty Mikołaj po intensywnej i niekoniecznie do końca zdrowej diecie.

– Pan czeka na mnie? Stanisław Machniewicz, kustosz. – Wyciągnął rękę w jego stronę.

– Komisarz Marcin Czarnecki. – Uścisnął dłoń pracownika. Przywitanie Machniewicza było mocne i pewne, choć jednocześnie nie za bardzo silne, co od razu wzbudziło sympatię policjanta.

– Przepraszam, że musiał pan na mnie tyle czekać. Obowiązki. – Kustosz uśmiechnął się przepaszająco. – W czym jednak mogę panu pomóc? Pani Ewa powiedziała mi tylko, że chciałby pan porozmawiać z kimś, kto dobrze zna historię cywilizacji zamieszkujących te tereny. Cóż, nie widzę przeszkód, lecz chyba powinien pan raczej porozmawiać z dyrektorem muzeum, to on położył największe zasługi w powstaniu naszej Karpackiej Troi i chyba wie najwięcej na jej temat. – Zrobił pauzę, zaczerpując powietrza. – Oczywiście wszyscy mamy elementarną wiedzę, ja również brałem udział w wykopaliskach, tym bardziej że wały i legendy, które opowiadali ludzie, fascynowały mnie od dziecka.

– Pan pochodzi z Trzciny? – zainteresował się uprzejmie Czarnecki.

– Tutaj się urodziłem, mieszkałem i mimo że wyjechałem na studia, wróciłem, choć pewnie w większym mieście miałbym lepsze perspektywy pracy jako archeolog. Ale tak jak mówiłem, wały królewskie i legendy o dawnych grodach z powrotem mnie do siebie przyciągnęły. A potem na szczęście otworzono skansen i już nie

musiałem dojeżdżać codziennie kilometrami do pracy. – Machniewicz się roześmiał.

– Słowem, pana praca jest też pana pasją – podsumował komisarz. – Gratuluję.

– Dziękuję. Tak, bardzo lubię swoją pracę, choć pewnie nie jest tak interesująca jak pańska. – Zerknął na niego, po czym dodał: – Nawet swoim córkom nadałem słowiańskie imiona.

– To bardzo ciekawe. Niech zgadnę: Bronisława?

– Blisko. Najstarsza Bogusława, średnia Ludmiła i najmłodsza Dobrosława.

Czarnecki uśmiechnął się nieznacznie.

– Oryginalnie – przyznał. – Teraz już rzadko spotyka się takie imiona wśród młodych.

Po drugiej stronie korytarza dało się słyszeć odgłos rozmowy i po chwili zza rogu wyłoniła się grupa zwiedzających.

– Rzeczywiście, to prawda – zgodził się kustosz, zerkając w tamtą stronę. – Ale chyba nie to najbardziej pana interesowało. Zapraszam. – Otworzył ponownie drzwi, zza których przyszedł. – Chodźmy porozmawiać w spokojniejsze miejsce.



Po półgodzinnej rozmowie ze Stanisławem Machniewiczem Czarnecki musiał przyznać, że archeolog rzeczywiście wiele serca poświęca swojej pracy, a do tego ma jeszcze dar opowiadania. Komisarz nigdy nie miał głowy do dat, bitew i innych szczegółów historycznych, znajomość historii ziem polskich zaczynała się u niego zaś od Mieszka I. Wcześniej była tam tylko czarna dziura, w której wszystkie kultury pleszowskie, łużyckie i mierzanowickie zlewały się u niego w jedną całość, bo

owszem, gdzieś tam była starożytna Grecja, był Rzym, a tu wcześniej tylko dinozaury.

Tym bardziej był wdzięczny kustoszowi, że przedstawił mu to wszystko w klarowny sposób: wiedział już, że osadnictwo w Trzcinicy ogólnie można było podzielić na trzy okresy: pierwszy grupy pleszowskiej kultury mierzanowickiej, która zasiedlała te tereny między 2100 a 1650 rokiem przed naszą erą, drugi zakarpackiej ludności kultury Otomani-Füzesabony, która przebywała tu w latach 1650–1350, także przed Chrystusem, i trzeci wczesnopiastowski, z lat 780–1031 już naszej ery. Uf, dużo tych faktów i nie był pewien, czy niczego nie przekręcił. Potem na szczęście od razu przeszli do tego, na czym Czarnecki już znał się całkiem dobrze: do śmierci.

– ...badania nekropolii ludności kultury Otomani-Füzesabony we wschodniej Słowacji przyniosło nam wiele ciekawych informacji co do obyczajów pogrzebowych. Były to pochówki szkieletowe, w części środkowej rozmieszczone w szeregach, na obrzeżach w skupiskach. Można sobie wyobrazić, że poszczególne groby na powierzchni oznaczano drewnianymi stelami. Obok zmarłego lub w jego nogach układano dary grobowe, po czym przykrywano je warstwą desek...

– A sami zmarli? Układano ich w jakiś specjalny sposób? Na boku? W pozycji płodowej? – dociekał komisarz.

Machniewicz kiwnął mu lekko głową i się uśmiechnął.

– Powszechnym obyczajem było układanie mężczyzn na prawym boku, kobiet na lewym. Zmarłych układano twarzą w kierunku wschodzącego słońca, co miało znaczenie religijne i mogło oznaczać wiarę w nieśmiertelność.

Czarnecki przypomniał sobie wędrówkę słońca po nieboskłonie, gdy już przyjechali na miejsce, i przeszedł go zimny dreszcz. Wszystko się

zgadzało, w najmniejszych szczegółach: skulona pozycja boczna ułożona w stronę wschodu. I dziwny przedmiot leżący u jej nóg.

– A wypalony okrąg wokół ciała? Spotkaliście się z czymś takim? – spytał cicho.

Archeolog przyglądał mu się z żywym zainteresowaniem.

– Przykro mi, nic takiego nie kojarzę. Natomiast co do samego ognia... wiadomo, ogień był bardzo ważny dla naszych przodków w codziennym życiu, obrzędach, rytuałach. Ale być może to jakiś symbol? Ostatni mieszkańcy tej osady, Słowianie, praktykowali pochówki ciałałpalne, może więc chodzi o jakieś upamiętnienie wszystkich żyjących tu kultur? – zastanawiał się na głos Machniewicz.

Czarnecki przyglądał się żywej gestykulacji naukowca i od razu przed oczami stanęła mu młoda pani detektyw. Energiczne ruchy, pasja widoczna w oczach, nawet sposób, w jaki marszczyła nos – a przede wszystkim przenikliwość w łączeniu faktów. Miał tylko nadzieję, że jej ojciec będzie tak samo dyskretny jak i ona.

– Jest jeszcze jedna możliwość. – Niski głos kustosza sprowadził go na ziemię. – Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, ale wśród dawnych kultur dość powszechne były obrzędy rytualne i – odchrząknął – nie inaczej było wśród ludności kultury Otomani-Füzesabony, a kulminacyjnym punktem rytuału było właśnie rozpalenie nad darami ofiarnymi ognia.

Zapadła cisza. Marcin wpatrywał się w zatroskaną minę archeologa, nie bardzo rozumiejąc. No dobrze, składali dary ofiarne, zapalali ogień, tylko jaki mogło to mieć związek z jego ofiarą, jej ułożeniem ciała, odegranym na miejscu porzucenia ciała spektaklem? Stosunkowo młoda, całkiem ładna kobieta. Może i nie niewinna, choć po pierwszym rozeznaniu nie bardzo jeszcze wiedział, jakie mogła mieć grzechy, prócz tych, w których sama sobie szkodziła.

Niewinna...

I wtedy nagle zrozumiał, co mężczyzna miał na myśli, i zimny pot wystąpił mu na szyję.

– Mówi pan o obrzędach rytualnych. Czy...

Machniewicz kiwnął głową.

– Najczęściej dzieci, ale również dorosłe osoby. Ciała dorosłych ofiar często ćwiartowano, na podstawie dokonanych na Słowacji odkryć zmasakrowanych kości zachodzi podejrzenie rytualnego kanibalizmu – stwierdził poważnie. Czarnecki musiał mieć nietęgą minę, bo nagle kustosz dodał z troską: – Chciałby się pan napić wody?

Śledczy przetarł czoło.

– Nie, nie, dziękuję. – Przełknął nadmiernie głośno ślinę, starając się otrząsnąć po pierwszym szoku. Jeszcze mu rytualnego kanibalizmu brakowało do tego wszystkiego. – Czy tutaj, w Trzcinicy, również odkryliście ślady tych... rytuałów?

– Niestety, nie odkryliśmy jeszcze w ogóle cmentarzyska, ale wciąż nie tracimy nadziei, że w końcu to się stanie. – Muzealnik się uśmiechnął.

W obliczu ostatnich słów zapewnienia o nadziei wydały się Marcinowi co najmniej nie na miejscu. Cóż jednak mógł zrobić ludziom, którzy praktykowali krwawe kultury tyle tysięcy lat wcześniej? „Co innego w czasach współczesnych”, pomyślał i znów poczuł przyspieszający puls. „Nie, zupełnie tego nie potrzebuje, nie teraz, nie gdy prawie zdecydował się na emeryturę”.

– Może chciałby pan dołączyć do którejś z grup zwiedzających skansen? – zaproponował uprzejmie Machniewicz. – To prawdziwy fenomen, najstarsza z dotąd znanych osad obronnych w Polsce. Podczas wykopalisk odkryliśmy około dwustu tysięcy różnych zabytkowych

przedmiotów, nie wspominając o srebrnym skarbie „księcia z Trzciny”. – Zrobił szelmowską minę. – Zwiedzanie warto rozpocząć od pokazu filmu w naszej sali projekcyjnej, wtedy to, co panu opowiadałem wcześniej, stanie się jasne i ułoży się chronologicznie w głowie.

Czarnecki poczuł się naprawdę zaintrygowany, jednak myśl o dawnych obrzędach, które mogłyby mieć związek z odnalezionym ciałem, zupełnie odebrała mu nastrój na zagłębianie się w historii. Jakby tego było mało, przed oczami pojawiła mu się cała lista obowiązków, które jeszcze dziś powinien wypełnić, i w jednej chwili poczuł się okropnie zmęczony. Może rzeczywiście emerytura nie była wcale takim złym pomysłem?

– Naprawdę chętnie, ale może innym razem. – Odwzajemnił uśmiech. – Sam pan rozumie: obowiązki. – Rozłożył bezradnie ręce.

– Rozumiem. – Machniewicz, widząc, że komisarz podnosi się z krzesła, również wstał. – Ten film można obejrzeć także na YouTube, jeżeli chce pan nieco dokładniej poznać historię tego miejsca.

– Dziękuję bardzo, nie omieszkać zajrzeć. Bardzo prosiłbym jeszcze, by ta rozmowa została między nami.

– Oczywiście, proszę się nie martwić. Choć nie wiem, czy pan wie, ale w takich miejscowościach plotki szybko się rozchodzą. Pani Kazia z tego, co mi wiadomo, zdążyła już poinformować większość znajomych o swoim znalezisku i jego szczegółach.

– No tak, tak – mruknął Czarnecki pod nosem, z trudem powstrzymując się przed przewróceniem oczami. Zapomniał o specyfice małych wsi i problemach z takimi paniami Kaziemi. – Cóż, plotkom nie zaradzimy. Jeszcze raz dziękuję za poświęcony czas. – Ucisnął dłoń Machniewicza i już miał odejść, gdy nagle coś jeszcze wpadło mu do

głowy. – A, i jeszcze jedno – zaczął i dopiero wówczas zorientował się, że może to głupie i zupełnie nie na miejscu. Było jednak już za późno.

– Tak?

– Proszę pozdrowić ode mnie córkę. Tę najmłodszą.



Październik 1999 roku

– *Przesadziłaś.* – *Daria z wyrzutem spojrzała na Ludmiłę. Wracały do domu polną drogą, na skróty. Renata tym razem ich nie odprowadziła.*

Ludmiła kopnęła luźny kamyczek przed jej nogami. Odłamek potoczył się kilka metrów, przepłaszając wygrzewającą się w piekącym jesiennym słońcu jaszczurkę.

– *Wiem. Sorry, tak wyszło – mruknęła.*

Koleżanka kiwnęła szybko głową.

– *Głupio wyszło. Ja wiem, że Renata jest, jaka jest, ale jednak to nie jej wina, że ma taką rodzinę.* – *Przesadnie zaakcentowała litery diakrytyczne znajdujące się na końcu dwóch ostatnich słów.*

Ludmiła zgarbiła się, wsadzając ręce do kieszeni dzinsowej katany.

– *Wiem. Jeszcze raz sorry – powtórzyła.* – *Ojciec odszedł, matka pijaczka, a bida aż piszczy – dodała, nawet nie zauważając, że powtórzyła jota w jotę to, co w zeszłą niedzielę mówiła sąsiadka do jej matki.*

Daria skrzywiła się i cmoknęła z niezadowoleniem.

– *No nie do końca. Widziałaś, jaki mają sprzęt?*

– *Jaki sprzęt? – Ludmiła nie zrozumiała.*

– *No wieżę i kolumny, ty ciapo! – Dziewczyna zaczęła się śmiać.*

– Ale że o co ci chodzi? Pewnie na komunię dostała albo na bierzmowanie.

– Taaa... na komunię – parsknęła Daria. – Z tego, co pamiętam, to Renata nie bardzo chwaliła się tym, co dostała na komunię. A ten sprzęt kosztuje naprawdę kupę forsy. Wiem, bo Malwina przez dwa miesiące jojczała naszym starym, żeby jej taką kupili.

– O. – Ludmiła się zdziwiła. – I co: kupili?

– Kupili, ale nie chcieli, choć przecież pieniądze mają. Skąd więc siostra Renaty miała tyle kasy? Umie się ustawić i tyle. – Wzruszyła ramionami. – Tak mówi Malwina.

Ludmiła wiedziała, że co powiedziała Malwina, dla Darii było święte. Siedemnastoletnia, prawie dorosła siostra była dla trzynastolatki jak wyrocznia: wiedziała, co modne, a co obciach, czego słuchać, co mówić, a przede wszystkim: o co chodzi w tych całych relacjach damsko-męskich, co to petting, a co seks, o wiele dokładniej, niż opisywali to w dziewczynskich gazetkach.

– Czyli?

Daria zakręciła głową, po czym wzruszyła ramionami.

– Czyli sama wiesz – powiedziała sarkastycznie.

Z jej zachowania Ludmiła wywnioskowała, że tak do końca koleżanka sama nie wiedziała, dokładnie tak jak i ona. Nie skomentowała tego jednak ani słowem. Mgliste domysły i niedopowiedzenia były wystarczająco wstydlive.

– Malwina i Karolina to przyjaciółki, nie? – Łypnęła okiem na Darię, lekko zezując.

– Tyle o ile. Tak jak i my z Renatą.

Ludmiła kiwnęła głową. Wiedziała już wszystko. Bo choć często spotykały się we trójkę z Renatą, gadały, plotkowały o chłopakach, fatalaszkach, słuchały muzyki, tak naprawdę Renata nigdy nie była jedną z nich i nie powierzyłyby jej żadnego sekretu.



Dobrosława patrzyła, jak szczupłe dłonie jej matki zagłębiają się w ciemnej ziemi, przesypują ją i delikatnie, prawie że z czułością ugniatają w doniczkach. Mama zawsze miała rękę do roślin. Wystarczyło, że postawiła kwiatek w domu, podlewała, doglądała, a nawet najbardziej zaniedbana roślina odżywała po kilku dniach. Nawet jeżeli wyglądała na zupełnie suchą, nawet jeżeli ktoś inny uznałby, że jedyne, co jej pozostało, to śmietnik. U mamy zawsze dostawała kolejną szansę i zazwyczaj – dobrze ją wykorzystywała.

– Musiałam już ją przesadzić, nie doczekałaby do wiosny – powiedziała Marianna, widząc, jak córka uważnie przygląda się jej ruchom. Tak na dobrą sprawę Dobrosława nie wiedziała nawet, co to za badył, o zasadach i terminach prac przy kwiatkach nie wspominając. – Rośliny zawsze mnie uspokajają, ale dziś doprawdy nie mogę przestać myśleć o tej biednej Karolinie. – Odsunęła ręce od doniczki i przyjrzała się jej sceptycznym wzrokiem. – Nie, z tego kwiatka już jednak chyba nic nie będzie – westchnęła, po czym przestawiła go na parapet. – Pomóż mi to posprzątać i wracajmy do domu. Ojciec też lada moment powinien wrócić.

Dobrochna bez słowa zapakowała resztkę ziemi, zabrała łopatkę, starą doniczkę i schowała do szopy. Sama była ciekawa, jakie nowiny tata przyniesie z pracy – biorąc pod uwagę bliskość pomiędzy miejscem zbrodni a skansenem, z pewnością jakieś bowiem miał.

Stanisław wrócił pół godziny później, gdy siedziały już w kuchni przy stole. Wszedł i bez słowa usiadł ciężko na krześle.

– Co to był za dzień – westchnął ponuro po dłuższej chwili.

– Była u was policja? – spytała mama, stawiając na blacie talerz z zupą ogórkową.

Ojciec kiwnął głową, wziął łyżkę do ręki i zapatrzył się beznamiętnie w parujące danie.

– Nawet rozmawiałem z jednym. – Przeniósł wzrok na córkę. – Przy okazji, póki pamiętam, masz pozdrowienia od tego komisarza. Czarniecki? – zastanowił się.

– Czarniecki – poprawiła, od razu się spinając. Że też akurat na niego padło i on przyjechał do Trzciny, tak jakby w komendzie wojewódzkiej nikt inny nie pracował.

Tata przyglądał się jej przez chwilę z niepokojem.

– Znasz go?

– Mieliśmy okazję zetknąć się ze sobą kilka razy – powiedziała wymijająco, starając się, by wypadło to jak najnaturalniej. Chyba jednak jej się to nie udało. – Miły facet – dodała.

– Faktycznie miły. W przeciwieństwie do okoliczności, które go tu przywiały – westchnął ponownie Stanisław.

– Właściwie to co od ciebie chciał? Chodziło o jakieś nagrania, czy ktoś się nie kręcił w nocy? Przecież nikogo z was tam wtedy nie było, więc co mielibyście wiedzieć? Prócz ciebie też tam nie pracuje nikt z okolicy, kto znałby wcześniej Karolinę.

– Nie, nie chodziło ani o nagrania, ani o Karolinę. – Pokręcił głową, bawiąc się trzymaną łyżką. Wciąż jednak nie tknął zupy. – To znaczy poniekąd tak. Właściwie to nie powinienem o tym mówić, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to absurdem. Ofiara rytualna? Przecież to nonsens! To już prędzej ta młoda dziewczyna, którą znaleźli

w latach pięćdziesiątych na wałach... Ale wtedy przecież nie było o niczym takim mowy. – Przerwał nagle. – Który to był rok? Dziewięćdziesiąty siódmy? Ósmy?

Brzdęknięła odkładana łyżka.

– Dziewięćdziesiąty dziewiąty – powiedziała cicho mama, tłumiąc westchnienie. – Dobrze, że Ludmiła już pojechała. Wiesz, że nie lubi o tym mówić. To była jej bliska koleżanka.

– Rzeczywiście – zreflektował się ojciec.

Dobrosława z trudem próbowała wygrzebać z pamięci strzępki wspomnień dotyczących wydarzeń, o których była mowa.

Październik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

Dwadzieścia lat.

Dwadzieścia lat temu była jedenastolatką, pierwszy raz dostała zarówno miesięczkę, jak i jedynkę z matematyki. Podkochiwała się w o rok starszym Jacku z szóstej be, który był ministrantem, i pisała do niego miłosne liściki, które podrzucała mu do plecaka. Wtedy, gdy to się stało, głowę miała głównie zajęta zbliżającą się dyskoteką andrzejkową i myślami, czy obiekt westchnień poprosi ją do tańca przy piosence *Dumka na dwa serca* Edyty Górniak i Mietka Szcześniaka, typowej przytulanki do obściskiwania. Wtedy jak grom z jasnego nieba na wieś spadła wiadomość o zaginięciu dwóch miejscowych dziewcząt.

Połowa listopada, czwartek.

Już w szkole widać było, że coś nie do końca gra. Nauczyciele szeptali między sobą po kątach, kompletnie nie pilnując porządku na przerwach. Polonistka zupełnie zapomniała o zaplanowanym tygodniu wcześniej dyktandzie, geograf nie wezwał nikogo do tablicy, a biologka pół lekcji spędziła na notowaniu czegoś w dzienniku zamiast na

przerabianym materiale. Coś wisiało w powietrzu, a wąsaty woźny groźnie łypiący okiem na rozrabiającą młodzież zdawał się tylko to potwierdzać.

Na obiad była wtedy pomidorowa. Ludmiła grzebała w niej niechętnie łyżką, co rusz podnosząc na łyżce wstążki makaronu, by zaraz znów zanurzyć je w zupie. Przy którymś razie kilka czerwonych kropeł spadło na jasny obrus, już na zawsze zostawiając w tym miejscu plamę, nawet pomimo prania. Wyglądało to trochę tak, jakby któraś z nich dostała nagle krwotoku z nosa. Nawet wtedy mama nie zwróciła Ludmile najmniejszej uwagi. Powinna była już wtedy się zorientować.

Dobrochna pożarła całą zupę do dna, by nikt nie miał pretekstu, aby zatrzymać ją dzisiaj w domu. Razem z Beatą, jej najlepszą koleżanką, umówiły się, by jeszcze raz obgadać dyskotekę, do której został ledwie tydzień. Nawet lekcje chciała odrobić zaraz po przyjściu, lecz o dziwo – nikt nic dzisiaj nie zadał.

– Dziękuję! – powiedziała, odsuwając talerz i podnosząc się z krzesła. – Mamo, pójdę zaraz do Beaty, na jutro wszystko...

– Nigdzie nie pójdziesz.

Spojrzała ze zdziwieniem na matkę.

– Ale mamo...

– Nigdzie nie pójdziesz – powtórzyła twardo. Jej ton usadził Dobrosławę z powrotem na miejscu.

– Mamo, ale umówiliśmy się, naprawdę – jęknęła, próbując jeszcze raz przekonać rodzicielkę.

Marianna uderzyła otwartą dłonią w stół.

– Do jasnej cholery, powiedziałam przecież, że nigdzie nie pójdziesz! – wrzasnęła rozjuszona. – Żadna z was nie wyjdzie beze

mnie! Do odwołania!

Dobrochnę zamurowało, Ludmiła pobladła, pokornie jednak spuściła głowę. Odłożyła łyżkę na talerz, wlepiając wzrok w pomidorowe rozbryzgi na obrusie.

– A do szkoły? – pisnęła młodsza siostra.

– A do szkoły was odwiozę. Bogusława pojedzie z ojcem – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu mama.

To już było coś zdecydowanie nienormalnego. Ludmiła i Dobrochna zazwyczaj chodziły do szkoły na piechotę, czasem, gdy pogoda była gorsza, wsiadały w szkolny autobus, zdecydowanie jednak chętniej wybierały pierwszą opcję – co prawda było to kilka kilometrów, ale mijały bardzo szybko w dobrym towarzystwie. Zazwyczaj wracali całą paczką, śmiejąc się i dokazując. Natomiast Bogusława, najstarsza z sióstr, jeździła autobusem do liceum do Jasła, razem z kilkoma swoimi koleżankami. Ojciec jeździł do pracy w tę samą stronę, ale na późniejszą godzinę. Sama myśl, że miałyby wstawać wcześniej, by odwieźć Bogusię na ósmą do szkoły, wydawała się co najmniej dziwaczna.

– Mamo, co się stało? – spytała cicho Dobrochna. Coś musiało się wydarzyć, nie było innego wytłumaczenia. Bo jeżeli nic się nie stało, wytłumaczenie mogło być tylko jedno: rodzice zwariowali.

– Idźcie odrobić lekcje – powiedziała mama zmęczonym głosem.

Ludmiła wstała bez słowa, zostawiając nietkniętą zupę na stole, i wyszła. Dobrochna przez sekundę zastanawiała się, czy jest w ogóle sens jeszcze raz przekonywać mamę, widząc jednak jej minę, postanowiła pójść w ślady siostry.

Dopiero wieczorem podsłuchiwała strzępki rozmowy toczonej przez rodziców w pokoju obok.

– Zaginęły... ani śladu... jak kamień w wodę.

Dziewcząt szukano przez tydzień. Rozważano różne scenariusze: że same uciekły, że ktoś je porwał, że wsiadły do czarnego mercedesa, który kilka osób widziało, jak wieczorami krążył po opustoszałej wsi. Ludzie zaczęli bać się wychodzić z domów po zmroku, pilnowali dzieci, nie puszczali ich samych na krok, choć dawniej większość wracała ze szkoły z kluczem na szyi. Oczywiście było też, że odwołano szkolną dyskotekę andrzejkową – i tak żaden z rodziców nie zgodziłby się na powrót w listopadowych ciemnościach.

Dokładnie w andrzejki we wsi gruchnęła nowina, że na wałach królewskich w płytkim dole odkryto ciało jednej z zaginionych dziewczyn, i od tej pory już nic nie było takie samo.



Październik 1999 roku

Chmura pyłu z piaszczystej ziemi uniosła się i zawirowała w powietrzu w ślad za odjeżdżającym samochodem.

– Chciałabym kiedyś mieć taki wózek – powiedziała rozmarzonym głosem Renata, nie odrywając wzroku od widocznej jeszcze przez chwilę w oddali ciemnej sylwetki sportowego wozu.

Daria z Ludmiłą rzuciły sobie szybkie, znaczące spojrzenie, zaraz jednak również zapatrzyły się na drogę. Samochód był zdecydowanie super. Tym bardziej że należał do syna miejscowego właściciela składu budowlanego. Mieć osiemnaście lat i taką furę: to było coś.

Szansa jednak, że takie auto będzie w przyszłości należeć do Renaty, była znikoma. To już prędzej do Darii, jej rodzice zresztą już teraz jeździli podobną bryczką, tyle że nieco mniej ostentacyjną i zdecydowanie bardziej rodzinną.

– Może kiedyś – mruknęła Ludmiła bez przekonania i sięgnęła po oranżadę w szklanej butelce.

Renata zaczęła się śmiać.

– Chyba sama w to nie wierzysz – powiedziała ironicznie.

Siedziały przed sklepem, słońce, choć był już zaawansowany październik, prażyło, jakby to było lato, nie jesień. Doskonale wiedziały, że to ostatnie podrygi takich ciepłych dni, nie mogły więc ich nie wykorzystać. Zaraz po lekcjach, wracając codzienną trasą, zboczyły z niej trochę, by posiedzieć na murku przed sklepem. Obiad mógł poczekać, w sumie i tak nikt nie czekał na nie w domu – matka Ludmiły pracowała w szkole, tata w muzeum, rodzice Darii mieli hurtownię warzyw i owoców i nie było ich przez cały dzień, a u Renaty... a u Renaty wiadomo, jak było.

– Chcieć to móc – mruknęła Daria. Przeciągnęła się jak kotka, po czym oparła o ścianę budynku i wystawiła jasną twarz, by złapać ostatnie promienie słoneczne. Ludmiła przyjrzała się jej zazdrośnie. Daria zdecydowanie była najładniejsza z nich trzech: smukła, blondwłosa, z lekko skośnymi oczami. Nie dość, że ładna, to i nadziana, a to oznaczało świetne, modne ciuchy. Co prawda koleżanka nigdy nie dała im odczuć, że jest od nich lepsza, ale to właśnie na nią kierowały się spojrzenia wszystkich chłopaków, gdy była w pobliżu.

– Taak – prychnęła Renata. – Do odważnych świat należy.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Daria podwinęła nogawki czarnych dzwonów, by opalić i nogi, Ludmiła rytmicznie bębniła palcem w szklaną butelkę, by czymś zająć ręce, a Renata wciąż wpatrywała się w unoszący się na drodze kurz. Minę miała zaciętą, jakby faktycznie w końcu uznała, że do odważnych świat należy, i właśnie podjęła ostateczną decyzję, jak pokonać swój los. Mogła się łudzić, że będzie lepiej, że nawet nie pochodząc z zamożnej rodziny, ciężką pracą uda się jej osiągnąć sukces. Tyle że Renata była jednocześnie leniwa. Szybko, do celu: to była jej dewiza, a nie jakaś tam praca.

Za rogiem sklepu rozległy się głosy i po chwili zza węgła budynku wyszły dwie dziewczyny. Ludmiła łypnęła okiem w ich kierunku i zdrętwiała.

Karolina i Malwina.

– Chyba twoja siostra idzie – mruknęła, nie precyzując adresata swoich słów.

Jak na zawołanie obie koleżanki spojrzały w stronę, z której dobiegała rozmowa. Malwina i Karolina jeszcze ich nie zauważyły, na murku, obok rosnących krzaków idealnie wtapiały się w scenerię.

– O szlag jasny – powiedziała ciut za głośno Renata, bo gdyby zrobiła to ciszej, pewnie nastolatki nie zwróciłyby nawet na nie uwagi, kierując się prosto do sklepowych drzwi. Jednak było za późno. Karolina stanęła jak wryta, lustrując okolicę. Dostrzegła je. Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się nieszczerze.

– Kogóż to ja widzę, Renia, gdzie się chowasz? – powiedziała słodko.

Renata poderwała się gwałtownie, chcąc uciec, jednak siostra była szybsza. Trzema susami pokonała dzielącą je odległość, co było naprawdę imponujące, biorąc pod uwagę wysokość platform, które miała na nogach.

Karolina złapała ją za koszulkę i potrząsnęła.

– Przede mną się chowasz?

– Skądże! Zdaje ci się – powiedziała szybko wystraszona Renata.

Ostatnie słowo zlało się z odgłosem plaśnięcia ręki. Karolina wymierzyła jej siarczasty policzek.

– Myślałaś, że się nie dowiem, kto powiedział matce? Co niby chciałaś osiągnąć? Myślałaś, że się przejmie? Że przestanie pić? Że coś zrobi? – Roześmiała się ponuro. – Naiwniara.

Malwina stała kilka kroków od koleżanki, w milczeniu żując gumę i przyglądając się scenie.

– Ja... ja... – zaczęła się jękać Renata.

– Co: ja, ja? – przedrzeźniła ją siostra. – Zapamiętaj sobie: chuj ci do tego, skąd mam pieniądze. – Może od babki dostałam, co? Nie mogłam?

– Tak, jasne, od babki – mruknęła Renata pod nosem, widząc, że żadne tłumaczenia nic nie dadzą. Nie zdążyła uchylić się przed kolejnym ciosem.

Karolina puściła ją i dziewczyna upadła na ziemię. Wymierzyła w nią palec.

– Pamiętaj: chuj ci do tego – powiedziała i odwróciła się na pięcie. – Idziemy, Malwina.

Renata patrzyła, jak za dziewczynami zamykają się drzwi sklepu, po czym dotknęła zakurzonym od ziemi palcem wargi. Była przecięta.

Splunęła krwią.

– Pożałujesz tego – powiedziała cicho pod nosem, choć zarówno Ludmiła, jak i Daria słyszały jej słowa. – Obiecuję, że tego pożałujesz.

ROZDZIAŁ 2

Dzień wstał piękny, słoneczny, jakby chciał wynagrodzić ludziom nadchodzącą nieubłagane jesienną słotę, i nijak nie korelował z wewnętrznym niepokojem, który Dobrosława odczuwała od rana. Dwadzieścia lat nic się nie działo. Dwadzieścia lat spokoju, wiadomo, przez ten czas różne wydarzenia wstrząsały wsią, a to pożar, a to powódź, a to wypadek samochodowy – tych ostatnich było najwięcej przez ruchliwą drogę krajową przebiegającą przez wioskę. Zabójstwa nie należały jednak do codzienności podkarpackiej wsi.

Woda w czajniku zagwizdała. Dobrochna zalała mieloną kawę w kubku wrzątkiem i usiadła przy stole. Patrzyła, jak drobinki kawy pęcznieją i toną w gorącej wodzie. Uczucie niepokoju rosło, uciskało żołądek i co gorsza: zupełnie nie wiedziała, gdzie jest jego źródło. To nie była jej sprawa, to nie było jej zabójstwo. Nie miała z tym nic wspólnego. Dlaczego więc kamienie spoczęły na jej klatce piersiowej, dlaczego dławilo ją na samo wspomnienie tego, co wczoraj opowiadał ojciec?

Czy odmówienie Magdzie było błędem?

– Bzdura! – mruknęła pod nosem, biorąc do ręki łyżeczkę i energicznie mieszając kawę. – Nie będziesz się wtrącać, od tego jest w końcu policja.

„Tyle że policja czasem się myli – pomyślała odruchowo. – Tak jak przy nożowniku...”

Upiła łyk gorącej kawy, z trudem powstrzymując się, by nie wypluć pływających fusów, które jeszcze nie do końca opadły na dno. Za oknem rozległ się dźwięk gaszonego silnika i trzaśnięcie samochodowych drzwiczek.

– To ja! – usłyszała zaraz po odgłosie otwieranych drzwi do domu i po chwili w kuchni stanęła Ludmiła. Dobrosława spojrzała na nią zdziwiona, biorąc kolejny łyk kawy.

– Coś wcześniej dzisiaj – powiedziała. – Chłopaki wcześniej kończą?

Ludmiła podeszła do stołu i usiadła obok siostry.

– No trochę wcześniej – westchnęła lekko. – Nie mogłam usiedzieć sama w domu. Niby dzień jak dzień, słońce świeci, a jakoś tak... – wzdrygnęła się nieznacznie – ...dziwnie.

Dobrochna doskonale wiedziała, że wszystko to miało związek ze śmiercią Karoliny. Bardziej zaskoczyło ją to, że sama porusza ten temat.

– Wydaje mi się, że mimo wszystko nie ma powodów do obaw. Teraz jest jednak inaczej niż wtedy. – Starła się ją pocieszyć, sądząc, że boi się o bezpieczeństwo dzieci.

Ludmiła w jednej chwili się nastroszyła.

– A jak niby było wtedy?

– Pamiętasz przecież – zmieszała się nieco Dobrosława. Przecież sama zaczęła temat! – Nie wypuszczali nas samych wieczorami, nawet do szkoły zaczęli nas odwozić. Zero włóczenia się po wsi, zero znajomych. Dobrze, że to był listopad, to przynajmniej nie kusiło człowieka. – Umilkła na moment. – Wtedy zdawało nam się, że to szaleństwo, ale teraz po latach w pełni ich rozumiem. Teraz jednak nie

zginęło dziecko. Karolina była dorosła, w dodatku zadawała się z szemranym towarzystwem. Ktoś musiał mieć do niej jakiś żal, komuś musiała przeszkadzać.

Siostra milczała. Wąskie zaciśnięte usta wyglądały jak dwa pobielone sznurki, nieobecny wzrok wbiła w drewniany blat stołu. Nawet nie drgnęła. Przez chwilę Dobrochnie wydawało się, jakby przed nią siedział manekin, a nie żywy człowiek. Zapadła cisza zdawała się wwiercać w uszy. Gdzieś na oknie zabrzęczała zbudzona ciepłymi słonecznymi promieniami mucha.

– Pewnie teraz zrobiłabyś to samo co oni, gdyby zaginął kolega bliźniaków, nieprawda? Bliski kolega – uściśliła. – Bo ta dziewczyna była przecież twoją najlepszą przyjaciółką. Byłaś ty, Renata i... Jak ona miała na imię? Diana? Adriana?

Ludmiła powoli podniosła wzrok i popatrzyła na nią. Dobrochna zamarła w połowie sięgnięcia po kubek z kawą. Nigdy nie widziała takiej siostry. Nawet wtedy, gdy wszystko to, o czym teraz wspomniała, się wydarzyło.

– Daria – powiedziała głucho. – Ona miała na imię Daria. – Zawiesiła na moment głos.

Cisza znów wypełniła kuchnię. Tylko nieświadoma niczego mucha wciąż bzykała, odbijając się od okna. Dobrochna siedziała wystraszona, wpatrując się w gniewną twarz Ludmiły. Bała się odezwać.

– Ale nie wspominaj o tym więcej ani słowem – wycodziła przez zaciśnięte wargi siostra. – Nigdy. Więcej.



Nogi miała długie, talię wąską, a biust nad wyraz obfity. W sumie była wyjątkowo nieproporcjonalna, zupełnie niepodobna do żadnego człowieka. I taka sama jak setki innych lalek Barbie.

Marcin Czarnecki z westchnieniem odłożył zdjęcie i sięgnął po telefon. Samo pozostawienie lalki Barbie przy zwłokach stosunkowo młodej kobiety było niepokojące, a w zestawieniu z tym, co usłyszał od Machniewicza, stawało się takie po dwakroć.

– Marta? Przyjdź do mnie na chwilę, jak jesteś wolna. Jasne.

Odłożył słuchawkę i zabębnił palcami o blat stołu. Wczoraj wrócił do Rzeszowa wykończony, nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Wystylizowane zabójstwo, bliskość osady z prehistorycznymi kanibalami, a nade wszystko cały dzień w terenie dały mu w kość. Myśl o wcześniejszej emeryturze i zwaleniu całego tego kotła na głowę Andruszkiewicza pojawiała się wczoraj u niego średnio co godzinę, z regularnością prawie taką samą jak ta, by zapalić papierosa. Tymi dwoma myślami mógł podzielić swoje wczoraj na równe kawałki – choć może gdzieś pomiędzy wcisnąłby jeszcze trzecią myśl: wspomnienie Dobrosławy.

Komisarz westchnął ponownie. Po tym, co powiedział jej ostatnim razem, był pewien, że młoda pani detektyw nie umówi się z nim na kawę. Sam był sobie winien, mógł być dla niej bardziej wyrozumiały po ostatniej wpadce, ale emocje wzięły górę. Na swoje usprawiedliwienie mógł mieć tylko to, że naprawdę solidnie go wtedy wkurzyła.

Co nie zmieniało faktu, że teraz chętnie by ją zobaczył ponownie.

W drzwiach stanęła młodsza aspirant, Marta Michalczyk, przerywając mu ckliwe wspomnienia, godne szkolnego lowelasa, a nie szanującego się, usatkwowanego przedstawiciela prawa, w wieku mocno zaawansowanym.

– Jestem, komisarzu.

– Dobrze – mruknął pod nosem. – Ty masz dzieci, prawda? Dwie córki, o ile się nie mylę? – Starął się uśmiechnąć lekko, choć chyba

zupełnie mu tu nie wyszło.

Policjantka spojrzała na niego lekko zdezorientowana.

– Tak, komisarzu. Wszystko się zgadza.

– Więc skoro masz córki, to pewnie bawią lub bawiły się lalkami? Barbie też?

– Raczej bawiły. Młodsza jeszcze czasem się bawi, ale już rzadko – dodała i umilkła, wyraźnie oczekując na ciąg dalszy.

Czarnecki podsunął w jej stronę zdjęcie, które przed chwilą oglądał.

– W takim razie, czy możesz powiedzieć mi coś więcej o lalce znalezionej przy naszej ostatniej denatce? Cokolwiek, czy to typowy model, gdzie można go kupić? W sklepie, w internecie? – dodał i w ostatniej chwili zorientował się, że zabrzmiało to, jakby nie wiedział, w jakim świecie żyje. Przecież wiadome było, że w dzisiejszych czasach wszystko można kupić w sieci.

Michalczyk nie skomentowała tego jednak ani słowem, tylko wzięła zdjęcie do ręki i przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

– Wygląda na oryginalną Barbie, nie żadną chińską podróbkę – powiedziała w końcu z namysłem. – Tyle że... – Zawahała się, podsuwając bliżej zdjęcie, po czym znów je odsuwając.

– Tyle że? – podchwycił Czarnecki.

– Wydaje mi się, że ta lalka nie jest współczesna. To znaczy nie jest aż tak współczesna – uściśliła. – Bardziej wygląda jak taka, którą ja się bawiłam w dzieciństwie.

Komisarz rzucił policjantce zaciekawione spojrzenie. Nie pamiętał dokładnie, z którego roku jest Michalczyk, ale świtało mu, że były to chyba lata osiemdziesiąte. W takim razie lalka mogła być z lat...

– Czyli lata dziewięćdziesiąte?

– Druga połowa. No, może nawet przełom dwutysięcznego, bo moja młodsza siostra miała podobną. Te obecne mają takie bardziej subtelne rysy. Jak dziewczyna z sąsiedztwa. Ta stara miała taki błysk w oku, trochę jak kurwiki. – Roześmiała się.

„Kurwiki w oczach lalki dla dzieci. Ciekawe”, pomyślał.

– To bardzo interesujące. Myślisz, że można to dokładnie ustalić?

Kiwnęła powoli głową, odkładając zdjęcie na biurko.

– Myślę, że tak. Jakieś modowe albo lajfstajlowe serwisy czasem publikują takie zestawienia. Nie wiem, czy są jacyś specjaliści od lalek. Pewnie tak, znając życie.

– Wspaniale. – Czarnecki uśmiechnął się szeroko i przesunął fotografię w kierunku kobiety, po czym postukał w nią palcem dwukrotnie. – W takim razie znajdziesz wszystko na temat tej konkretnej lalki, co da się ustalić. Łącznie z tym, gdzie teraz można kupić takie egzemplarze. Miejmy nadzieję, że to jakiś wyjątkowy model i pozwoli nam zbliżyć się do rozwiązania.

Wzięła ponownie zdjęcie do ręki.

– Oczywiście.

Czarnecki schował resztę zdjęć do teczki.

– Nie muszę chyba dodawać, że to teraz priorytet. A przy okazji, widziałas może Andruszkiewicza?

Michalczyk zaprzeczyła. Gdy tylko wyszła, znów sięgnął po słuchawkę.

– Rafał? Gdzie ty się podziewasz? – ofuknął go, gdy odebrał. – Nie pamiętasz, co wisi nam nad głowami?

– Pamiętam, pamiętam – powiedział tamten znużonym głosem. – Rytualny maniak gubiący swoje zabawki. Albo swoich dzieci.

Czarnecki skrzywił się z niesmakiem. Jak lubił Młodego, tak jego poczucie humoru nie zawsze trafiało w jego gust.

– Pamiętam też, że sprawa jest delikatna i nagląca – kontynuował Andruszkiewicz. – Działam, szefie, najlepiej jak mogę. Ela ma ją już na stole. Obiecała mi raport z sekcji na wieczór. Zresztą jestem już na komendzie. Zahaczyć o twój gabinet?

– Jakbyś mógł łaskawie – rzucił kpiąco komisarz. Nie zdążył dokończyć, gdy zobaczył, że klamka porusza się w dół. W telefonie rozległ się urwany sygnał.

– I jestem we własnej osobie – powiedział Andruszkiewicz, wchodząc do środka. – Mamy jakieś nowe tropy?

– Powiedzmy. – W kilku zdaniach streścił mu spostrzeżenia Marty na temat lalki.

Starszy aspirant gwizdnął przeciągle.

– Czy to miała być dla nas jakaś aluzja? Z dotychczas zebranych materiałów wychodzi na to, że nasza ofiara miała dość luźny sposób życia. Dorywcze prace, dużo alkoholu i równie dużo imprez. Sąsiedzi wręcz mówili o jej domu jak o melinie. Myślę, że trzeba znaleźć jej fagasów, których podobno również miała na pęczki.

Czarnecki pokiwał z zamyśleniem głową.

– Trzeba sprawdzić wszystkie tropy, niczego nie możemy wykluczyć. Również tego, że słynny nożownik znalazł swojego naśladowcę... – Zawiesił głos.

Andruszkiewicz wpatrywał się w niego zaskoczony, po czym nagle się uśmiechnął.

– A czy ofiarami nożownika nie były czasem wyłącznie blondynki?

Jak na zawołanie przed oczami komisarza pojawiły się ciemne loki Katarzyny Krzewkowskiej. Czarne sprężynki skręcały się, zasłaniając jej delikatną twarz. Przez chwilę znów znalazł się przed jej domem, pod wielkim rozłożystym dębem, u którego podnóża złożono jej ciało.

Z trudem otrząsnął się ze wspomnień.

– Nie tylko. Zresztą blondwłosa Barbie może być tutaj celowym nawiązaniem. – Znów postukał palcem w kupkę zdjęć, zapominając, że to z lalką przekazał Marcie Michalak.

Mina Andruszkiewicza zmieniła się w sceptyczną.

– Ile by to było lat? – spytał.

– Sześć – odpowiedział po chwili zastanowienia. Sześć lat, a zdawało się, jakby była to wieczność. Inna rzeczywistość, świat, który już nie istniał i do którego nie było powrotu.

– Czyli żadna rocznica.

Zignorował jego słowa.

– Co z monitoringiem ze skansenu? Sprawdziłeś już? Zwłoki zostały przetransportowane na miejsce, więc jeżeli znajdziemy samochód, będziemy mogli przywitać się z króliczkiem – kontynuował Czarnecki.

– Czysto.

– Jakież inne punkty usługowe, sklepy, bankomaty?

Młody pokręcił głową.

– Daleko, ale i tak sprawdziliśmy. Większość nie ma kamer, na jedynym znalezionym nagraniu nie widać drogi, tylko kawałek placu przed budynkiem.

– W takim razie trzeba przepytać mieszkańców. To mała wioska, a miejsce podrzucenia ciała jest daleko od drogi głównej. Ktoś musiał

coś wiedzieć.

– Zajmę się tym.

– I świetnie. – Komisarz rozparł się wygodnie na krześle. – Marta bierze lalkę, ty mieszkańców, a ja pojedę jeszcze raz dokładnie przesłuchać Magdalenę Niemczycką, ostatnią niedoszłą ofiarę nożownika. – Gdy tylko to powiedział, znów poczuł gorzkie wspomnienie tej bolącej sprawy.

– Czyli ty tak serio myślisz o tym naśladowcy? – upewnił się Andruszkiewicz.

Czarnecki pomyślał o wszystkich tych chwilach, gdy za późno skojarzył fakty, gdy oczywiste zdawało się zbyt oczywiste, by być prawdopodobne, i gdy, mimo że aż biło po oczach, szukał dalej. I przegrał.

– Jak najbardziej serio. W końcu ta niedoszła ofiara nożownika to równocześnie siostra naszej obecnej denatki.

Andruszkiewicz skinął powoli głową.

– Jasne, szefie.



Dobrosława patrzyła na zaciętą minę siostry i z każdą kolejną sekundą w jej głowie kłębiło się coraz więcej pytań. Dlaczego Ludmiła aż do tego stopnia pragnęła wymazać z pamięci tragiczne zdarzenia z przeszłości? Oczywiście dziewczyna, która została znaleziona na wałach, była jej bliską przyjaciółką, musiało to odcisnąć na niej swoje piętno, jednak od tego czasu minęło dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat, szmat czasu. I choć czas nie leczył ran ani nie pozwalał odejść wspomnieniom, jego upływ pozwalał nabrać dystansu do swoich traum. Coś na ten temat wiedziała.

– O, jesteś już, Lusia – powiedziała mama, wchodząc do kuchni. – Widzicie? Mówiłam, że mama już pewnie na was czeka.

Za Marianną jak frygi wpadło do środka dwóch ośmioletnich bliźniaków, synów Ludmiły.

– Cześć, mama! – rzucili chórem. Obaj mieli jasne gęste czupryny. Właściwie na pierwszy rzut oka byli zupełnie nie do odróżnienia. Dopiero po dłuższej chwili dało się zauważyć, że Antoś jest bardziej żywy i gadatliwy, a Alek spokojny i poważny. Ten drugi miał też pod lewym okiem niewielki pieprzyk, którego nie miał brat.

– Siadajcie do stołu – zakomenderowała Marianna. – Podgrzałyście obiad?

– Nie wiedziałyśmy, że już przyjdziecie. Mieliście być dopiero po pierwszej – powiedziała Dobrochna, wstając i podchodząc do kuchenki. Odpaliła palnik pod garnkiem z zupą.

– Matematyczka się rozchorowała i przesunęliśmy lekcje. Aha, tak od razu, póki pamiętam – zwróciła się do Ludmiły. – Jutro przez to musisz sama odebrać chłopców, bo ja mam dłużej lekcje, a oni skończą wcześniej.

Ludmiła skinęła głową.

– No to siadajcie, kochani! – Marianna klasnęła w ręce. – Dobrochna, wyciągnij talerze.

Kobieta posłusznie podeszła do szafki i wyciągnęła z niej cztery miski. Ustawiła je na stole.

Matka wzięła chochelkę, garnek i zaczęła nalewać.

– Tylko cztery? Ty nie chcesz? – zdziwiła się.

Dobrosława pokręciła głową.

– Muszę wyjść, zjem później.

– Wyjść? Dokąd? – spytała podejrzliwie. Ton matki wcale jej nie zdziwił. Właściwie odkąd przyjechała, oprócz tego, że czasami robiła zakupy, nie bardzo gdziekolwiek wychodziła.

Uśmiechnęła się.

– Przejdę się, odpocznę. Może zajrzę do sklepu. Nigdzie konkretnie.

Nie musiała mówić, że zamierza odwiedzić Magdę Karaś, obecnie Niemczycką. Zresztą doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby matka wiedziała, i tak wolałaby, aby nie mówiła o tym na głos. Nie, gdy obok siedzi Ludmiła.



Dom, który pamiętał sprzed sześciu lat, prawie się nie zmienił, za to jego okolica owszem. Czarneckiemu wydawało się, że podwórko było bardziej zarośnięte, zniknęły wysokie drzewa, za którymi we mgle tej nocy chował się podejrzany. Pojawili się także sąsiedzi i dom nie był już samotnym budynkiem oddalonym od innych zabudowań. Teraz już nie stanowiłby pociągającego celu dla planującego kolejne zabójstwo nożownika.

O ile oczywiście wówczas schwytany człowiek byłby w ogóle nożownikiem.

Otworzyła mu Magdalena Niemczycka, szczupła, rudowłosa, z twarzą usianą piegami. Ona również nie zmieniła się przez te ostatnie lata, nie licząc koloru włosów, bo wówczas bardziej wpadały one w odcień blond, i może zmarszczek, których teraz było więcej. Mimo to i tak bez problemu ją poznał.

– Dzień dobry, komisarz Marcin Czarnecki – przedstawił się, wyciągając legitymację. – Rozmawiałem z panią przez telefon.

Pani Magda na sekundę złożyła usta w ciup, po czym otworzyła szeroko drzwi.

– Tak, zapraszam – powiedziała zmęczonym głosem.

Przeszli do salonu. Czarnecki z zainteresowaniem rozglądał się po wnętrzu. Był już tutaj kilkakrotnie, a zupełnie nic nie pamiętał. Wnętrze domu zlewało się w pamięci z milionem innych wnętrz, które oglądał w swojej karierze. Może gdyby jeszcze w tym domu znaleziono zwłoki, coś by mu świtało: tu leżała ofiara, tam było pełno śladów krwi, a tam leżał roztłuczony wazon. Jednak Magda Niemczycka była pierwszą ofiarą nożownika, która przeżyła. Tak przynajmniej wszyscy wciąż myśleli. Czarnecki był w tej chwili już jedyną osobą, która wiedziała, że pseudonożownik, który zjawił się którejś sierpniowej nocy pod tym niepozornym, położonym na uboczu domem w Trzcinity, tak naprawdę był zwykłym facetem, który chorobliwie lubił podglądać zamężne kobiety.

– Rozumiem, że przychodzi pan w sprawie śmierci mojej siostry?

– Tak, oczywiście.

Magdalena usiadła naprzeciwko niego i założyła nogę na nogę.

– Co więc jeszcze chciałby pan wiedzieć?

Czarnecki uśmiechnął się lekko. Z wczorajszej krótkiej rozmowy, którą przeprowadził z Niemczycką Andruszkiewicz i z której zdał mu sprawozdanie, wiedział już, że stosunki między siostrami były oziębłe, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że mieszkały w jednej wsi, stosunkowo niedaleko siebie.

– Co się działo u pani od czasu schwytania nożownika? – zaczął.

Kobieta w jednej chwili pobladła, zamierając przez moment w bezruchu.

– U mnie? – spytała zdziwiona. – A co mogło się u mnie dzieć?

– Nie wiem, niech się pani spokojnie zastanowi. Nikt więcej nie kręcił się wokół pani domu? Nikt pani nie zaczepiał? Nie miała pani dziwnych wizyt, telefonów, listów?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, wyraźnie się zastanawiając.

– Nie – powiedziała w końcu. – Nie licząc jednej wizyty koleżanki w zeszłym roku. Wypytywała o nożownika.

– Jej godność?

– Dobrosława Machniewicz – odparła, a w jej głosie zabrzmiało coś na kształt nuty goryczy.

No, tak, mógł się tego spodziewać. Ciekawska pani detektyw wiedziała, gdzie węszyć.

– A oprócz tego?

Pokręciła głową.

– Podejrzewa pan, że to może mieć związek? Znaczą się śmierć mojej siostry z nożownikiem? – upewniła się.

– Bierzymy pod uwagę każdą możliwość.

– Ale przecież to nonsens! – Podniosła głos. – Przecież on nie żyje!

– Owszem, ale to w niczym nie przeszkadza. W historii seryjnych morderców nie brakuje naśladowców. Jest pani pewna, że przez te sześć lat nie wydarzyło się nic niepokojącego?

Magda Niemczycka przez chwilę kręciła głową, przetrawiając usłyszaną hipotezę.

– Nie. Nic więcej nie kojarzę.

Czarnecki z trudem stłumił westchnienie.

– Dobrze, w takim razie przejdźmy dalej. Mówiła pani, że nie utrzymywała kontaktów z siostrą i nie wie, czy miała jakichś wrogów.

A czy pani i pani siostra mają jeszcze jakąś rodzinę? Bliższą, dalszą? – spytał i dopiero w tym momencie zorientował się, że użył czasu teraźniejszego zamiast przeszłego.

– Powiedziałam wczoraj, że nie sądzę, żeby miała jakichś wrogów, a nie że nie wiem, czy ich miała – odrzekła poirytowana, zupełnie tego nie zauważając. – Karolina obracała się raczej w nieciekawym towarzystwie, ale mimo wszystko nie sądzę, by ktoś miał jej źle życzyć, a śmierci to już w ogóle! Tym bardziej że jako jedna z nielicznych ze swojego towarzystwa miała stały dochód, a to oznaczało, że przynajmniej raz w miesiącu mogła postawić coś kompanom od kieliszka.

– Jaki stały dochód miała pani siostra?

– Rentę socjalną. Siostra miała wypadek samochodowy przed maturą, zresztą właśnie z tego powodu jej nie zdała. Od tamtej pory miała problemy z kręgosłupem.

Czarnecki przeliczył szybko, że musiało to być w 2001 roku.

– Pamięta pani jakieś szczegóły? Co to był za wypadek?

– Siostra wracała wieczorem z dyskoteki i jakiś samochód ją potrącił. Taka przynajmniej była oficjalna wersja. – Uśmiechnęła się z przekąsem.

– A nieoficjalna?

– O to musiałby pan ją zapytać. Ale już pan nie może.

Z trudem zdusił westchnienie. No, nie mógł, nie dało się ukryć. Siostra ofiary też nie wykazywała wielkiej woli współpracy.

– A co z tą rodziną? Poza panią miała jeszcze jakąś rodzinę?

Magdalena zacisnęła usta w linijkę.

– Miałyśmy siostrę – przyznała w końcu z ociąganiem.

– Miałyście? To co się z nią stało? – Czarnecki od razu wyczuł nowy trop policyjnym nosem.

Kobieta znów milczała dłuższą chwilę. Marcin przyglądał jej się z zastanowieniem, czekając. Dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo podobna była do ofiary. Ten sam kształt nosa, zarys policzków, brwi, drobne piegi. Gdyby nie kolor włosów, można by je ze sobą pomylić. „Ciekawe, czy trzecia siostra też była do nich podobna”, przemknęło mu przez głowę.

– Miała na imię Renata – powiedziała w końcu. – Była młodsza od Karoliny o cztery lata, a starsza ode mnie o dwa. – Znów zrobiła pauzę.

– I? – Czarnecki nie wytrzymał. Z wiekiem i kolejnymi latami służby robił się coraz bardziej niecierpliwy.

Wzruszyła ramionami.

– Gdy tylko weszliśmy do Unii, czmychnęła za granicę.

– I gdzie teraz przebywa? Wielka Brytania, Niemcy, Włochy? – dociekał.

– A kto ją tam wie, gdzie ona przebywa! – prychnęła rozeźlona. – Raz napisała do mnie na Facebooku, niby że z Londynu. Może i była w tym Londynie, bo trochę zdjęć powstawiała, choć na wszystkich miała czarne okulary, więc nawet nie byłam pewna, czy to naprawdę ona. Pisała, niby że pracę ma dobrą, w biurze, ale za grosz jej nie wierzyłam. Ona ledwie zawodówkę skończyła, kto by ją tam chciał do biura. – Wydęła wargi. – A kilka dni później skasowała konto i tyle ją widziałam.

Czarnecki widział wyraźnie, że kobieta ma w sobie mnóstwo żalu do starszej siostry. Czy dlatego, że jej samej nie udało się wyrwać do lepszego życia? A może chodziło o całkiem coś innego? Już na pierwszy rzut oka widział, że w tej rodzinie coś mocno nie grało.

– Kiedy to było?

– Ja wiem? – Zastanowiła się. – Zuzia była mała, a Hani jeszcze nie było, więc z pewnością gdzieś między dwa tysiące ósmym a dwa tysiące jedenastym. Może nawet dwa tysiące dziesiątym, bo w ciąży też wtedy jeszcze nie byłam.

Kiwnął głową. Czyli zdecydowanie dużo wcześniej, niż wyszła na jaw sprawa nożownika. Może nawet niepotrzebnie dociekał.

– Więcej rodziny panie nie miały?

– Nie.

Jeden z punktów zaczepienia mu właśnie odpadł.

– Rodzice nie żyją? – upewnił się na wszelki wypadek.

Twarz Magdaleny zobojętniała. Tak jakby z opowieścią o siostrze, która uciekła, zniknęły też jej wszystkie emocje. Wbiła wzrok w ścianę tuż nad jego głową i zaczęła mówić.

– Ojca nawet nie znałam. Miałam być lekarstwem na rozpadający się związek, ale widać było za słabe. Odszedł, gdy miałam niespełna rok. Potem matka całkiem się rozpiła. – Jej monotony głos brzmiał, jakby opowiadała nudny film, który widziała w telewizji. Czarnecki wiedział jednak, że to tylko pozory.

– Przykro mi – powiedział szczerze. – Kiedy umarła?

Kobieta oderwała spojrzenie od ściany i popatrzyła prosto na niego.

– Dlaczego umarła? – zdziwiła się. – Żyje. Przecież mieszkała z Karoliną.

Czarnecki poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Byli wczoraj w mieszkaniu ofiary i nie było tam nikogo, prócz harujących w bałaganie myszy.

– Jak to mieszkała z Karoliną? To gdzie teraz jest?

Wzruszyła ramionami.

– Tego to nie wiem – mruknęła pod nosem. – Może w piekle.

Ostatnie słowa nie uszły uwadze komisarza. Poczul, że musi jak najszybciej zadzwonić do Andruszkiewicza. Wiadomość o matce mieszkającej ze zmarłą wszystko zmieniała.

– Dlaczego mówiła pani, że nie macie więcej rodziny. Dlaczego dopiero teraz?!

Magdalena zwiesiła głowę i zapatrzyła się w czubki swoich pantofli.

– Taka matka to prawie tak, jakby jej nie było. Czasem nawet lepiej, żeby jej nie było – szepnęła.



Dobrosława z impetem wjechała na podwórko przed małym, białym domkiem i na sam jego widok poczuła, jak wszystkie wspomnienia znów stają jej w gardle. Właśnie dlatego nie chciała pomóc Magdzie zająć się sprawą zabójstwa jej siostry – każdy najmniejszy element, każdy drobny szczegół sprawiał, że przeszłość wracała do niej ze zdwojoną siłą.

Przez moment poczuła, że chce jej się płakać.

Wyszła z samochodu, trzaskając drzwiami. Przez całą drogę zastanawiała się, co powie Magdzie, jak wypytać o przeszłość, jednocześnie nie dając jej złudnych nadziei, że przyjmie jej propozycję. Chciała wiedzieć, co uwiera Ludmiłę, jednocześnie nie włączając się w tok śledztwa. Nadal nie wymyśliła, jak to zrobić.

„Jak zwykle będę improwizować”, pomyślała z niechęcią. W sumie całkiem jej to nieźle już ostatnio wychodziło.

Stała przed wejściem i nacisnęła mocno dzwonek. Przenikliwe „dzyń” rozległo się po drugiej stronie domu. Zapatrzyła się oczekująco na drzwi... i nic.

„Nie ma jej?”, pomyślała, przestępując z nogi na nogę. Mijały kolejne minuty. Zadzwoiła drugi raz... I trzeci. Już miała zadzwonić czwarty, ostatni, gdy w końcu usłyszała odgłosy kroków, po czym drzwi nagle się otworzyły.

Nabrała oddech i już miała powiedzieć: „cześć”, gdy w tej samej chwili ją zatchnęło.

Przed nią stał komisarz Marcin Czarnecki.



Czarnecki w końcu uznał, że czas pożegnać się z Magdaleną Niemczycką. Wiedział już chyba wszystko, co chciał, a to, czego mu teraz nie powiedziała, i tak byłoby trudno z niej wyciągnąć. Przynajmniej na razie... Relacje w rodzinie Karaś zdawały się mocno skomplikowane. Priorytetem zresztą w tej chwili pozostawało odnalezienie matki, która, biorąc pod uwagę, w jakim stanie znaleźli starszą córkę, mogła być w prawdziwych tarapatkach. Co gorsza, kompletnie nie wiedział, gdzie zacząć poszukiwania. Magdalena Niemczycka przyznała, że ich matka również była uzależniona od alkoholu, jednak jej stan zdrowia sprawił, że w ostatnich latach piła zdecydowanie mniej – głównie dlatego, że właściwie nie wychodziła już z domu i mogła liczyć tylko na Karolinę. Kobieta przyznała, że sama odwiedzała matkę nader rzadko, ostatnio była u niej gdzieś latem, ale nie potrafiła powiedzieć, kiedy dokładnie. Równie dobrze mogła zniknąć dużo, dużo wcześniej i nikt tego nie zgłosił.

– Czy może pani dać mi najbardziej aktualne zdjęcie matki? – poprosił tuż przed wyjściem.

Niemczycka niechętnie skinęła głową.

– Dobrze – powiedziała. – Ale najbardziej aktualne mam sprzed kilku lat.

Z rozpaczą pomyślał, że im bardziej w las, tym więcej w tej sprawie kłód pod nogami.

– Niech będzie. Jakie pani ma.

– Proszę w takim razie poczekać chwilę

Niemczycka zniknęła za drzwiami. Czarnecki zapatrzył się z zadumą w okno. Gdzie ona mogła się podziać? Kobieta nie na chodzie, uzależniona od córki. Zimny dreszcz przebiegł mu przez plecy. W swojej długiej karierze policyjnej seryjnych morderców mógł policzyć na palcach jednej ręki. Prawdziwego psychopatę, takiego jak z filmów, znał jednak tylko jednego.

Całe szczęście był on martwy od trzech lat.

Jego ponure myśli przerwał dzwonek do drzwi. Zerknął ciekawie w stronę wejścia, zastanawiając się, kto też przyszedł do gospodyni, akurat teraz, o takiej dziwnej południowej godzinie. Może ktoś, kto znał jej siostrę? Albo matkę? W sytuacji, w której się znalazł, każdy, nawet najbardziej lichy trop, miał znaczenie.

Dzwonek rozległ się po raz drugi. Magdy Niemczyckiej wciąż nie było. Nie wiedział, gdzie poszła po te zdjęcia. Może na strych albo do piwnicy? Biorąc pod uwagę stosunki matki z córką, wszystko było możliwe. Jeżeli potrwa to dłużej, niespodziewany gość gotów zniecierpliwic się i odejść.

Dzwonek rozległ się po raz trzeci. Był krótki, natarczywy i praktycznie zaraz po poprzednim. Komisarz wiedział: to już ostatni. Gdzieś nad jego głową rozległ się głośny hurgot. Trzeba było podjąć w końcu jakąś decyzję.

Wahał się dosłownie przez sekundę, po czym wstał i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę...

Przed nim stała detektywka Dobrosława Machniewicz. Sam nie wiedział dlaczego, ale ucieszył się na jej widok i mimowolnie uśmiechnął.



Dobrosława dłuższą chwilę wpatrywała się w komisarza z niedowierzaniem. Owszem, powinna przypuszczać, że ich drogi mogą się przeciąć, skoro zajmował się zabójstwem Karoliny Karaś. Nie sądziła jednak, że nastąpi to tak szybko.

– Witam, pani detektyw. – Marcin Czarnecki uśmiechnął się pod nosem. – Czy to nie przypadek, że zawsze znajduje się pani tam, gdzie coś się dzieje?

Przełknęła ślinę.

– Przypadek – odpowiedziała niechętnie. – A pan? – spytała głupio, nim ugryzła się w język.

– Przecież pani wie.

Znów zrobiła z siebie idiotkę. Trzeba było jednak milczeć. Komisarz Czarnecki zdawał się jednak nie zwracać na to uwagi, bo kontynuował.

– Tak przy okazji... czy zna pani Zofię Karaś? Matkę ofiary i pani Magdaleny?

Zapatrzyła się na niego, zastanawiając się, dlaczego pyta akurat o Zofię. Gdyby był miejscowy, z pewnością wiedziałby, że każdy słyszał to czy tamto o Zofii Karasiowej. I to raczej z tych gorszych niż lepszych rzeczy.

– Tak, z widzenia – odpowiedziała wymijająco. Już miała dodać: „musiała bardzo przeżyć śmierć córki”, ale w ostatnim momencie pomyślała, że w gruncie rzeczy byłoby to kłamstwo. Zofii Karaś nie obchodziło nic prócz własnego bólu i choć z pewnością przejęła się

tragiczną śmiercią córki, to byłaby to dla niej tylko kolejna okazja, by zatopić uczucia w butelce.

– A kiedy widziała ją pani ostatnio?

Tego pytania kompletnie się nie spodziewała.

– Kiedy? – zająknęła się. – Nie wiem... pięć lat temu? – Strzelała, równie dobrze mogło to być dziesięć i więcej. Możliwe nawet, że jeszcze w czasie, gdy chodziła razem z Magdą do jednej klasy.

– A zna pani kogoś, kto utrzymywał z nią bliskie kontakty?

– Prócz córek? Może sąsiedzi... Władysław Bania. – Przyszło jej nagle do głowy jedno nazwisko. – Nie, proszę mnie nie słuchać, to było bardzo dawno temu. Naprawdę nie wiem. Nie mieszkam tu od wielu lat. – Uśmiechnęła się przepraszająco.

Widziała, że mimo to zanotował nazwisko w myślach.

– Nikogo więcej pani nie kojarzy? Nikogo, kogo można by ewentualnie zapytać?

Zaprzeczyła.

– A właściwie, dlaczego pan pyta?

Zawahał się przez sekundę.

– Pani Zofia zniknęła. Nie możemy wykluczyć, że została porwana.



Październik 1999 roku

Piłka do koszykówki odbiła się od tablicy i przez sekundę zatańczyła na obręczy. Już wydawało się, że wpadnie do siatki, gdy nagle ześlizgnęła się z metalu i spadła wprost na ziemię. Odbiła się kilkakrotnie i potoczyła po nierównościach.

– Pudło – powiedziała beznamiętnie Daria. Siedziała kilka metrów dalej na trawie.

– Przecież widzę – fuknęła rozeźlona Renata i zaciskając pięści, ruszyła po piłkę.

– Może chodźmy do domu – zasugerowała niepewnie Ludmiła, gdy koleżanka wróciła i szykowała się do kolejnego rzutu. – Zaraz będzie ciemno. Wywiadówka też będzie się kończyła.

– E tam – prychnęła Renata. – Wywiadówka-sratówka.

Łatwo jej było mówić. Zainteresowanie postęпами w nauce córek kończyło się zawsze u Zofii Karaś na najmłodszym dziecku. Dlatego od czasu, gdy najmłodsza siostra Renaty, Magda, poszła do szkoły, jej martwienie się wywiadówkami kompletnie zniknęło. Wystarczyło, że przechodziła z klasy do klasy.

– Łatwo ci mówić – mruknęła Ludmiła, bawiąc się jakimś znalezionym na ziemi kamieniem.

Renata rzuciła ponownie piłką, tym razem jednak ta nawet nie musnęła obręczy.

– Do dupy. – Splunęła, łapiąc piłkę po pachę. – Zresztą możemy iść, jak chcecie. To i tak nie mój dzień.

Daria powoli podniosła się z trawy. Ona również przesadnie nie przejmowała się wywiadówką, choć akurat jej starzy byli bardzo wymagający. Była jednak piątkową uczennicą i jedynie ostatnia trójka z fizyki mogła przyczynić się do jakiegoś ochrzanu.

– To gdzie idziemy? – spytała, otrzepując modne džinsy z paprochów.

– Do domu? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Ludmiła.

– Do domu! Co będziesz robiła w domu? – spytała zgryźliwie Renata. – Chodźmy przed szkołę, przynajmniej zobaczymy, czy jeszcze

siedzą.

– Niech będzie – zgodziła się Daria.

Powoli ruszyły w kierunku budynku szkoły. Ludmiła nie mogła powiedzieć, by było jej to bardzo na rękę. Ewentualny gniew rodzicielki wolała przyjąć w domu. Ewentualny – gdyż z jednej strony oceny miała w tym semestrze naprawdę słabe, jednak jej matka była nauczycielką w szkole i wiedziała o tym już wcześniej. Była więc nadzieja, że kolejna pała z matematyki i uwaga za gadanie na lekcjach nie zrobią na niej większego wrażenia. Jednak co dom, to dom. Przynajmniej mogłaby udawać, że próbuje zgłębiać wiedzę tajemną, jaką były dla niej przedmioty ścisłe, a nie szlaja się z koleżankami po wsi. Jeżeli matka choćby przypadkiem zauważy ją z okna szkoły, ten argument i próba złagodzenia ciosu odpadną definitywnie.

– Młodsze klasy skończyły – zauważyła trzeźwo Renata, przyglądając się zgaszonym na parterze oknom. – Moja matka pewnie już kima w domu.

Ludmiła zerknęła na nią zazdrośnie. Miała wszystko w nosie, choć oceny zbierała jeszcze gorsze niż ona. Do tego dochodziły liczne niesprawiedliwione nieobecności.

Przysiadły na schodach przed wejściem. Mimo że godzina wciąż nie była późna, bo zbliżała się szósta, zaczął zapadać zmrok. Ludmiła miała rację, mówiąc, że jeszcze kilkanaście minut i robi się całkiem ciemno.

Nagle w środku szkoły dało się słyszeć poruszenie.

– Ej, chyba już się skończyło. – Renata szturchnęła Ludmiłę. Dziewczyna błyskawicznie sposepniała.

– Super – powiedziała ponuro. – Teraz to już nie ma sensu wracać na piechotę. Pewnie zabiorę się z matką.

– Ja też – dodała od razu Daria.

Na twarz Renaty wypełzł grymas złości.

– Świetnie. Dzięki wielkie.

Ludmiła wzruszyła ramionami.

– Mówiłam wcześniej, żeby już wracać.

Renata wsadziła ręce w kieszenie.

– Jak sobie chcecie – burknęła. Wyglądała, jakby chciała odwrócić się na pięcie i odejść, jednak nie zrobiła ani kroku.

– Podwieziemy cię może – zaoferowała się Daria.

Drzwi prowadzące do szkoły otworzyły się i ze środka wyszło kilka kobiet.

– ...takie rzeczy, w takim stanie przyjść do szkoły! – rozległ się wzburzony głos jednej z nich. Druga matka zauważyła nastolatki i chrząknęła głośno.

– Jak tak można! – dodała jeszcze pierwsza, gdy jej wzrok również padł na dziewczyny. W jednej chwili jej wyraz twarzy się zmienił. Już nie była oburzona. W jej wzroku dominowała... litość.

Renata pochwyciła jej wzrok. Ludmile wydawało się, że zbladła, ale w tym świetle mogło to być tylko złudzenie.

Z korytarza dobiegł rumor. W jednej chwili wzrok wszystkich skierował się w tamtą stronę. Daria z Ludmiłą podsunęły się do drzwi, zaglądając przez nie ciekawie. Pośrodku przejścia leżała rozciągnięta Zofia Karaś. Leżała na wznak, wpatrując się w sufit i bełkocząc coś pod nosem. Jej lewa ręka kreśliła w powietrzu okręgi, jakby próbowała coś komuś wytłumaczyć.

– Dam ja gówniarze... Niech tylko wrócę do domu... – usłyszały urywane zdania.

Daria odwróciła się.

– Renata? – spytała.

Za nią jednak nie było nikogo. Tylko ciemność zapadła nad niewielką podkarpacką wioską. Dziewczyna zniknęła.



– Porwana? – Dobrosława musiała przez dłuższą chwilę obrócić to słowo kilkakrotnie w głowie, nim wypowiedziała je na głos. – Po co ktoś miałby ją porywać?

Uśmiech, który zagościł na twarzy Czarneckiego, wydawał się nad wyraz cierpki.

– Z tego samego powodu, dla którego ktoś dokonał zabójstwa na Karolinie Karaś. Z zemsty.

Zemsta. Piękny, odwieczny motyw. Tylko żeby miał sens, zemsta musiała mieć gdzieś swoje korzenie. Zupełnie nie widziała ich ani w przypadku Karoliny, ani jej matki. Oczywiście, święte nie były. Ale też nie były łajdaczkami. Jeżeli miałyby się na kimś mścić – to wzajemnie, same na sobie.

– Nie widzę w tym za grosz sensu – wyrwało jej się. – Dlaczego ktoś miałby mścić się akurat na nich? Co je ze sobą łączy, oprócz więzów rodzinnych?

Komisarz chrząknął, jakby coś mu utknęło w gardle. Mogła się założyć, że właśnie pomyślał o papierosie.

– Dokładnie: więzy rodzinne – powiedział, wsadzając ręce do kieszeni marynarki. – A dokładniej rzecz biorąc, osoba pani Magdaleny.

– Podejrzewa pan Magdę? – spytała z niedowierzaniem.

– Mógłbym, ale pani Magdalena ma akurat alibi. Wczoraj wróciła z podróży służbowej dopiero po odkryciu zabójstwa, co potwierdza kilka

osób. Ale osoba pani Magdaleny łączy się z całkiem inną sprawą, o czym doskonale pani wie.

Zawiesiła na nim wzrok. Poczwała, jak serce szybciej zaczyna jej uderzać. Nie, niemożliwe.

– Myśli pan o nożowniku? – Czuła, jak narasta w niej gniew. Przecież był dobrym policjantem. Musiał wiedzieć, jeżeli to, co udało jej się ustalić, było prawdą. Choć może jednak wolałaby się łudzić, że jednak nie wiedział. Wolałaby myśleć, że może i nie jest tak przenikliwym śledczym, jak sądziła, ale że ma jakieś zasady.

– Powiedzmy – powiedział oględnie.

Gniew zaczął buzować, rozlewał się po całym ciele.

– Powiedzmy, czyli chodzi panu o Więcha czy o Wójcickiego? O człowieka, który był prawdziwym nożownikiem, czy o tego, którego zamknęliście pod tym pozorem? – spytała lodowato.

Nie odpowiedział. Cierpki uśmiech przeszedł w mimowolne skrzywienie. Wiedział. Już wiedziała, że wiedział.

– Skąd... – zaczął i urwał gwałtownie. – Dlaczego sądzi pani, że Damian Więch był nożownikiem?

Przez chwilę mierzyli się wzajemnie wzrokiem.

– Popełnił pan błąd – odezwała się w końcu pierwsza. – Od razu powinien pan pytać dlaczego, a nie skąd wiem.

Dziwny błysk zalśnił mu w oczach. Pomyślała, że jest w nich coś niepokojącego, coś, czego nie dostrzegała w chłodnym, choć w gruncie rzeczy poczciwym komisarzy. Poczwała, jak ciarki przechodzą jej przez plecy. A jednak?

Ze środka domu dobiegły kroki.

– Dobrosława? – Za plecami Czarneckiego pojawiła się Magda. W rękach trzymała stary album fotograficzny. – Nie spodziewałam się ciebie. Wy się znacie? – Popatrzyła to na policjanta, to na koleżankę.

– Mieliśmy okazję się spotkać – wyjaśnił szybko Czarnecki. – Znalazła pani zdjęcia? – Zmienił temat, kierując uwagę na albumy.

– Tak, już wszystko panu pokażę, Poczekasz chwilę? – zwróciła się do Dobrosławy. – Przed domem jest ławka, wiesz, pan policjant...

– Tak, proszę poczekać na zewnątrz – przytaknął komisarz, łypiąc pobłaźliwie okiem na detektywkę. – Nie powinna pani zdobywać poufnych informacji.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że się z niej w duchu naigrawa. Nie wytrzymała, choć powinna. Choć przecież do końca nie była pewna, czy rzeczywiście ma rację. Mimo to nie darowała sobie. Nie przygryzła języka.

– Mam o wiele więcej poufnych wiadomości, niż się panu zdaje.



Czarnecki patrzył na detektywkę Dobrosławę i czuł, jak puls mu przyśpiesza. Wie? Nie wie? Czy naprawdę zdawała sobie sprawę, co zdarzyło się tej listopadowej nocy?

Jeżeli tak, mógł śmiało powiedzieć, że była już wrogiem, nie sojusznikiem.



Listopad 2016 roku

Koniec listopada, czarna i nieprzenikniona noc. Czarnecki siedział w samochodzie na jednym z leśnych zjazdów, wpatrując się w oblepiający wszystko mrok, a ten zdawał się gęstnieć i zacieśniać wokół niego. Czy już wtedy zamierzał nie wypuścić go ze swoich rąk?

Gdzieś za zakrętem błysnęły krótko światła. Zaciśnął mocniej dłonie na kierownicy. Nie spuszczał oczu z leżącej gdzieś wśród tej ciemności drogi. Chwilę później przemknął po niej mały bus.

Odpalił silnik i ruszył za nim, mając nadzieję, że to ten, na który czeka. W ciemnościach nie widział ani koloru, ani napisów, właściwie to tylko po długości samochodu i rozstawieniu świateł mógł zgadywać, że to akurat bus. Jeżeli nie trafił, będzie musiał się wrócić.

Po kilkuset metrach wiedział już, że się nie pomylił, przydrożna latarnia oświetliła jadący przed nim pojazd, a on sam zaczął zwalniać. Czarnecki również się zatrzymał, w pewnej odległości. Nie było to zbyt bezpieczne, ale wtedy przecież jeszcze nie wiedział, co zdarzy się później. Wciąż się wahał: interweniować czy pozostawić sprawę własnemu biegowi? Od kiedy odkrył, że to Damian Więch, kuzyn ostatniej ofiary, jest nożownikiem z Podkarpacia, myślał o tym intensywnie i zdał sobie sprawę, że nie ma wielkiego pola manewru. Jeżeli oficjalnie zakwestionuje wyniki śledztwa, nie będzie miał już czego szukać w Rzeszowie. Nawet jeżeli to on miał rację. Układy i wspólne zależności sprawią, że będzie skończony.

Drzwi busa się otworzyły. Jeżeli na przystanku wysiądzie więcej osób, pojedzie dalej, do Rzeszowa, i już nigdy nie będzie myślał o sprawie nożownika – pamiętał, że przemknęło mu wówczas przez głowę. Jeżeli zaś wysiądzie sam...

W głębi duszy chyba chciałby, żeby wysiadło więcej osób. Wówczas czułby się rozgrzeszony przez los.

Niski, szczupły mężczyzna zeskoczył na pobocze i drzwi busa się zatrzasnęły. Czarnecki poczuł, jakby zatrzasnęły mu się prosto na twarzy. Czy wciąż nie zdawał sobie sprawy z tego, co nastąpi? Czy naprawdę łudził się, że to będzie zwykła rozmowa?

Bus powoli ruszył z miejsca i chwilę później już go nie było. Mężczyzna rozejrzał się na boki, po czym skręcił w boczną drogę w stronę Węglówki.

Marcin pomyślał, że nie ma na co czekać. Albo teraz, albo się rozmyśli, a los w końcu jasno dał mu do zrozumienia, co sądzi o całej sytuacji.

Jak łatwo jest w takich sytuacjach zwałać winę na fatum, jak łatwo obarczać swoimi błędami świat.

Skręcił za mężczyzną i zatrzymał się gwałtownie tuż obok niego. Pchnął drzwi.

Przez sekundę widział zaskoczenie na twarzy Więcha.

– Wsiadaj! – warknął do niego. – Na co czekasz?

Sam był zdziwiony, gdy mężczyzna bez słowa zajął miejsce tuż obok niego.



Ciepłe promienie słońca padały na twarz Dobrosławy. Ogródek miał zapach spokojnego, jesiennego południa, rumianych jabłek i dojrzewających śliw. Istna sielanka. Tyle że jedynie pozorna.

Karolina nie żyła. Możliwe, że Zofia Karaś – jak twierdził Czarnecki, a co wciąż nie mieściło jej się w głowie – została porwana. I jeszcze do tego sam komisarz. Ciarki przebiegły jej po karku na wspomnienie jego chłodnego wzroku. Była coraz bardziej przekonana, że wcale się nie pomyliła.

Nie wiedziała, jak długo tkwiła na tej ławeczce, nim drzwi do domu Magdy znów się otworzyły. Pewnie kilka minut, choć jej zdawało się, że minęło wiele więcej.

– Już skończyliśmy – powiedział Czarnecki poważnie, przyglądając się jej z uwagą. – Do zobaczenia, pani Dobrosławo.

Kolejny dreszcz pojawił się wzdłuż linii kręgosłupa.

– Do zobaczenia – mruknęła pod nosem.

Magda stała w drzwiach z dziwną miną, przyglądając się to koleżance, to policjantowi.

– Zmieniłaś zdanie? – Otworzyła drzwi, zapraszając ją gestem do środka.

– Nie do końca – przyznała ze skruchą, pozwalając się zaprowadzić do pokoju.

– W sumie to wcale ci się nie dziwię, że nie chcesz babrać się w tym gównie – powiedziała szczerze koleżanka. – Ten, co właśnie wyszedł, też chyba żałuje, że musiał wziąć tego strupa na głowę.

Dobrochna usiadła na fotelu.

– Właśnie, a o co chodzi z twoją mamą? Że niby została porwana?

Niemczycka machnęła lekceważąco dłonią.

– Taaa... porwana. Ciekawe, kto i po co miałby ją porywać. Jak dla okupu, to kiepsko trafili. Właściwie to zastanawiam się, z czego jej opłacę depees, bo emeryturę ma marną, a do domu jej za żadne skarby świata nie wezmę. A jak nie znajdę jej miejsca, będę musiała opłacić opiekunkę. Ech, Karolina, Karolina – westchnęła ciężko. – Dlaczego teraz?

Dobrochna pomyślała, że w sumie, gdyby jej siostra miała mieć jakiś wybór, z pewnością nie dałaby się zamordować.

– Czyli definitywnie odrzucasz wersję o porwaniu? Komisarz wydawał się pewny swego.

Magda pokręciła głową.

– Gdyby wiedział, jak było, nie opowiadałby głupot. Matka pewnie poszła w tango, bo Karolina jej wódki nie chciała przynosić. Żarły się ze sobą jak pies z kotem, przez cały czas.

– Ona nie jeździła na wózku? – upewniła się. Jak przez mgłę pamiętała, że mama albo Ludmiła wspominały coś, że Zośka Karasiowa ostatecznie straciła władzę w nogach.

– Jak coś trzeba było zrobić, to owszem, jeździła. Ale jeżeli trzeba było iść po wódkę, to od razu zdrowiała. Zresztą powiem ci, że mam to w nosie. Niech idzie i siedzi sobie, gdzie chce. Dość mi nerwów napsuła, żebym teraz jeszcze się o nią martwiła. Najchętniej to już dawno wyprowadziłabym się byle dalej od niej, ale Przemek nie chciał o tym słyszeć. A teraz i dom już mamy, i swoje życie. Tylko muszę wymyślić, co z nią teraz zrobić po śmierci Karoliny – ponownie westchnęła. – Miałam nadzieję, że to ona będzie się z nią użerać na stare lata.

– To Karolina się nią zajmowała w ostatnim czasie?

– Tak, Karolina. W sumie zajmowała to trochę duże słowo, ale... obydwie były sobie warte – dokończyła z przekąsem. – W każdym razie pewnie znajdzie się za kilka dni, gdy kompani do picia nie będą już chętni do stawiania. Ale po to właśnie przyszedłeś? By rozmawiać o mojej matce? – spytała nagle.

– Właściwie... właściwie to chciałam porozmawiać o Renacie – przyznała wymijająco Dobrosława.

Magda skrzywiła się lekko.

– O Renacie... – mruknęła. – Właściwie to nie bardzo jest o czym rozmawiać.

– Nie masz z nią najmniejszego kontaktu? – zdziwiła się.

Pokręciła głową.

– Żadnego od lat. Ale Renata zawsze była suką i wcale mnie to nie dziwi. Co ją tu trzymało? Zresztą na jej miejscu zrobiłabym to samo. Tyle że jest już za późno. – Rozłożyła teatralnie ręce w geście bezradności.

– Nie żal jej było znajomych? – W ostatniej chwili ugryzła się w język przed słowem „rodziny”.

– Czego jej niby miało być żal? Od czasu, gdy zamordowano Darię, stała się kompletnym wyrzutkiem. Jedna przyjaciółka zginęła, druga, twoja siostra, przestała się do niej z dnia na dzień odzywać... czego miało jej być żal?

– Wiesz, jak wtedy było. Wszystkim nam zabroniono wychodzić z domu w obawie, że w okolicy grasuje szaleniec. – Starła się jakoś wytłumaczyć Ludmiłę. Przecież tak wtedy było naprawdę: z dnia na dzień dzieci i młodzież przestały spotykać się na zewnątrz. Ze szkoły wszyscy wracali pod nadzorem dorosłych, a wyjście na zewnątrz po zmroku było surowo zabronione. To była bardzo smutna zima, bo gdy nawet spadł śnieg, nikt nie wychodził na zewnątrz pojeźdzać na sankach.

Magda uśmiechnęła się cierpko.

– Z tego, co wiem, Ludmiła przestała się do niej zupełnie odzywać. – Dwa ostatnie słowa wypowiedziała głośniej, po czym wzruszyła ramionami. – Ale to w końcu nie była nasza sprawa, nie? Kłótnie między przyjaciółkami się zdarzają. Zresztą patrząc na to, co Renata wyprawiała, wcale jej się nie dziwię.

Dobrosława poczuła się nieswojo. Pomyślała o Ludmile, o jej zaciętej twarzy, gdy wspominała starą sprawę. Wiedziała, że to nie może być przypadek.

– Nie wiesz, o co chodziło? Siostra niechętnie o tym mówi... – dodała, chcąc usprawiedliwić swoją ciekawość, tymczasem poczuła się, jakby co najmniej zdradziła Ludmiłę, rozmawiając o tym z postronną osobą.

Koleżanka pokręciła głową.

– Nie, naprawdę nie pamiętam. To było dawno, a my przecież miałyśmy wtedy po jedenaście lat. W sumie to niewiele już pamiętam z tamtego okresu, prócz jakichś urywków. Wiesz, że matematyczka mnie gnębiła czy że dostałam pałę za wypracowanie, które napisała za mnie Renata. I Daria... Oczywiście doskonale pamiętam ten dzień, kiedy ją odnaleziono. – Nabrała powietrza. – Ty na pewno też go przecież pamiętasz. – Utkwiła w niej wzrok, jakby czekała na potwierdzenie, że Dobrosława pamięta ten dzień tak samo jak ona.

Oczywiście: pamiętała.

Dwudziestego dziewiątego listopada, andrzejki. Lecz tego roku nikt nie myślał o wróżbach ani zabawach. Zaginionych dziewcząt nie było już od ponad tygodnia. Poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów, nie było ich ani żywych, ani martwych, jakby rozplynęły się w powietrzu. Jednego dnia były, a drugiego jakby nigdy nie istniały. Starsza, Malwina, wyszła wieczorem z domu, do koleżanki, jak powiedziała, lecz nigdy do żadnej koleżanki nie dotarła. Młodsza, Daria, zniknęła z własnego łóżka w czasie, gdy powinna spać. Nikt nigdzie ich nie widział, nikt nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd mogły pójść. Ruszyły programy telewizyjne, przedrukowywano zdjęcia w gazetach. Na darmo.

Tego dnia rano Dobrochna zeszła do kuchni, by zjeść śniadanie, a później miała pod opieką matki jechać razem z Ludmiłą do szkoły. Brakowało jej spacerów, brakowało jej rozmów toczonych z koleżankami, wzajemnych śmiechów, żartów, najbardziej jednak

brakowało jej uśmiechu na twarzy siostry. Ludmiła od czasu zaginięcia najlepszej przyjaciółki praktycznie się nie odzywała.

Bez smaku zjadła płatki z mlekiem, po czym odsunęła pusty talerz.

– Ja jestem gotowa – zakomunikowała bez entuzjazmu.

Rodzice spojrzeli na siebie znacząco.

– Dzisiaj zostajecie w domu – powiedziała mama dziwnie miękko i Dobrochna już wiedziała.

Dopiero później dowiedziała się, że pies odkopał na wałach ludzkie szczątki.

– W sumie to był bardzo nerwowy czas. – Zamyślony głos Magdy sprowadził ją na ziemię. – Każdy się bał, każdy każdego oskarżał. Doskonale pamiętam, jak Tomek z szóstej be dał mi w twarz, bo niby to była wina mojej siostry. – Potarła wierzchem dłoni twarz, jak gdyby samo wspomnienie spowodowało pieczenie. – W sumie może i miał rację? Może rzeczywiście Renata coś wiedziała?

Dobrochna poczuła ciężar osiadający w okolicach serca. Jeżeli Renata coś wiedziała, musiała wiedzieć to też Ludmiła. Czy dlatego nie chciała o tym wspominać? Czy dlatego przestała się odzywać do dawnej przyjaciółki?

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała nie swoim głosem.

Magda skrzywiła się nieznacznie, odrywając palce od policzka.

– Nie wiem, Renata zawsze była dziwna. Włóczyła się sama wieczorami, nikomu nie mówiąc, gdzie i po co idzie. I szczerze mówiąc, wydaje mi się, że wtedy też jej nie było w domu.

Dobrosława wpatrywała się w koleżankę w milczeniu.

– Znaczący się tej nocy, kiedy one zagięły. Wiesz, mówiłam, że pamiętam z tamtego czasu same pierdoły... – Zawahała się, jakby

zastanawiając się, czy aby na pewno powinna o tym wspominać, zaraz jednak skapitulowała. – Ale tej nocy wstałam napić się wody. Miałam koszmary, nie mogłam spać. I wstając, zauważyłam, że Renaty nie ma w łóżku. Myślałam, że może też poszła się napić. Ale tam jej też nie było. Tylko matka leżała pijana w kuchni, więc musiałam uważać, by dojsć do kranu... – Zrobiła pauzę. Dobrochna domyślała się, że nawet teraz, po tylu latach, ciężko jej o tym opowiadać.

– Myślisz, że twoja siostra mogła mieć z tym coś wspólnego? – spytała łagodnie.

Magda wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? – powiedziała buńczucznie, choć wyraźnie maskowała w ten sposób zdenerwowanie. – Wtedy jednak słyszałam przez sen, jak otwierały się drzwi wejściowe. A potem Renata znów była w łóżku. Nie wiem, sama nie wiem... – westchnęła, potrząsając głową. – Czasami miałam jednak wrażenie, że ona coś wie na temat tej Darii. A jeżeli nawet nie wie, to się domyśla. Przecież koniec końców okazuje się, że zawsze w każdej plotce jest ziarno prawdy, więc dlaczego by nie miało być w tej od Tomka z szóstej be?

Dobrochna nie była przekonana, ale skinęła potakująco głową.



Październik 1999 roku

– *Karaś Renata?*

– *Obecna – mruknęła dziewczyna i odruchowo skuliła głowę w ramiona, wpatrując się tępo w pustą tablicę.*

Po klasie rozległ się stłumiony śmiech. Nauczycielka odkaszlnęła głośno, udając, że go nie słyszała, i przeczytała kolejne nazwisko z listy.

Przez pierwszy tydzień po pamiętnej wywiadówce Renata nie pojawiła się w szkole ani razu. Gdy Ludmiła z Darią zapukały do jej domu któregoś popołudnia, by sprawdzić, co dzieje się z koleżanką, Karolina burknęła im tylko, że siostra jest chora, i zatrzasnęła im drzwi przed nosem. Nie tylko nie pojawiała się przez ten czas w szkole, ale i nie wychodziła popołudniami.

W sumie chyba dobrze zrobiła, bo zaraz następnego dnia ktoś wyśmiewał się z jej młodszej siostry Magdy. Tyle że ona była jeszcze w podstawówce i szybko któryś z nauczycieli ukrócił złośliwości. W przypadku Renaty, chodzącej do pierwszej klasy gimnazjum, z pewnością byłoby inaczej.

Dziewczyna odważyła się wrócić do szkoły dopiero dwa dni temu, a wciąż słuchała na przerwach docinków. Ktoś ją niby przypadkiem szturchnął, ktoś – nalał wody do tenisówek. I oczywiście przezwiska, szydercze niemiłe przydomki wypowiedane niby przypadkiem tuż koło niej.

Siusiomatka. Obszczycórka.

Tak jakby ona miała na to jakikolwiek wpływ.

Może byłoby inaczej, gdyby była popularna, gdyby obracała się w klasowej śmietance. Wówczas pewnie wszyscy by jej współczuli, pocieszali. Może nawet wystarczyłoby, żeby była miła. Tyle że Renaty nikt nie lubił.

Nauczycielka skończyła czytać listę obecności i odpuszczając odpytywanie, zabrała się do lekcji.

– Dziś porozmawiamy sobie o miejscowych legendach. Czy znacie jakieś stare historie związane z naszą okolicą? – Odwróciła się do klasy, by zapisać temat na tablicy.

– O duchu pijanej matki, która straszyla na szkolnym korytarzu? –
pisnął ktoś z tyłu.

Po klasie poniósł się śmiech.

Nauczycielka zerknęła w stronę, z której dobiegł głos, i zmarszczyła
groźnie brwi.

– Wolałabym, żebyś opowiedział nam historię o trzcinińskim dzwonie,
Szymczyk.

– Szymczyk sam jest jak dzwon – pisnął inny głos. Nauczycielka
uśmiechnęła się tylko cierpko pod nosem i zaczęła opowiadać.

Ludmiła słuchała nieuważnie. Dzięki ojcu znała wszystkie miejscowe
legendy i dokładnie pamiętała też tę o ukrytym przed Austriakami
dzwonie kościelnym, który mieszkańcy chcieli ocalić przed przetopieniem
na armaty, gdy Polska była jeszcze pod zaborami. Widząc któregoś
wieczoru, że żołnierze chodzą wokół kościoła, w nocy ściągnęli dzwon
i zakopali go nieopodal. Wściekli zaborcy odjechali następnego dnia
z niczym. Jednak gdy wojna zbliżała się do końca i mieszkańcy
postanowili dzwon wyciągnąć, okazało się, że zapadł się głęboko
w bagnisko. Od tej pory jak człowiek przyłożył czasem ucho do ziemi,
słysząc było jego głos, dobiegający z głębin...

„Brednie” – miała ochotę powiedzieć, jednak mimowolnie przebiegły
ją dreszcze. Pomyślała o nocy, o ciemnościach, które musiały wówczas
panować, i pośpiechu mężczyzn zakopujących cenny przedmiot. W ziemi
można było znaleźć różne rzeczy.

– Zapewne słyszeliście również opowieści o wałach królewskich.
W tej chwili wiemy już, że nie były one tylko legendami. Jednak jeszcze
na początku dziewiętnastego wieku, kiedy z ziemi wydobyto trzy
pogańskie posążki, sądzono inaczej. Figurki te znalazły się w gabinecie
osobliwości księżnej Izabeli Jabłonowskiej, jednak niestety spłonęły

w pożarze... Zaczniemy więc pisać. Legenda o trzcinińskim dzwonie, o wałach królewskich. – Odwróciła się po raz kolejny i zaczęła pisać na tablicy.

Ludmiła znów zaczęła odpływać myślami, jednak w tej samej chwili poczuła kopnięcie w łydkę. Niechętnie zerknęła w tył, gdzie w ławce siedziała osamotniona Renata. Dziewczyna kiwnęła w jej stronę podbródkiem i podała jej zwiniętą karteczkę w zaciśniętej dłoni.

Ludmiła zawahała się przez sekundę, nim przejęła wiadomość. Ktoś to zauważył i znów parsknął głośniejszym śmiechem. Nauczycielka oderwała rękę z kredą i badawczym wzrokiem przebiegła po uczniach. Karteczka spoczywała już jednak w bezpiecznej dłoni Ludmiły.

Dopiero gdy nauczycielka znów zaczęła notować, rozwinęła liścik i przeczytała.

„Na przerwie w szatni”.

– Co tam? – szepnęła jej Daria.

Ludmiła wsunęła karteluszek w zeszyt.

Nic, nic. Potrząsnęła głową.


Gdy w końcu zadzwonił dzwonek, Renata wyszła z klasy jako pierwsza. Doskonale wiedziała, co ją czeka i że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie zmycie się w ustronne miejsce i przeczekanie przerwy.

Daria powoli spakowała książki do plecaka.

– To co robimy? – spytała Ludmiły, zarzucając szelkę na ramię.

– Co robimy? – zastanowiła się dziewczyna. Pomyślała o Renacie siedzącej w szatni. – Nie wiem, może pójdziemy do sklepiku? Albo nie lepiej. – Chwyła Darię za rękę i pociągnęła za sobą. – Chodźmy na boisko.

W końcu miała ją tylko dla siebie.



W ciasnej, zatechłej klitce śmierdziało moczem i spleśniałymi resztkami jedzenia. Zofia Karaś siedziała na starym krześle, z którego odłaziły płaty brązowej farby, i tępo wpatrywała się w ścianę. Ciemne, podłużne plamy miały kształt podobny do odbitego ludzkiego ciała. Wolała nie wiedzieć, co to jest.

Za drzwiami rozległy się ciche kroki. Odgłos przekręcanego klucza, a następnie ich trzaśnięcie wydało się przy tym wybuchem artyleryjskim. Goła żarówka wisząca na sznurze u sufitu się zakołysała.

– Trzymaj. – Talerz z jakąś kleistą breją wylądował na niewielkim obdartym stoliku w kącie. – Więcej nie będzie.

Zofia nawet nie drgnęła.

Obok talerza stanął blaszany kubek z poźółkłą wodą.

– Słyszysz? Więcej nie będzie.

Zero reakcji.

– Nie to nie. – Mimo że było to tylko mruknięcie, dobiegło do uszu Zofii. – Twoja sprawa. I tak już niedługo.

Zofia wciąż się nie poruszyła, ale mrugnięcie powiek musiało zdradzić ją, że doskonale słyszy, bo nim drzwi zamknęły się ponownie, usłyszała jeszcze ciche słowa, które nie mogły umknąć jej uwadze.

– Nic się nie martw. Już niedługo.



Czarnecki jadł właśnie spóźnioną kolację, gdy usłyszał na ulicy jakiś huk. Od razu wstał i podszedł do okna, by sprawdzić, co to mogło być. Zboczenie zawodowe.

Ulica była jednak już o tej porze opustoszała. Zdawało mu się, że odgłos dobiegł nie z parkingu pod blokiem, lecz od strony Dąbrowskiego. Jeżeli tak było, mógłby nie widzieć ewentualnego wypadku. Przez chwilę pomyślał, że wyjdzie, zerknie, co się stało, a przy okazji zajrzy do biblioteki spytać, czy nie mają jakichś nowych biografii. Biografie były ostatnio jego ulubioną lekturą – i nieważne, czy chodziło o aktorów, sportowców, czy piosenkarzy, polskich lub zagranicznych. Każdą czytał z takim samym zainteresowaniem, w każdej szukał punktów zwrotnych, które sprawiły, że dana osoba zdecydowała się na taką, a nie inną ścieżkę zawodową. W każdej szukał też potwierdzenia, że ciekawe życie nie zawsze równa się udanym wyborom.

Był już w korytarzu, gdy zorientował się, która tak naprawdę jest godzina i że biblioteka już od dawna jest zamknięta. Zniechęcony odłożył więc buty na półkę i wrócił do kanapek. Tym razem zawodowa ciekawość przegrała. Zresztą zbierając się do wyjścia, zorientował się, jak bardzo jest zmęczony.

Zaraz po wyjściu od Magdaleny Niemczyckiej udał się do wspomnianego przez Dobrosławę Władysława Bani. Znalazł go, owszem, bez problemu, tyle że nie mógł już z nim porozmawiać. Jak dowiedział się od sąsiadki Zofii, gość nie żył od dobrych kilku lat. Zapił się na śmierć – w 2014 czy 2015 roku, nie pamiętała. Z opowieści nie wynikało jednak, by jego zgon był jakkolwiek podejrzany. Niestety ani ta przepytywana sąsiadka, ani kolejne nie wiedziały, gdzie mogłaby teraz podziewać się Zofia Karaś.

Oczywiście od razu zarejestrowali jej zaginięcie w systemie, ze względu na okoliczności została również przyporządkowana do grupy pierwszej, najbardziej wrażliwej – czyli osób, których zaginięcie jest realnie związane z zagrożeniem ich życia.

Co więcej mogli jednak zrobić? Nie mieli najmniejszego pojęcia, gdzie mogła podziewać się Zofia Karaś.

Zabębnił palcami o blat stołu. Sekcja zwłok córki zaginionej, Karoliny, miała być jutro z samego rana, więc może dowiedzą się czegoś więcej. Jutro musi też pogadać z Martą, czy udało jej się ustalić coś o znalezionej przy zwłokach lalce, a Andruszkiewicz ma przepytować kolejne osoby w sprawie Zofii. Czekają ich mnóstwo roboty.

Westchnął ciężko. Od razu na samą myśl rozboleł go kręgosłup. A jeszcze dziś tak niefartownie natknął się na panią detektyw Dobrosławę!

Nie spodziewał się takiego obrotu ich kolejnego spotkania. Skąd ona, do diabła, wiedziała o Więchu? Jak to rozgryzła, nie mając dostępu do akt? I czy to możliwe, że rzucona aluzja oznaczała coś więcej? Po raz kolejny pomyślał, że jej nie docenił. I że ta jej bystrość może mu zanadto zaszkodzić.

Miał nadzieję, że nie zaszkodzi jej samej.

O tym, co stało się pewnej listopadowej nocy, wiedział właściwie tylko on. Właściwie, ponieważ tego nie mógł być w stu procentach pewien. A jeżeli nie jesteś czegoś w stu procentach pewien, równie dobrze musisz zakładać, że któregoś pięknego dnia obudzisz się i już nic nie będzie takie samo.

Wyciągnął telefon. Chwilę szukał numeru, pod który chciał zadzwonić. Czuł, że w tej chwili pomoże mu rozmowa tylko z kimś, kto go zrozumie. Choć jemu też nie będzie mógł powiedzieć całej prawdy.

Mariusz Gruszczyński. Inspektor prowadzący sprawę nożownika z Podkarpacia.

– Halo? – odezwał się po chwili zdziwiony głos.

– Cześć, stary, Marcin Czarnecki z tej strony. Co tam słyhać?

Gruszczyński zakaszłał.

– A co ma być słyhać, Harry? Emeryturka, działeczka i jakoś leci.

– Szczęściarz – mruknął.

Emerytowany policjant się roześmiał.

– Może na ciebie też już czas? Wiesz, lata lecą, przychodzą młodzi, może warto już im oddać ster? Nie żebym namawiał, ale sam wiesz. – Odchrząknął. – Ja tam sobie chwale. W końcu wolna głowa.

– Domyślam się i szczerze zazdroszczę. Sam myślę od pewnego czasu o emeryturze. Zakończę tylko, co mam zakończyć, i składam papiery – powiedział. Nie było to kłamstwo, rzeczywiście od dłuższego czasu gdzieś błąkało mu się to po głowie. Emerytura kusila, nie pogardziłby odpoczynkiem. Zawsze w końcu jednak dochodził do wniosku, że w sumie to nie bardzo wiedziałby, co ze sobą począc w wolnym czasie. Działki nie miał, telewizji nie lubił, a biografie pewnie szybko by się skończyły.

– Idź i złóż jutro. Wiesz, jak jest, jeszcze jedna sprawa, jeszcze kolejna i jeszcze, i w końcu zawału dostaniesz, a nie przejdiesz na emeryturę. To nie jest tego warte, Harry, uwierz mi, nie jest.

– Wiem, wiem. Teraz jednak naprawdę mam gorąco. Zabójstwo, kobieta upozowana pośmiertnie. Jeszcze w pobliżu jest starosłowańska osada, więc różne dziwne wątki się plączą po bokach – powiedział, jakby chcąc się wytłumaczyć. – Może słyzałeś, w Trzciny. Bardzo nieprzyjemny temat.

– Szczerze powiedziawszy, to raczej teraz odcinam się od takich wiadomości – przyznał Gruszczyński. – Ale zaraz, zaraz... jak mówisz? W Trzciny koło grodziska? Tam już wydarzyło się coś takiego. Ileś tam lat temu.

W pierwszym odruchu nie bardzo zrozumiał, co właśnie powiedział do niego stary kolega. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie słów.

– Harry? Jesteś tam?

– Jak powiedziałeś? Ile lat temu? – powtórzył głucho.

Gruszczyński westchnął ciężko.

– Ile? Sam nie wiem... Dwadzieścia? Dwadzieścia kilka? Tak, to chyba było w latach dziewięćdziesiątych – powiedział w końcu po chwili milczenia. – Zaginięcie dwóch sióstr. Całe województwo ich szukało, bo ojciec miał wszędzie kontakty. Kilka tygodni później młodszą znaleźli zagrzebaną koło grodziska, tam wtedy jeszcze nic nie było, tylko pole po wykopkach archeologów. Trzydzieści lat. Bardzo nieprzyjemny widok. Drugiej dziewczyny nie znaleźliśmy. Tak samo jak sprawców.

– Byłeś tam wtedy? – zdziwił się Czarnecki.

– Byłem. Zaczynałem w komendzie w Krośnie. Puścili mnie tam, młodego szczyła, na przyuczenie. Wiesz, takie przynieś, wynieś, pozamiataj – wyjaśnił. – Potem wszyscy szydzili, jak porzygałem się na miejscu zbrodni.

Domyślał się. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wyglądały wówczas stosunki w policji, bo sam zaczął ledwie kilka lat później.

– Tak właśnie, Harry, było. Dlatego mówię ci, uciekaj, już czas na odpoczynek – dodał, słysząc, że kolega się nie odzywa.

– Kto wówczas był podejrzany?

– W sumie to... nikt. Wiadomo, sprawdziliśmy ojczulka, lokalnych zboków, koleś tej starszej, ale w gruncie rzeczy nie mieliśmy żadnych punktów zaczepienia. Zresztą ci z Archiwum X też później nic nie wygrzebali. Wiesz, jakie były czasy, technika jeszcze kulała, a ta

dziewczynka leżała w ziemi od przynajmniej tygodnia, jak nie prawie dwóch.

Dopiero teraz zrozumiał, co Gruszczyński musiał mieć na myśli, mówiąc o nieprzyjemnym widoku.

– Gdzie znajdę teraz akta? W archiwum? Czy wszystko poszło do Archiwum X?

– Szczerze? Nie wiem. Myślę, że mają kopie w archiwum. Zresztą, nawet jeżeli nie, to chłopaki z iksa ci to chętnie udostępnią. Tylko przedzwoń do mnie wcześniej. Mam tam dobrego kolegę.

– Dzięki wielki, stary.

– Nie ma sprawy. Zrobię to, ale tylko pod jednym warunkiem – zastrzegł nagle.

Nie wiedział dlaczego, ale serce mu przyspieszało.

– Tak?

– Jak już skończysz z Trzcinicą, pomyślisz o emeryturze.

Czarnecki roześmiał się serdecznie.

– Pomyślę, naprawdę pomyślę – powiedział i zaraz poczuł dziwny ucisk w klatce piersiowej.

Sam nie wiedział dlaczego, zamiast się pożegnać, spytał nagle:

– A jeśli chodzi o nierozwiązane sprawy... myślisz o tym tymczasem?

W słuchawce po drugiej stronie zapadła cisza.

– O czym konkretnie? – spytał podejrzliwie Gruszczyński.

Marcin pomyślał o ciemnej nocy w lesie. O listopadowym powietrzu pachnącym przymrozkiem. Pomyślał, że w sumie owszem, miał kilka

nierozwiązanych spraw, ale ta absolutnie do nich nie należała. I o tym, że zupełnie niepotrzebnie pytał.

– Nie, tak ogólnie. O tym, jak często nie udaje nam się dotrzeć do prawdy.

Przez chwilę znów słyszał w słuchawce tylko ciężki oddech.

– A, o tym – powiedział w końcu Gruszczyński. – Wiesz, w końcu taka praca... nie zawsze się udawało.

– Tak, zdecydowanie masz rację – powtórzył głucho. – Nie zawsze się udawało.



Listopad 2016 roku

– Co pan komisarz tutaj właściwie robi? – To pytanie w końcu musiało paść i Czarnecki nie łudził się, że będzie inaczej.

Drzewa rozstępowały się przed nimi w mroku, jakby los rzeczywiście był po jego stronie. Czarnecki jechał powoli skrajem lasu i zatrzymał się dopiero w miejscu, gdzie – jak był przekonany – nikt ich nie powinien zobaczyć. Sam nie wiedział dlaczego. Przecież to miała być zwykła rozmowa.

– Musimy pogadać – powiedział, gdy silnik zgasł i zapanowała między nimi całkowita cisza.

Więch milczał przez chwilę.

– Na jakiś konkretny temat? – spytał w końcu ostrożnie.

– Chyba wiesz. O nożowniku.

W samochodzie było prawie całkiem ciemno. Nikłe światło księżyca padające z nieba pozwalało rozpoznawać jedynie podstawowe kształty. Czarnecki nie widział jego twarzy, jednak przyspieszony oddech

wskazywał, że nie jest to najbardziej wyczekiwany przez Więcha temat do rozmowy.

– Panie komisarzu, o czym tu dużo mówić? Winny nie żyje, zresztą jakikolwiek wyrok i tak by Kasi życia nie wrócił – westchnął ciężko.

Marcin poczuł, jak krew zaczyna mu się gotować w żyłach.

– Doskonale wiesz, że to nieprawda, a Wójcicki był niewinny.

Czy mu się wydawało, czy Więch się cicho zaśmiał?

– Panie komisarzu, jeżeli to, co pan mówi, to prawda, to chyba jednak jest wasz, policji, problem, a nie mój. Lepiej więc chyba, żeby nikt postronny tego nie słyszał.

– Mam wrażenie, że to jednak nasz wspólny problem. Nawet teraz mogę cię aresztować. Udowodnienie winy to tylko kwestia ponownego zagłębienia się w akta.

– Komisarzu, proszę wybaczyć, ale sam pan w to nie wierzy. Nie ma pan takich jaj, by to zrobić.

Kolejny skok ciśnienia związał mu gardło.

– Nie pogrywaj ze mną – syknął cicho. Tylko tyle był w stanie z siebie wydusić.

– Komisarzu, ale to całkowita prawda. Przecież doskonale komisarz zdaje sobie sprawę, jak bardzo źle by to wyglądało. Skazany powiesił się w więzieniu, a okazuje się, że wcale nie był winien. – Pokręcił z dezaprobatą głową. – Taki wstyd dla całej podkarpackiej policji. Taki wstyd dla prowadzących śledztwo... – Czarnecki nie widział go w panującej ciemności zbyt dobrze, jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że właśnie wlepił w niego kpiący wzrok. Więch miał rację. Ujawnienie prawdy miałyby teraz potworne konsekwencje. Dla niego, dla Gruszczyńskiego, dla Kruczka i całej reszty. Poleciałyby głowy,

a nawet gdyby akurat jego ocalono po ujawnieniu prawdy, i tak byłby skończony.

Zacisnął wargi. Poczował, że traci kontrolę nad sytuacją. A może w ogóle przez cały ten czas jej nie miał? Po co w ogóle tu przyjeżdżał? Co chciał udowodnić? Więc miał rację: nie miał jaj, by to zrobić.

– Więc komisarzu, tak naprawdę, to chyba nie bardzo mamy o czym rozmawiać.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi.

– Nie mówię do widzenia, bo nie sądzę, byśmy jeszcze mieli okazję się spotkać. Proszę po prostu pozwolić mi spokojnie żyć.

Spokojnie żyć. Pomyślał o brunatnych rozbryzgach na ścianach w mieszkaniu Beaty Majewskiej, które widział na zdjęciach. O Sylwii Mińcy, która czekała na chłopaka. O nasiąkniętej krwią koszuli Agnieszki Zielińskiej. O Annie Ziębie, o Agacie Werner i o skulonej pod drzewem Katarzynie Krzewkowskiej. Pomyślał o Adamie Wójcickim i o tym, ile on sam stracił. Gniew, tak długo tłumiony, pulsował w klatce piersiowej, chcąc za wszelką cenę znaleźć ujście.

Trzasnęły zamykane drzwi. W nikłym świetle księżycy dojrzał sylwetkę Więcha. Minął maskę samochodu i ruszył ubitą drogą wśród drzew.

Gniew rósł, pęczniał i podchodził aż do gardła.

Sam nie wiedział, w którym momencie odpalił silnik. Błysnęły światła. Więch odwrócił się w ich stronę. Zmrużył oczy, oślepiony nagłym blaskiem. Te oczy były ostatnim, co pamiętał.

Marcin z całych sił nacisnął pedał gazu. Rozległ się głuchy łomot. Trzask pękających kości i młaśnięcie rozgniatanego ciała.

Zatrzymał się po kilku metrach. Serce waliło mu jak młot, w uszach szumiało. „Boże święty, co ja najlepszego zrobiłem?”, pomyślał, czując, jak drżące ręce ściskają kurczowo kierownicę.

A potem zgasił światła, wrzucił ręczny i cofnął, by upewnić się, że dokończył to, co zaczął.

ROZDZIAŁ 3

Słońce wpadało przez okno, rozlewając się jasną łuną po kuchni. Piękna, polska złota jesień nie odpuszczała. Beskidzkie wzgórza mieniły się czerwieniami i żółcieniami, przeplatając się barwnymi plamami jak w impresjonistycznym pejzażu. Dobrosława przez sekundę pożałowała, że skończyła z malowaniem wiele lat temu. Ten pejzaż i ten dzień zasługiwały na to, by je uwiecznić.

Od strony kuchenki rozległo się niepokojące bulgotanie, szybko więc odłożyła tłącego się papierosa na skraj popielniczki i podeszła do garnka. Zamieszała energicznie zupę łyżką i zmniejszyła ogień. Zapach gotujących się pomidorów przypominał lato. Ludmiła się ucieszy. Pomidorowa – jej ulubiona.

Wróciła do okna i wzięła papierosa między palce. Dziś jej przypadło przygotowanie obiadu. Całe szczęście rodzina nie była wybredna i pomidorowa plus makaron z sosem na drugie w pełni wystarczył im do szczęścia. Nie była za dobrą kucharką.

Zaciągnęła się dymem, znów myśląc o Czarnieckim, Karolinie, Magdzie i popieprzonej rodzinie Karasiów. Gdy wróciła wczoraj do domu, Ludmiły już nie było. Z jednej strony pożałowała tego trochę, bo wolałyby kuć żelazo, póki gorące, a nowe okoliczności pozwalały na niewzbudzające podejrzeń nawiązanie do tematu. Z drugiej, może

i lepiej, że jej nie było. Rozmowa z Czarneckim, nagłe odkrycie, że rzeczywiście, tak jak podejrzewała, doskonale zdawał sobie sprawę z roli Damiana Więcha w sprawie nożownika z Podkarpacia, mocno nią wstrząsnęły, choć przecież mogła przypuszczać, że tak będzie.

W jednej chwili poczuła ścisk w gardle. Przed oczami jak żywe stanęły jej wydarzenia z czerwca tego roku: tajemnicza śmierć dziennikarza Grzegorza Tretera w wypadku samochodowym, którą musiała zająć się przymuszona przez jego córkę, będącą zarazem jej dawną koleżanką ze szkoły. Tak właściwie to musiała zająć się nią przez Karola, swoją dawną miłość, który był jednym z głównych podejrzanych. Gdyby wiedziała wówczas, jak wszystko się potoczy, gdyby choć przypuszczała, że Karol zginie... Łatwo powiedzieć po fakcie, gdy znało się wszystkie konsekwencje.

To właśnie wtedy, grzebiąc przy wypadku Tretera, natknęła się na starą sprawę nożownika z Podkarpacia, który grasował w okolicach Rzeszowa sześć lat wcześniej. Psychopatyczny zabójca polował na młode, samotne blondynki i zabijał je z zimną krwią. Zginęło wówczas pięć kobiet: w Niebylcu, Babicy, Tyczynie, Maławie i w Krasnem. Szósta – w Gwoździance, jedyna brunetka i jedyna powiązana z poprzednią zabitą kobietą. Prawie czterdziestoletnia Katarzyna Krzewkowska była koleżanką zamordowanej Beaty z Niebylca, ale także – kuzynką Więcha. Tyle że wówczas głównym podejrzany był Adam Wójcicki, agent nieruchomości, który zawsze dziwnym trafem zjawiał się w domu, w którym doszło do tragedii. Wójcicki jednak, na swoje nieszczęście, okazał się także podglądaczem. Regularnie zjawiał się wieczorami pod domem Magdaleny Niemczyckiej w Trzcinicy, by podglądać ją przez okno. Gdy okolicę ogarnęła panika i strach przed grasującym po Podkarpaciu zabójcą, stał się idealnym kozłem ofiarnym dla społeczeństwa i prasy.

Tyle że Wójcicki był niewinny, a prawdziwym sprawcą był Damian Więch: nauczyciel dorabiający sobie drobnymi remontami. Beata, pierwsza z ofiar, była jego kochanką, a gdy jej przyjaciółka zorientowała się, jaka jest prawda, musiała zginąć. Jedyna nieblondynka. Jedyna niepasująca do schematu. Mimo to Czarnecki uparcie twierdził, że to Wójcicki, dając jej do zrozumienia, że sprawa nożownika jest zamknięta. Nie zająknął się ani słowem, nie zaprzeczył. A przecież jak ostatecznie się okazało: musiał wiedzieć. Nie na darmo odwiedzał wdowę po Więchu, nie na darmo kręcił się w okolicy.

W każdym razie można powiedzieć, że sprawiedliwość wymierzyła się sama: Więch trzy lata później zginął tragicznie w wypadku samochodowym w Węglówce, potrącony ledwie kilkadziesiąt metrów od swojego domu.

Można powiedzieć, że sama.

Od strony kuchenki znów dobiegło niepokojące bulgotanie.

Z westchnieniem zagasiła papierosa. Będzie musiała porozmawiać z Ludmiłą jeszcze dzisiaj, czy to się siostrze spodoba, czy też nie.



Czarnecki siedział przy swoim biurku w komendzie wojewódzkiej i z zapartym tchem studiował akta sprawy zaginięcia dwóch sióstr Myśliwiec z Trzciny, a następnie zabójstwa młodszej z nich, Darii Myśliwiec.

W dniu 17 listopada 1999 roku około godziny piątej po południu siedemnastoletnia Malwina Myśliwiec wychodzi pouczyć się do koleżanki. Około godziny dziewiątej, gdy dziewczyna nie wraca do domu, matka, Anna Myśliwiec, zaczyna się nieco niepokoić. Co prawda córka często przesiadywała u koleżanek do późna, czasem w weekendy wychodziła na dyskotekę i wracała nawet nad ranem, ale jednak jest

środek tygodnia. Dzwoni do koleżanki córki, jednak ta twierdzi, że dziewczyny u niej nie było. O dziesiątej, gdy nadal jej nie ma, dzwoni jeszcze do kilku koleżanek, jednak Malwiny nigdzie nie ma. Mąż uspokoja ją, że na pewno została na noc u którejś innej przyjaciółki. Najbliższa, Karolina Karaś, nie ma telefonu. Mąż podsuwa pomysł, by do niej podjechać, ale ostatecznie z niewyjaśnionych względów rezygnują.

Marcin Czarnecki podniósł głowę znad akt i przymknął oczy. Karolina Karaś. Czy to mógł być zbieg okoliczności?

Anna Myśliwiec nie śpi całą noc. Rano zaczyna od nowa szukać Malwiny po znajomych. O godzinie siódmej dwadzieścia, gdy młodsza córka nie wstaje do szkoły, odkrywa, że ona również zniknęła, choć o godzinie dwudziestej wczorajszego wieczoru poszła jak zwykle na noc do swojego pokoju.

Daria ma trzynaście lat. To nie nastolatka, która znika poimprezować ze znajomymi.

Anna z mężem jadą do Jasła, by oficjalnie zgłosić zaginięcie córek. Rusza machina.

Aneta Baran, koleżanka Malwiny, która chodziła z nią do tego samego liceum i która miała się z nią uczyć tego popołudnia, twierdzi, że dziewczyna nigdy do niej nie dotarła. Mało tego, właściwie nawet się jakoś konkretnie nie umawiały. Co prawda miały mieć następnego dnia dużą klasówkę z matematyki i Malwina coś tam wspominała, że może wpadnie, ale ostatecznie Aneta nie była zdziwiona, że jej się nie chciało. Dom Baranów znajdował się praktycznie na samym końcu wsi. Dziewczyna spędziła więc całe popołudnie na samotnej nauce, a o dziewiątej, gdy już miała położyć się spać, zadzwoniła matka Malwiny. Aneta nie wie, czy koleżanka rzeczywiście się do niej wybierała, jednak nawet jeżeli – nigdy do niej nie dotarła.

Karolina Karaś, najbliższa przyjaciółka zaginionej, nie widziała jej w ogóle tego dnia. Chodziły do różnych szkół, Malwina miała ponadto ważny sprawdzian i miała się uczyć. Ostatnim razem, gdy się widziały (we wtorek? Chyba we wtorek), umówiły się dopiero na piątek, na popołudnie.

Nastolatka rozplynęła się w powietrzu. Nie mniej dziwna sprawa była z jej siostrą. Jej matka widziała ją po raz ostatni przed dwudziestą. Dziewczynka pożegnała się i poszła do swojego pokoju. Rodzice nie zaglądali do niej przez całą noc: nie mieli takiego zwyczaju, o ile nie była chora i nic się nie działo, w dodatku bardzo przejęli się zniknięciem starszej córki. Czarnecki nie widział w tych zeznaniach nic podejrzanego. Wyglądało jednak na to, że dziewczynka po prostu sama wyszła z pokoju. W środku panował idealny porządek, łóżko było zaścielone, tak jakby nikt się w nim nie kładł tego wieczoru. Można więc było założyć, że Daria wymknęła się z domu i przepadła.

Marcin zaczął wertować raporty z poszukiwań. Było ich sporo, w dodatku dokładnie je opisano, łącznie z miejscami, które danego dnia zostały przeszukane. Pokręcił z zastanowieniem głową. Musiało być dokładnie tak, jak wspominał Gruszczyński: ojciec miał znajomości i chciał poruszyć niebo i ziemię, by znaleźć dzieci. W innym wypadku nikt nie zawracałby sobie głowy taką papierologią, nawet gdyby szukały ich wszystkie zastępy i mieszkańcy. W końcu to wciąż były lata dziewięćdziesiąte.

Nastolatek nigdzie nie było. Czarnecki znał już mniej więcej topografię wioski, zaraz więc sprawdził, że miejsce, gdzie później znaleziono zwłoki, również zostało wówczas przeczesane. Mogło to oznaczać dwie rzeczy: jeszcze ich tam wtedy nie było, bo każdy rozsądny policjant zaraz zwróciłby uwagę na świeże ślady kopania, albo nie było tam wówczas żadnego rozsądnego policjanta. Ustalenie tego jednak po takim czasie było prawie że nierealne.

Przerzucił jeszcze kilka kolejnych stron i przeszedł do tego, co interesowało go najbardziej: zwłok młodszej z sióstr.

„Najczęściej dzieci” – niepokojące słowa Stanisława Machniewicza rozbrzmiały mu w głowie. Pochylił znów głowę nad dokumentami, czując, jak serce zaczyna mu szybciej bić.

Ponad tydzień od zgłoszenia zaginięcia, 29 listopada 1999 roku. Tuż przed godziną siódmą rano Agnieszka Świątkowska, wyprowadzając psa na spacer, znajduje ludzkie szczątki. Zwłoki są częściowo zakopane, po ich odkryciu odsłania się ciało młodej dziewczyny, rozkład zaczął już postępować, jednak nie na tyle, by jeszcze niemożliwa była identyfikacja. Dariusz Myśliwiec rozpoznaje w zmarłej swoją młodszą córkę, Darię. Jedna zaginiona właśnie się odnalazła.

Czarnecki dokładnie przestudiował protokół, jednak nie było w nim nic o wypalonych okręgach, ciało było ubrane, przyczyna śmierci, jak wpisano w protokole sekcji: uduszenie gwałtowne przez zadławienie. Zasinienie oraz półksiężycowate otarcia naskórka od paznokci nie pozostawiały wątpliwości. Prócz tego inne typowe objawy: sinica twarzy, wybroczyny, przekrwienie mózgu, wylewy krwawe w miejscu gardła. Zero jakichkolwiek ran kłutych, oprócz tego jeszcze trochę siniaków i otarć na tułowiu oraz kończynach górnych, ze względu na stan zwłok ciężko było określić, czy powstały za życia, czy już po śmierci. Nic nie było w tej sprawie podobne do tego, co teraz zastał w Trzcinicy, nie było żadnych zbieżnych elementów, prócz jednego – Karoliny Karaś.

Marcin mimo wszystko nie wierzył w przypadki. Nie przypadkiem Damian Więch pojawił się w sprawie śmierci swojej kuzynki Katarzyny Krzewkowskiej, nie na darmo pojawił się również przy pierwszej ofierze. Przypadki nie istniały – tylko twarde fakty. A fakt był taki, że Karolina była najlepszą przyjaciółką zaginionej Malwiny. Mogła być

świadkiem, który dopiero po latach zastraszenia zdecydował się mówić. Świadkiem, który musiał w tym scenariuszu zginąć.

Czy w tym przypadku pozostawiona lalka mogła symbolizować martwą dziewczynkę? I co się stało z Malwiną? W większości zabójstw sprawca znajdował się wśród najbliższych ofiary. Czy w tym przypadku starsza siostra mogła być winna śmierci młodszej? Czy uciekła, chcąc uniknąć sprawiedliwości? Czy może sama też zginęła, a jej zwłok po prostu nie odnaleziono?

Z westchnieniem wrócił do akt. Pomyślał, że będzie jeszcze ciężiej, niż początkowo sądził. W tej chwili jedyne, co mógł zrobić, to spróbować przywrócić głos dawnym świadkom.



Drzwi wejściowe trzasnęły w momencie, gdy Dobrosława postawiła odcedzony makaron na stole. Gorąca para popiekła jej nieco palce, osiadając kropelkami wody na skórze.

– Cóż za zapachy. – Marianna weszła do kuchni, pociągając nosem. – Ludmiły z dziećmi jeszcze nie ma?

Dobrochna wzruszyła ramionami, wycierając mokre ręce w tył dzinsów. Ano, nie było. Miała nadzieję, że siostra przyjedzie dzisiaj wcześniej i będzie mogła wziąć ją w obroty, podczas gdy chłopcy będą jedli czy puści się im jakąś tam bajkę. Nic jednak takiego nie nastąpiło.

– Dziwne, mówiła, że wpadnie. Może jednak stwierdziła, że skoro sama ich odbiera, to sama dziś ugotuje. – Matka usiadła na krześle. – No daj trochę spróbować, aż jestem ciekawa tej twojej zupy. Pachnie nieziemsko.

Dziewczyna z lekkim zażenowaniem wyjęła głęboki talerz z szafki i naląła do niego solidną porcję. Wcześniej nie miała zbyt wielu okazji, by chwalić się swoimi talentami kulinarnymi w gronie rodzinnym, ale

w sumie też nie było za bardzo czym się chwalić. Jeżeli już gotowała, to zazwyczaj zupy, czasem jakiś makaron z sosem czy ryż. Przez większość czasu jednak zadowalała się gotowcami z marketów.

– Smacznego – mruknęła, kładąc pełny talerz przed matką.

Marianna wzięła do ust pierwszą łyżkę.

– Hmm... ciekawe. – Mlasnęła.

Już miała dodać coś jeszcze, gdy drzwi wejściowe trzasnęły po raz kolejny.

– Przepraszam, że tak późno, ale już jestem... – Zdyszana Ludmiła wpadła do środka. – Zagadałam się z sąsiadką. Słyszałyście, że Zośka Karasiowa zaginęła?

Dobrosława skrzywiła się nieznacznie. To, że wiadomość szybko rozniesie się po wsi, było więcej niż pewne. W końcu zaginięcie sąsiadki pijaczki to nie lada gratka.

– Tak, wszyscy się zastanawiają, co się też mogło z nią stać – potwierdziła Marianna nieuważnie. Wpatrywała się z niepokojem we wciąż stojącą w progu córkę. – A chłopcy? Gdzie są chłopcy?

– Chłopcy? Nie wrócili z tobą? – zdziwiła się Ludmiła. – Przecież zawsze razem wracacie.

Łyżka chlupnęła w talerz. Czerwone rozbryzgi rozlały się na jasnej ceracie.



Czarnecki kończył przeglądać akta, gdy dotarło do niego, że jeszcze jedno nazwisko pojawia się ponownie w tych dwóch oddzielonych o dwadzieścia lat sprawach.

Machniewicz.

Ludmiła Machniewicz, siostra Dobrosławy, była najbliższą przyjaciółką zaginionej, a następnie zamordowanej Darii Myśliwiec.

Dobrosława Machniewicz, teraz znów węższy przy zabójstwie Karoliny Karaś. Marcin nie sądził, by jej wizyta w domu Magdy Niemczyckiej była przypadkowa. Pani detektyw zawsze znajdowała się tam, gdzie coś się działo.

Pomyślał, że właściwie to z nią powinien porozmawiać o starej zbrodni, która wydarzyła się w Trzcinity. Jako osoba mieszkająca tam w tym czasie mogła coś zapamiętać, mogła coś podejrzewać, a przynajmniej przekazać mu, jakie plotki krążyły po okolicy. To zawsze było cenne w takich małych, zamkniętych społecznościach

Jednak po tym, co usłyszał podczas ich ostatniego spotkania, uznał, że pani Dobrosława nie piśnie mu już ani słówka na żaden temat. Przez chwilę zastanawiał się, czy dziewczyna jest mu w stanie w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Czy rzeczywiście wiedziała? Nie, to z pewnością był bluff, nie mogło jej o to chodzić! Skąd by wiedziała? Pomyślał o jej imponującej zdolności dedukcji i ogarnęły go nie tylko wątpliwości, ale też strach. Bo jeżeli wiedziała, możliwe, że powinien sięgnąć po środki ostateczne. Teraz jednak byłoby to o wiele trudniejsze niż ostatnim razem.

Nie było już Pawła.

Przymknął oczy i znów zobaczył ten sam widok, co trzy lata temu w listopadzie. Scena, która nigdy nie powinna zaistnieć, a która jednak się wydarzyła.



Listopad 2016 roku

Wysokie drzewa szumiały cicho w mroźnym listopadowym powietrzu. Czarnecki palił papierosa, oparty o maskę samochodu. Czuł szczypiące

w nos zimno. Powoli kończył się czas: od momentu, gdy zgarnął Damiana Więcha z przystanku, minęło już prawie dwie godziny. Nawet jeżeli jego rodzina stwierdziła, że mężczyzna spóźnił się na bus i przyjedzie późniejszym, niedługo mogą zacząć się zastanawiać, gdzie zniknął. Mogą próbować dzwonić na jego komórkę lub zacząć go szukać po okolicy. To jednak nie był już jego problem.

Dwóch osiłków wpakowało do wyłożonego folią bagażnika resztki tego, co zostało z Więcha. Otrzepali ręce. Trzeci powiedział do nich cicho coś jeszcze, czego nie zrozumiał, po czym podszedł do Marcina.

Stanął tuż koło niego i również zapalił.

– Było warto? – zapytał.

Czarnecki drgnął. Gdy już oprzytomniał, zrozumiał, że istnieje wyłącznie jedna osoba, do której może zadzwonić i która mu pomoże: jego przyjaciel, Paweł. Jedynie on miał nie tylko duże pieniądze, ale i znajomości, by wszystko zatuszować.

Wbił wzrok w swój samochód, który stał kilka metrów dalej. Był cały strzaskany.

– Co teraz? – zapytał, zgniatając w dłoniach niedopałek. Żadnych śladów. Tego przynajmniej nauczył się w swojej robocie. Nawet gdyby śledczy cudem tu trafili: żadnych śladów.

Miał nadzieję, że najpóźniej jutro spadnie ulewny deszcz, który zaleje błotem wszystkie leśne drogi.

– Chłopaki podrzucą twojego kolegę w miejsce, które wskazałeś. Później zgarną twój samochód na warsztat, żeby na jutro był gotowy. A my zwijamy się do Rzeszowa, na wszelki wypadek inną drogą.

– I to wszystko? – spytał z niedowierzaniem. – Tak po prostu?

Paweł roześmiał się cicho.

– A czego się spodziewałeś? Ciebie tu wcale nie było, więc nie twoja w tym głowa. – Klepnął go w ramię. – Chodź, zwijamy się. Nic tu po nas.

Czarnecki przez sekundę przyglądał się ciemnej sylwetce przyjaciela, nim ruszył za nim.

Czy było warto? Pomyślał o wszystkich przysługach, o które teraz będzie mógł prosić go Paweł. O wszystkich sytuacjach, kiedy nie będzie wypadało mu już odmówić.

Sam nie wiedział.



– Przecież mówiłam ci, że dzisiaj musisz sama ich odebrać! Chłopcy skończyli zajęcia już dwie godziny temu! Jak mogłaś zapomnieć? – W głosie matki zabrzmiała wyraźna dezaprobata. – No, nic, trudno, w sumie przecież nic takiego się nie stało. Zadzwonię na świetlicę do Anki, żeby sprawdziła, czy nie błąkają się sami po szkole. A może w ogóle tam poszli, gdy nie przyjechałaś? – Marianna wstała od stołu i podeszła do leżącej na meblach kuchennych torebki.

Ludmiła milczała. Nie zdenerwowała się, nie zaczęła przeklinać pod nosem. Wyglądała trochę jak sparaliżowana. Jak gdyby do końca nie docierało do niej, że zawałiła i dzieci siedzą przez to same w szkole. Dobrosława pomyślała, że od czasu, gdy znaleziono Karolinę, siostra zachowuje się co najmniej dziwnie.

Tymczasem matka już rozmawiała z koleżanką ze szkolnej świetlicy.

– Nie ma ich, tak? Weź, jeżeli możesz, rozejrzyj się, czy nie siedzą czasem w szatni albo gdzieś na korytarzu. Ludmiła zaraz tam przyjedzie. No, dzięki wielkie. Tak, porozmawiamy jutro. – Rozłączyła się i popatrzyła na starszą córkę. – Nie ma ich na świetlicy, ale Anka mówi,

że widziała ich zaraz po lekcjach pod pracownią komputerową. Zaraz to sprawdzi, a ty wsiadaj w samochód i tam jedź. – Umilkła. – Ludmiła?

Ludmiła stała wciąż w progu kuchni, skubiąc rąbek bluzki. Wyglądała na kompletnie nieobecna. Jakby była na jakichś prochach.

– Ludmiła, jedź po dzieci – powtórzyła matka. – Chłopcy nie mogą błąkać się sami po wsi. Mają w końcu tylko po osiem lat.

Dobrochna odruchowo pomyślała o tym, co one same robiły w wieku ośmiu lat. Od czasu jednak, gdy Daria z Malwiną zaginęły, nic już nie było takie samo. Nawet teraz, po dwudziestu latach. Ludmiła drgnęła w końcu i powoli skinęła głową. Nie wyglądała na osobę, która jest w stanie w tej chwili prowadzić samochód.

– Dobra, jadę z tobą – powiedziała w końcu matka, przejmując dowodzenie. – Zaraz wrócimy. Przecież muszą być gdzieś w szkole. Gdzie w końcu mogli pójść?

Dobrosława pomyślała, że to samo pytanie musiała sobie zadawać pani Myśliwiec przez wiele, wiele kolejnych dni po zniknięciu córek.



Listopad 1999 roku

– Malwina chce uciec z domu – powiedziała niespodziewanie Daria. Siedziały u Ludmiły w pokoju, obłożone książkami do fizyki. Pojutrze miały mieć ważny sprawdzian, a żadna z nich za bardzo nie dawała sobie rady z tym dziwnym przedmiotem, jeszcze gorszym od matematyki. Dobrochna była u koleżanki, Bogusia jeszcze w szkole, tylko mama siedziała w kuchni, ale radio grało głośno i prawdopodobieństwo, że je usłyszy, było nikłe.

– Serio? – zdziwiła się Ludmiła. „Po co uciekać, gdy ma się wszystko?” – miała na końcu języka, w ostatniej chwili zdążyła jednak się w niego ugryźć. – Dlaczego?

Daria odsunęła podręcznik na bok i położyła się na łóżku Ludmiły, biorąc pod głowę puchaty jasiek.

– Zakochała się i żyć bez niego nie może – powiedziała, poprawiając jedną ręką włosy, które zaplątały się w guziki poduszki.

– I? – spytała Ludmiła, widząc, że koleżanka nie kwapi się do dokończenia odpowiedzi. – Bo nie bardzo rozumiem, co ma piernik do wiatraka.

Daria westchnęła ciężko.

– Ale ty jesteś głupia. No przecież starzy by jej nie pozwolili, bo nauka, matura, studia!

Ludmiła wciąż nie bardzo rozumiała, ale kiwnęła krótko głową, nie chcąc pokazać tego Darii. Nie chciała być „głupia”.

– Poza tym on jest chyba dużo starszy od niej – dodała koleżanka po chwili. Ponownie poprawiła poduszkę ręką i zaczęła kręcić wyimaginowane kółka dłonią w powietrzu. – Duuużo starszy. A jakby tego było mało: Schwab. Sprechen Sie Deutsch? – zaskrzeczała z twardym akcentem.

Powoli zaczynało nabierać to sensu. Ludmiła rzuciła podręcznik w kąt i położyła się obok Darii.

– Czyli ucieknie z domu i co? Przecież zaraz znajdą ją w szkole.

Koleżanka prychnęła i popukała się znacząco w czoło.

– Ej, Luśka, Luśka... a po co jej szkoła? Ten facet podobno załatwił jej już karierę w modelingu w Berlinie, więc szkoła jej już do niczego nie jest potrzebna. Będzie modelką, będzie sobie jeździć po świecie – powiedziała rozmarzonym głosem, po czym znów westchnęła.

Szczeniara z tej Malwiny: kariera w modelingu. Kto by nie chciał? Każda. Tyle że mało która się do tego nadawała. Ale Malwina z jej

długimi nogami, z blond włosami jak z reklamy i kocimi oczami była urodzoną modelką. Zresztą tak samo jak Daria. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak idą po wybiegu, jedna za drugą, starsza i młodsza. Dwie piękne siostry jak z obrazka.

Ludmiła przygryzła wargi. Gdzie jej do sióstr Myśliwiec, ona, Ludmiła Machniewicz, niska, tęgawa, z krzywo przyciętą grzywką bardziej nadawała się do pasania krów niż prezentowania ciuchów i podróżowania po europejskich stolicach.

– A ty? Ty byś tak nie chciała? – wyrwało jej się.

Daria przekręciła się na bok i spojrzała na koleżankę jak na wariatkę.

– Rzucić szkołę i zwać z domu? Po co? Ja nie mam faceta, który załatwi mi karierę. – Zaśmiała się, jednak dało się w tym śmiechu wyczuć nutę goryczy. Pewnie też by tak chciała: wyjechać byle dalej, w wielki świat, nie oglądając się na nikogo. Kto by nie chciał?

– I co zrobisz? Powiesz starym? Że wiesz, że zamierza uciec – doprecyzowała, by przyjaciółka nie miała już wątpliwości.

Koleżanka przekręciła się na brzuch, złożyła poduszkę w wałek i wsunęła sobie pod brodę.

– Sama nie wiem... myślisz, że powinnam?

– Myślę... – zawahała się Ludmiła. – Myślę, że jak zwieje, to samo wszystko wyjdzie, więc... nie wiem – dokończyła niezbyt mądrze. – A jeżeli zorientują się, że wiedziałas?

Daria znów westchnęła.

– Może i tak. Jak rzeczywiście zwieje, to wtedy się zastanowię – skwitowała. – Ale wiesz, strasznie chciałabym zobaczyć tego jej faceta.

Czy ona rzeczywiście z takim starym dziadkiem... no wiesz. – Wybuchnęła śmiechem, po czym rzuciła w Ludmiłę jaśkiem.



Skrzypnęły drzwi. Czarnecki drgnął zaniepokojony i dopiero po chwili zorientował się, że nie jest już wcale w ciemnym, listopadowym lesie, który osaczał go gęstymi drzewami. Był piękny październikowy dzień, świeciło słońce, a on znajdował się w swoim gabinecie w komendzie wojewódzkiej w stolicy Podkarpacia. W ostatniej chwili powstrzymał się, by nie odetchnąć z ulgą.

Przed jego biurkiem stała Marta Michalak, przyglądając mu się z niepokojem.

– Panie komisarzu, wszystko w porządku? – spytała z troską.

Poprawił się na krześle.

– Tak, Marto. Po prostu... hm, aż wstyd przyznać, ale chyba się trochę zdrzemnąłem – powiedział. Lepsze takie kłamstewko, niż wchodzenie w meandry własnych wspomnień. Zresztą czy teraz to wszystko nie wydawało się już tylko sennym koszmarem?

Michalak uśmiechnęła się blado.

– Powinien pan komisarz nieco odpocząć.

– Tak, tak... – mruknął bez przekonania. – Powinienem. Masz coś dla mnie?

Położyła mu na biurku zdjęcie, które wczoraj jej dał. Na wierzchu umieściła zadrukowaną kartkę.

– Sprawdziłam lalkę. Tak jak mi się wydawało, to model produkowany na początku lat dwutysięcznych – zaczęła. – Co ciekawe, jest to wersja limitowana i była dostępna wyłącznie na terenie Niemiec. Na kartce ma pan numer do kolekcjonera, z którym rozmawiałam, jakby

chciał pan jeszcze o coś dopytać. Robert Kawiak. Bardzo miły i pomocny gość.

Czarnecki wziął do ręki papier i szybko przebiegł wzrokiem po literach.

– Jest tego pewien? Z Niemiec? To może zawęzić nam grono potencjalnych sprawców.

– Wydawał się pewien. Ale wie pan, zawsze ktoś mógł ją po prostu przywieźć dawniej z zagranicy dla dziecka albo teraz dla siebie. Granice są otwarte, handel kolekcjonerski też kwitnie. – Znów się uśmiechnęła.

Oczywiście, Marta miała rację, dostępność zabawki za granicą niewiele znaczyła. Jednak jak to mówią: tonący brzytwy się chwyta. Przynajmniej wiedział, że powinien szukać kogoś, kto bywał lub bywa w Niemczech.

A może i nie. W dobie OLX-ów, handlu internetowego równie dobrze lalka mogła zostać przysłana z zagranicy, jak i przejść przez szereg rąk, nim trafiła do mordercy.

Telefon na biurku zawibrował. Andruszkiewicz. Może rzuci mu kolejny trop, nim utonie bez koła ratunkowego.

– Masz coś? – zaczął obcesowo.

– Dzień dobry, w porządku, nie narzekam, mój dzień też jest dobry – odezwał się starszy aspirant. – Ale tak, nie dzwoniłbym, gdybym kompletnie nic nie miał.

Andruszkiewicz wraz ze wsparciem w postaci dwóch przydzielonych mu funkcjonariuszy z komendy w Jaśle przeczesywał Trzcinicę w poszukiwaniu jakichś śladów Zofii Karaś. Pytali, gdzie mogła się podziać, czy ktoś ją ostatnio widział i kiedy... Jednak Czarnecki nie spodziewał się większych efektów. Tym bardziej ucieszył go telefon.

– Więc co masz?

– Jeden z mieszkańców, Jacek Byczek, widział w noc zabójstwa Karoliny Karaś samochód na niemieckich blachach – zaczął, już bez ceregieli. – Niestety oprócz tego, że był czarny i z Berlina, to nic więcej nie zapamiętał.

Czarnecki sapnął ciężko.

– Jest pewien, że z Niemiec? Niekoniecznie z innego państwa?

– Przecież mówię, że z Berlina. Syn mu przywiózł stamtąd opła, kilka lat temu, i zapamiętał, jak wyglądają tablice. To może być oczywiście zbieg okoliczności, ale nie było to na głównej drodze.

Oczywiście, że mógł to być zbieg okoliczności. Jednocześnie Czarnecki był prawie pewien, że to nie przypadek. Pomyślał o trzeciej osobie, która pojawiała się w pierwszej sprawie i której imię coraz bardziej zaczynało nasuwać się w sprawie drugiej. Osobie, która mieszkała za granicą, a która mogła odczuwać najwięcej złości do Karoliny i Zofii.

Złości, którą najczęściej wywołują u nas najbliżsi.

Tą osobą była Renata Karaś.

– Ale to nie wszystko. Znaleźliśmy coś jeszcze.

Czarnecki aż się wyprostował.

– Co?

– Kilka zakopanych rzeczy, które prawdopodobnie należały do Zofii Karaś.



Listopad 1999 roku

Ludmiła zamknęła podręcznik i wsadziła go do plecaka. Nie spieszyło się jej, chociaż lekcje się już skończyły. Przed nią rozpościerała się dzisiaj wizja samotnego powrotu do domu: Daria zwolniła się z trzech ostatnich lekcji. Razem z rodzicami miała jechać do Krosna do jakiegoś lekarza.

– Wiem, co zrobiłaś – rozległo się nagle za jej plecami. Zastygła w pół ruchu, zaskoczona. Dopiero po sekundzie dotarło do niej, czyj głos usłyszała. Powoli odwróciła się.

Renata. Patrzyła na nią nienawistnym wzrokiem.

– Co niby takiego zrobiłam? – mruknęła niechętnie Ludmiła. – To ja kupiłam twojej matce wódkę?

Renata zacisnęła wargi. Ze złością odgarnęła gęste, kręcone włosy spadające jej na oczy.

– Nienawidzę was. Ciebie... – Zawahała się. – I tej szmaty również. – Odwróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami.

Ludmiła wróciła do pakowania książek. Jednak cały czas czuła na plecach mrowienie, jakby ktoś uporczywie się w nią wpatrywał.



Gdy w końcu telefon Dobrosławy zadzwonił, zupa stojąca na stole była już całkiem zimna. Zaraz po wyjściu matki i Ludmiły nałożyła sobie trochę na talerz, jednak nie mogła przełknąć ani łyżki. Przeszłość wróciła, przeszłość otworzyła swoją czeluść, ponownie wciągając ich do środka. Jakby mało jej było ofiar, które już zabrała.

Tej nocy, tej okropnej listopadowej nocy, gdy dziewczyny zniknęły, Dobrochna nie spała. Obudziła ją wichura na zewnątrz. Wiatr dudnił w drewnianym domu, ze świstem przelatywał, skrzypiąc blachą i nie pozwalając ponownie zasnąć. Błady księżyc załamywał swoje promienie na szybie, padał na ścianę przez niedokładnie zasunięte ciężkie zasłony.

Kręciła się z boku na boku, a każdy kolejny świst sprawiał, że bardziej odechciewało jej się spać. Myślała o Jacku z szóstej be, o zbliżającej się dyskotecie, ale też o Gwiazdce, świętach i... Magdzie, której matka zrobiła oborę na ostatniej wywiadówce. Cała szkoła o tym huczała, a dziewczyna zdawała się zupełnie nie zwracać na to uwagi. Opowiadała dalej te swoje bajki o tym, czego ona nie ma, że jej tata przyśle jej pod choinkę najnowszego walkmana i modne levisy. „Mała, ruda kłamczucha” – śmiali się wszyscy za jej plecami, a ona dalej trzymała głowę wysoko, jakby nic nigdy się nie wydarzyło. Jakby to nie jej matka, leżąc kompletnie pijana na środku korytarza, zsikała się na podłogę. Musiała przyznać, że w pewnym sensie podziwiała ją. Ona by tak nie potrafiła.

Leżała więc i myślała, a świszczący głos wiatru wwierał się w jej głowę. W końcu stwierdziła, że musi iść się wysikać. Wyszła z łóżka i poczuła chłód powietrza, jakby okno było uchylone, choć przecież zamykała je przed snem.

Drewniana podłoga skrzypiała pod jej stopami w ciemności, jakby za nią skradały się wszystkie upiory i demony świata. Szybko weszła do łazienki i z mocno bijącym sercem włączyła światło. Była bezpieczna.

I gdy tylko to pomyślała, za jej plecami rozległo się głucho trzaśnięcie niedomkniętych drzwi. Aż podskoczyła. Musiała minąć dłuższa chwila, nim zrozumiała, że gdzieś pewnie było coś otwarte i zrobił się przeciąg.

Rano, zbierając się do szkoły, zauważyła w pokoju resztki błota na podłodze koło łóżka siostry.

Wypierała to wspomnienie z siebie bardzo długo, tak długo, że w końcu sama uwierzyła, że to jej się tylko przyśniło, że nie było żadnego trzaśnięcia drzwi ani grudek ziemi pod oknem. Wypierała to z siebie, pytając Ludmiłę o Darię i o Renatę, każdego razu, gdy wracała

do tematu. Dopiero teraz, po rozmowie z Magdą, zrozumiała, że to wcale nie była żadna mara senna, ale zwyczajne wspomnienie, długo ukrywane w zakamarkach umysłu i w nim zduszone.

Widać nie tylko ona nie mogła wtedy spać. Może podświadomie obie z Magdą czuły, że dzieje się coś niedobrego? Że ich siostry są w niebezpieczeństwie? Dlaczego jednak dziewczyny milczały? Dlaczego jednak, choć pewnie wiedziały, co stało się z Darią i Malwiną, nie powiedziały nikomu ani słowa?

Niestety odpowiedź mogła być tylko jedna.

Telefon wciąż dzwonił, a Dobrochna wpatrywała się z niepokojem w napis MAMA na wyświetlaczu. Bała się odebrać, choć przecież to nie mogło się znów zdarzyć. Nie po dwudziestu latach, nie ponownie w tej samej wiosce.

W końcu wzięła aparat do ręki i odebrała.

– Tak?

– Nie ma ich nigdzie. Ani w szkole, ani na boisku – usłyszała zdenerwowany głos Marianny. – Ojciec już jedzie, Anka wydzwania po kolegach. Musisz nam pomóc szukać, gdzieś, do cholery, przecież są, nie rozplynęli się w powietrzu!

Dobrosława przymknęła oczy. Nic dwa razy się nie zdarza...



Listopad 1999 roku

– *Malwina spotyka się jutro ze starym dziadkiem – poinformowała Daria. Był wczesny wieczór, dziewczyna przyszła do Ludmiły odpisać lekcje, na których jej dzisiaj nie było. – Podobno mają rozmawiać o jej ucieczce.*

– *I? Co zrobisz?*

– Co zrobię? To chyba jasne! Mówiłam przecież, że chcę go poznać! – Roześmiała się.

Ludmiła milczała przez moment.

– Chodziło mi o to, czy zamierzasz powiedzieć starym.

– Czy zamierzam powiedzieć starym? Eeee, nie. Chyba nie. Nie wiem zresztą. To znaczy: na pewno nie powiem im, dopóki go nie zobaczę. Może mnie też załatwi karierę w modelingu? – Rozmarzyła się. – W sumie mogłabym uciec razem z nimi.

Ludmiła nie zaśmiała się, nie powiedziała jej, że zwariowała, że jest naiwna, ani nic z tych rzeczy. Nie potraktowała tego jak żartu, chociaż nie była pewna, czy koleżanka byłaby do tego zdolna.

– No, przestań, przecież wiesz, że nie mówię serio. – Daria szturchnęła ją lekko. – Ale jestem naprawdę ciekawa tego gościa. Wiesz, czy jest taki stary i obleśny. – Wywalila język w geście obrzydzenia. – Czy może jednak całkiem, całkiem. To co? – Szturchnęła ją ponownie. – Idziesz ze mną?

– Ja? – Ludmiła się przestraszyła. – Po co?

– Rażniej mi będzie, bo umówili się wieczorem na wałach. No, chodź, nie bądź taka. Rzucimy tylko okiem! Nawet nas nie zauważą.

Ludmiła łypnęła na nią badawczo.

– O której niby wieczór? – spytała podejrzliwie.

– No właśnie w tym sęk. Umówili się o dziewiątej wieczorem.

– O dziewiątej? – Ludmiła spochmurniała. – No to mamy problem. Nie ma szans, żebym wyrwała się z domu o tej godzinie. Wiesz, śpię w jednym pokoju z Bruśką, jak wyjdę, żeby nie zobaczyła?

Daria westchnęła z żalem. Nie było o czym gadać.

Czarnecki zmrużył oczy. Słońce znajdowało się w zenicie i, choć był to już październik, grzało, jakby dopiero rozpoczynały się wakacje. Przetarł spocone czoło i jeszcze raz dokładnie przyjrzał się zakopanym przedmiotom.

Posrebrzana zawieszka w kształcie półksiężyca, wyglądająca na starą, delikatnie błyszcząca na żółtym materiale zwykłego dziecięcego podkoszulka z frędzlami. Obok tego leżała kasetka magnetofonowa, jakiej dawniej używano do nagrywania piosenek z radia. Spojrzał znacząco na Andruszkiewicza.

– Sprawdzaliście?

Młody policjant pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Nie mieliśmy gdzie.

– Sprawdźcie. Jak najszybciej – nakazał i wrócił do oglądania przedmiotów, które właściwie ciężko byłoby powiązać z Zofią Karaś. Prócz jednego: charakterystycznej drewnianej laski, rzeźbionej naokoło w ludzkie głowy.

Rzeczy te znaleźli przykryte igliwem nieopodal miejsca, gdzie pozostawiono zwłoki Karoliny Karaś, już w lesie. Jeden z mieszkańców zgłosił, że zauważył je, zbierając grzyby. Był pewien, że laska należała do Zośki, o której zaginięciu wiedziała już cała wieś. Podobno takie laski rzeźbił Władysław Bania, gdy jeszcze żył, a każda była niepowtarzalna. Czarneckiemu wydawało się przez moment, że znalazca tak naprawdę liczył na jakąś nagrodę, nawet jeżeli jednak tak było, to musiał obejść się smakiem: policji nie stać było na nagrody dla informatorów, a córka nie wyglądała na osobę, która za bardzo przejęła się zniknięciem matki i zamierza cokolwiek komuś dać za informacje o niej.

– Po co ktoś to zakopał? – mruknął do siebie Czarnecki. – Nie lepiej było spalić? Albo zwyczajnie do kontenera wyrzucić po drodze?

Pomyślał o wypalonym okręgu w ziemi przy znalezionych zwłokach. Czy mogły tam spłonąć jakieś inne rzeczy należące do ofiary lub jej matki? Czy sprawca uprowadził je obie w tym samym czasie? A może na raty? Za wiele było pytań, zbyt mało odpowiedzi.

– Może stwierdził, że będą mu jeszcze potrzebne, a jednocześnie nie chciał zostawić ich w domu, byśmy ich nie znaleźli? – podsunął Andruszkiewicz.

Czarnecki kiwnął głową. Brzmiało logicznie.

– W takim razie: do czego zamierzał ich użyć? – Spojrzał na starszego aspiranta przenikliwym wzrokiem.

Młody wzruszył nieznacznie ramionami i uśmiechnął się półgębkiem.

– O to pewnie powinienes jego zapytać. Może do jakiejś swojej kolejnej inscenizacji?

Komisarz z trudem zdusił westchnienie. Właśnie tego obawiał się najbardziej.



Chłopców nie było nigdzie. Nie tylko w szkole, ale też u żadnego kolegi ani koleżanki, nie było ich ani na boisku, ani na stadionie w zespole szkół średnich, ani w bibliotece, ani w żadnym okolicznym sklepie, które zjeździła Dobrosława. W gruncie rzeczy nie sądziła, by bliźniacy poszli gdzieś zupełnie sami, bez pytania. Współczesne dzieci jednak nie były takimi dzikusami jak oni, w latach dziewięćdziesiątych, a i Ludmiła raczej krótko ich trzymała. Co nie zmieniało faktu, że nigdzie ich nie było.

Przerażeni stali na parkingu przed szkołą, kompletnie nie wiedząc, co dalej robić. Ludmiła po pierwszym szoku zaczęła płakać, ojciec z matką wciąż rozważali kolejne kierunki, dokąd chłopcy ewentualnie się udali, z pracy przyjechał też Piotrek, mąż Ludmiły. Tyle że powoli kończyły się miejsca, gdzie bliźniacy mogli się zaszyć.

– I co ja mam teraz zrobić? – szlochała Ludmiła.

Marianna z Janem popatrzyli po sobie.

– Chyba... – zaczęła matka. – Chyba trzeba zgłosić... – Słowa „zaginięcie” i „policja” nie mogły przejść jej przez usta. Zbyt źle się kojarzyły, zbyt gorzkie wspomnienia przywoływały.

– Trzeba jechać na policję – dokończyła za nich trzeźwo Dobrosława. – I to jak najszybciej.



Kaseta była pusta. W sumie to powinien się tego spodziewać, bo co też mogło się na niej znajdować? Przyznanie się do winy? Koncert życzeń? Czy kondolencje dla zabijanych ofiar? O ile w ogóle wszystkie te rzeczy rzeczywiście zakopał sprawca. O ile znalazca się nie mylił i akurat ta laska rzeczywiście należała do zaginionej.

Komisarz sam już nie wiedział, komu wierzyć, a komu nie, kto mówi prawdę, a kto tylko udaje, że nic nie wie.

Rozpytywanie we wsi o Zofię Karaś również nie przyniosło żadnych rezultatów. Nikt jej nie widział w ostatnim czasie, a nawet jeżeli widział, to nie pamiętał kiedy. Wyglądało na to, że kobieta przez ostatnie kilka miesięcy praktycznie nie wychodziła z domu, a wszystkie zakupy i inne sprawunki załatwiała za nią Karolina. Niestety to tylko dodatkowo zaciemniało obraz sprawy.

– Mamy dalej przepytować mieszkańców? To trochę mija się z celem – zagadnął Andruszkiewicz wyraźnie zniechęcony.

Czarnecki już miał się go zapytać, czy ma jakieś inne pomysły, gdy zadzwonił jego telefon.

– Halo? – rzucił zniecierpliwiony do słuchawki.

– Panie komisarzu, mówi Marta Michalak. Dzwonię, ponieważ... – Zawahała się na sekundę. – Widzę właśnie w systemie, że zarejestrowano zaginięcie dwójki ośmiolatków, i pomyślałam, że to może pana zainteresować...

Świetnie. Dwójka zaginionych ośmiolatków, kolejny strup na głowie. Tylko co go to akurat obchodziło? Nie zdążył się zastanowić, jaka młoda policjantka ma cel, przekazując właśnie jemu tę informację, gdy ta dokończyła:

– ...bo to akurat w Trzcinicy.

Wielka gula stanęła mu w gardle.

– Nazwisko? – wycisnął w końcu ze ściśniętej krtani.

– Budziak. Antoni i Aleksander Budziak.

Sam nie wiedział dlaczego, ale poczuł ulgę, że to prawdopodobnie nie jest jednak w żaden sposób związane z zabójstwem Karoliny Karaś i zaginięciem Zofii. Zbyt wcześnie.

– Zaginięcie zgłosiła ich matka, Ludmiła.



Dobrosława siedziała przy stole w kuchni u Ludmiły, trzymając pochlipującą siostrę za rękę. Jej mąż siedział w pokoju obok, a raczej chodził tam i z powrotem, obdzwanając wszystkich bliższych i dalszych znajomych. Matka z ojcem pojechali do domu, gdzie robili to samo. Policja kazała im bezwzględnie tam zostać na wypadek, gdyby chłopcy sami wrócili.

– Nie, to się nie dzieje naprawdę – powtarzała raz za razem Ludmiła, pomiędzy kolejnymi napadami płaczu.

Dobrochna okropnie jej współczuła. Chciała jej jakoś pomóc, najchętniej wstałaby i sama zaczęła przeczesywać wioskę, jednak widziała, że siostra jej potrzebuje, i to bardziej niż zwykle. „Posiedzę, aż Piotrek skończy. A później sama pójde szukać”, podjęła decyzję.

Jakby na zawołanie mężczyzna z ponurą miną stanął w drzwiach.

– Nigdzie ich nie ma – powiedział. – Pojadę, rozejrzę się po wsi, a wy tu zostańcie, jakby... – Zawahał się, po czym szybko dokończył. – Jakby wrócili.

Nie zdążyła zaprotestować. Może jednak tak będzie lepiej? W końcu on był tutejszy, a ona nie mieszkała w wiosce od wielu, wielu lat. Strwoniłaby cenny czas na tłumaczenie, kim jest, zamiast skupić się na najważniejszym.

Ścisnęła mocniej rękę siostry. W korytarzu trzasnęły zamykane drzwi.

Nie minęło jednak pięć minut, gdy rozległ się przenikliwy dzwonek. Ludmiła błyskawicznie poderwała się i pobiegła otworzyć. Ruszyła za nią, choć była więcej niż pewna, że to Piotrek czegoś zapomniał, na przykład kluczy. Nie chciała robić sobie złudnej nadziei. Ludmiła szarpnęła zamek, nacisnęła gwałtownie klamkę i znieruchomiała. Tak jak sądziła Dobrochna, to nie byli chłopcy.

Przed nimi stał komisarz Czarnecki.



– Proszę mi jeszcze raz dokładnie wszystko opowiedzieć – poprosił, gdy już usiedli.

Dobrochna dostrzegła, że wcale nie był zdziwiony, gdy ujrzał ją w domu Ludmiły. Czyli wiedział. Bardziej niepokojące było jednak to, że się w ogóle zjawił, bo to mogło oznaczać tylko jedno: znalazł jakieś powiązanie z zabójstwem Karoliny. Inaczej sprawą chłopców wciąż zajmowałaby się Komenda Powiatowa w Jaśle.

Ludmiła nerwowo zaciskała palce lewej dłoni na przegubie prawej, by zaraz znów je rozluźnić.

– Zapomniałam ich odebrać – szepnęła. Jej głos przepełniało poczucie winy. – Ta Karolina... i jeszcze jej matka. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że to ja miałam ich dziś odebrać.

– Gdy Ludmiła przyjechała do szkoły, już ich nie było – wyjaśniła rzeczowo Dobrosława. – Świetliczanka twierdzi, że widziała ich ostatni raz przed pracownią komputerową, a jak nam się udało ustalić, jeden z kolegów, Bartosz Baran, widział ich, jak wychodzą przed szkołę.

„Baran? Czy czasem już gdzieś nie słyszałem tego nazwiska?“, pomyślał Czarnecki, głośno zaś powiedział:

– Dobrze. A co mogą mi panie powiedzieć o zaginięciu sióstr Myśliwiec w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym?

W jednej chwili Ludmiła spięła się, by zaraz zacząć płakać.

– Ja... ja... – Zakryła twarz rękawem.

– Rozumiem, że nie chodzi panu o to, co można było wyczytać w aktach? – stwierdziła Dobrosława, obejmując uspokajająco siostrę. – Widzi pan jakieś analogie? Z tego, co pamiętam, dziewczyny zniknęły w nocy, Daria z własnego domu.

– Jeszcze nie, jednak zarówno nazwisko pani siostry, jak i nazwisko zmarłej Karoliny Karaś pojawia się w aktach, muszę więc rozważyć różne scenariusze.

– Tak jak nazwiska połowy przepytywanych wówczas mieszkańców, więc to żaden argument! – zachnęła się Dobrosława. – Ma pan coś konkretnego czy tylko straszy biedną matkę?

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż rozległ się dzwonek do drzwi. Ludmiła błyskawicznie przestała szlochać, podrywając się na równe nogi.

– Chłopcy, może to chłopcy! – krzyknęła, biegnąc do drzwi.

Ale to nie byli chłopcy, tylko ojciec.

– Przyniosłem wam kolację. – Jan Machniewicz uśmiechnął się nieśmiało, wchodząc do środka z reklamówką, w którą miał zawinięte jakieś pudełko. – Mama mówiła, żebyście przynajmniej spróbowały coś zjeść. Ona wciąż obdzwania koleżanki, rodziców i wszystkich, kogo tylko może. Maria Dąbrowska widziała bliźniaków, jak szli drogą w stronę domu. Na pewno zasiedzieli się u jakiegoś kolegi – próbował niewprawnie pocieszyć córkę. – Dobry wieczór, panie komisarzu, coś się stało? – Dopiero teraz zauważył policjanta. Błyskawicznie spochmurniał. Nawet on uważał, że nie powinno go tu być.

– Pan komisarz szuka analogii między zaginięciem chłopców, zabójstwem Karoliny i zaginięciem dziewczyn z dziewięćdziesiątego dziewiątego – wyjaśniła zjadliwie Dobrosława, aż Czarneckiemu zrobiło się przez sekundę głupio.

„Kiedy stała się taka cięta?”, pomyślał.

Machniewicz zbladł. Ludmiła zaczęła znów popłakiwać.

– Naprawdę? – spytał.

Komisarz niechętnie skinął głową.

– W sumie... tak.

– Mój Boże... – wyszeptał ojciec.

Dobrosława przez chwilę przyglądała się Czarneckiemu wzrokiem bazyliuszka. „Czy to przez sprawę nożownika ona mnie tak nienawidzi? Czy może jednak rzeczywiście odkryła, co zdarzyło się potem?”, zastanawiał się gorączkowo. Nie mógł pozwolić, by ktoś powiązał go ze śmiercią Damiana Więcha. Nie mógł przekreślić całej swojej przyszłości... i przeszłości. Poczuł, że kropelki potu zaczęły pojawiać się mu na skroni. „Czy ona wie?” Zerknął na dziewczynę niepewnie.

Ale pani detektyw już na niego nie patrzyła. Nachyliła się nad Ludmiłą i odgarnęła jej włosy z twarzy.

– Możesz mu zaufać – powiedziała siostrze cicho, mocniej ściskając ją za rękę. – Wszyscy chcemy jak najszybciej znaleźć chłopców. Jeżeli to w jakiś sposób może nas naprowadzić, gdzie oni mogli zniknąć albo kto im w tym pomógł, musisz mu powiedzieć – przekonywała. – Każdy szczegół może być ważny.

– Pani Ludmiło, nie będę w stanie pomóc, jeżeli nie powie mi pani wszystkiego, co wie – potwierdził łagodnie Czarnecki. Zdziwiły go nieco słowa Dobrosławy po tym, jak zachowywała się ledwie moment temu. Tak jednak było: musiał wiedzieć wszystko, jeżeli miał cokolwiek pomóc.

Ludmiła łkała jeszcze chwilę, nim zdołała z siebie wydusić:

– Ja... ja byłam tam, wtedy. Ja wszystko widziałam.

Dobrosława objęła ją troskliwie ręką i spytała spokojnie:

– Gdzie byłaś? Na wałach, gdy zginęły dziewczyny?

Siostra pokiwała energicznie głową.

– Taaak. Byłam. Wszystko widziałam.

– Co dokładnie pani widziała? – nie wytrzymał Czarnecki.

Ludmiła zaczęła szlochać spazmatycznie.

– Ja... ja ich tam widziałam... widziałam, widziałam je wszystkie. I Darię, i Malwinę, i Karolinę. I... i wiem, co im zrobili. Zostałam ostatnim świadkiem, więc doskonale wiem, co mnie czeka. – Wybuchnęła płaczem.

Listopad 1999 roku

Za oknem panowała nieprzenikniona ciemność, tak samo jak w pokoju. Ludmiła siedziała na skraju łóżka, wsłuchując się w miarowy oddech młodszej siostry. Była punkt dziewiąta – gdyby wiedziała, że młoda tak szybko dziś zaśnie, zupełnie co innego odpowiedziałaby Darii. Skąd jednak mogła wiedzieć? Zresztą była pewna, że jeżeli tak by założyła, Dobrosława siedziałaby dzisiaj bardzo długo, czytając książkę czy notując coś w pamiętniku.

Palce powoli zaciskały się na kołdrze. Iść? Nie iść?

Nie miała pewności, co ostatecznie postanowiła Daria. Z jednej strony była strasznie ciekawa „dziadka” Malwiny, z drugiej... A jeżeli Daria nie poszła? Jeżeli na wałach nie będzie nikogo?

Jednym ruchem odrzuciła kołdrę, ostatecznie podejmując decyzję. Trudno. Jeżeli nikogo nie spotka, to wróci. Przecież to nie było tak daleko. Co zresztą może się stać?

Oby tylko Dobrochna nie obudziła się i nie zauważyła jej nieobecności. Na wszelki wypadek ułożyła kołdrę i poduszkę tak, by przynajmniej w ciemnościach wydawało się, że jest w łóżku. Na piżamę włożyła spodnie i bluzę, srebrny łańcuszek wcisnęła pod materiał, by nie dyndał jej na szyi. Powoli otworzyła okno i zwinnie niczym kot wyskoczyła na podwórko.

Wylądowała nogami na miękkim poszyciu, lecz mimo że nie było wysoko, poczuła lekki ból w kostce. Z trudem powstrzymała syknięcie.

Na szczęście był to tylko chwilowy ból, więc noga nie była skręcona. Po kilkudziesięciu metrach zaczął maleć, by w końcu całkiem zniknąć. I dobrze, bo inaczej nie byłaby w stanie dojść aż na wały. Mimo wszystko to było dobrych kilkanaście minut marszu.

Noc była zimna, przesiąknięta dymem z kominów, w dodatku okropnie wiało. Jasny księżyc wydobywał z ciemności kontury rzeczywistości. Zimny dreszcz przebiegł Ludmile przez plecy – nie wiedziała, czy był to chłód powietrza, który wdarł się pod jej polar, czy czający się gdzieś wewnątrz strach. Przez moment przeszło jej przez głowę nawet, żeby zawrócić, niepostrzeżenie wsunąć się z powrotem do ciepłego łóżka, zaraz jednak pomyślała o minie Darii, której opowie o dziadku Malwiny i opiszę wszystko ze szczegółami, na jakich zobaczenie księżyc zbliżający się do pełni jej tylko pozwoli. Nawet nie założyła, że Daria jednak zdecydowała się na to szaleństwo. Może i była wariatką, lecz chyba nie chciałoby jej się wychodzić samej w zimną listopadową noc.

Mokre liście zaszeleściły pod jej stopami, jakby stado saren przebiegło przez las. Zatrzymała się i ściągnęła buty. Wilgoć momentalnie przeniknęła przez skarpetki, jednak było to o wiele lepsze, niż gdyby ktoś miał ją usłyszeć. Wzięła adidas do ręki i powoli zaczęła skradać się w stronę miejsca, gdzie Malwina umówiła się ze swoim fagasem.

Drzewa szumiały, blade światło księżycy sączyło się między wyłysiałymi gałęziami. Gdzieś nieopodal rozległy się przyciszone głosy. Zamarła w bezruchu. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała: czy to na pewno ludzie, a nie jakieś dzikie zwierzę. Zaczęła nasłuchiwać. Dopiero po chwili dotarło do niej, jak dziwne miejsce wybrała zakochana parka na spotkanie.

Dlaczego tutaj, na całkowitym uboczu? Jeszcze teraz, w zimnym, niemiłym listopadzie. Nawet jeżeli zależało im na prywatności (co oczywiście rozumiałe), to czemu umówili się w lesie, nie w samochodzie? Przecież stary dziadek z Niemiec z pewnością musiał mieć fajną brykę.

Ludmiła podkradła się bliżej, licząc, że mimo ciemności uda jej się coś dostrzec, a nie tylko usłyszeć. Nie pomyliła się – kilka metrów dalej zauważyła i romantyczną parkę, i samochód. Tak jak sądziła, nie był to ani maluch, ani inny stary złom. Księżyc odbijał się w błyszczącym, ciemnym lakierze.

– ...i pojedziemy, a tam wszystko będzie nasze! – usłyszała niski, męski głos, a następnie jakieś ciamkanie.

– Sama nie wiem... naprawdę. – Ciche jęknięcie. – Może jednak poczekajmy? Skończę szkołę, zdam maturę...

– Nie ma na co czekać. – Choć głos był spokojny, miał w sobie nutę sprawiającą, że trudno mu było się sprzeciwić.

Ludmiła nadstawiła uszu, jednak zamiast odpowiedzi usłyszała cichy warkot silnika. Co, u diabła? Co prawda byli na samym skraju lasu, a w pobliżu ciągnęła się droga dojazdowa do pól, ale skąd tu nagle drugi samochód? Czy Daria powiadomiła jednak swoich starych i teraz oni razem zrobili zasadzkę na obściskującą się parkę?

Nieemożliwe... o niczym takim nie wspominała. A może dowiedzieli się z innego źródła? Na samą myśl ścierpła jej skóra. Jej matka. Była wtedy w domu, kiedy Daria mówiła o ucieczce Malwiny, i dokładnie opisała, gdzie mieli się spotkać. Musiała usłyszeć.

Biały volkswagen polo zatrzymał się koło ciemnego samochodu. Otworzyły się drzwi. Wsiadły z niego trzy osoby, dwóch gości i jakaś dziewczyna.

– Co tam, gołąbeczki, już pogruchaliście? – rozległ się inny męski głos.

– Powiedzmy – odpowiedział dziadek Malwiny. Dopiero teraz odwrócił się tak, że Ludmile udało się dojrzeć jego twarz. Wydawał się nie aż tak stary, jak opowiadała Daria. W sumie... w sumie to wyglądał trochę jak Bogusław Linda, choć starszy, to wciąż całkiem apetyczny.

– Daj im spokój. Jedziemy gdzieś jeszcze się zabawić? Godzina wciąż wczesna. – Rozpoznała głos Karoliny. Czyli ona też tu była.

– Wczesna, ale środek tygodnia. Gdzie ty, dziecino, chcesz się zabawić? – Drugi z koleś roześmiał się i przygarnął nastolatkę do siebie.

– W Europie? Andrzejki niedługo, nie robią jakichś imprez w ciągu tygodnia?

– E, chyba nie.

– Zobaczysz już niedługo. – „Linda” przygarnął Malwinę do siebie. – W Berlinie imprezy są codziennie. Do białego rana.

Drugi koleś zachichotał.

– Nie jadę do Berlina. – Podniesiony głos Malwiny zdawał się przecinać powietrze. – Mówiłam ci przecież, jednak chcę najpierw skończyć szkołę. Zdam maturę i wtedy wyjedziemy.

W jednej chwili w lesie zapadła głucha cisza. Tylko gdzieś w gałęziach słychać było ciche odgłosy nietoperzy.

– Jak to nie chcesz jechać? – wycedził „Linda”. Słowa zdawały się odbijać echem od pni drzew. – Teraz mi to mówisz? Gdy już wszystko załatwione?

Malwina odrzuciła do tyłu gęste, długie włosy.

– Skończę szkołę, zdam maturę i wtedy zacznę karierę – powtórzyła. Wydawała się już mocno rozdrażniona. – To nie tak długo.

– Niedługo? Niedługo?! Dziewczyno, ty nie wiesz, o czym mówisz! W tym zawodzie nikt nie popatrzy na osiemnastolatkę. Ty już jesteś za stara! – Podniósł nieco głos. Zaraz jednak zrobił krótką pauzę i dodał łagodniej: – Zbieramy manatki i w przyszłym tygodniu jesteśmy daleko za zachodnią granicą, kochanie. Wszystko już na ciebie czeka. Wielki świat na ciebie czeka.

– Nie.

„No to się porobiło”, pomyślała Ludmiła z zapartym tchem, śledząc niezwykłą scenę. I wtedy kilka metrów przed sobą zauważyła, że liście się poruszyły. Ktoś tam stał. Czaił się w mroku, za gęstymi krzewami i tak jak ona podglądał towarzystwo. Zauważyła długie jasne włosy związane w kucyk, pikowaną modną kurtkę...

Daria.

Niewiele myśląc, zaczęła podkradać się w stronę koleżanki. Razem zawsze raźniej.

Awantura w lasu przybierała na mocy. „Bogusław Linda” bezskutecznie namawiał Malwinę na wyjazd, obiecywał, mamił, momentami nawet jakby groził konsekwencjami, no bo w końcu wszystko było już ustalone, wszystko zorganizowane, koszty poniesione, a dziewczyna nagle zmienia zdanie. Drugi z mężczyzn milczał, tak samo jak i Karolina, która najwyraźniej nie wiedziała, po której stronie stanąć. Oprócz nich był tam jednak ktoś jeszcze. Trzeci koleś, który stał tak obrócony, że ledwie widziała jego sylwetkę.

– Pojedziesz, czy tego chcesz, czy nie – warknął w końcu wyprowadzony z równowagi „Linda”.

– Słucham?

Zapadła cisza. Atmosfera stężała. Coś wisiało w powietrzu i wszyscy jakby tylko czekali, aż wybuchnie.

I w tym momencie Ludmiła znalazła się w końcu tuż koło Darii i dotknęła jej ręki.

Po lesie poniósł się krzyk.

– Widziała pani tych mężczyzn? Wie pani, kto to był? – dociekał Czarnecki.

Ludmiła zaprzeczyła.

– Nie – powiedziała, jednak jakaś nuta w głosie zabrzmiała, jakby nie do końca to była prawda. – Widziałam ich, choć w tym księżycowym świetle wszystko wydawało się inne. Jestem jednak prawie pewna, że nie znałam ich wcześniej, w końcu Karolinę i Malwinę rozpoznałam bez problemu. Nie sądzę też, bym teraz ich rozpoznała. To wszystko... to wszystko zdarzyło się tyle lat temu, obrazy zatarły się w mojej pamięci.

– Ale pamięta pani, co wydarzyło się później?

Kiwnęła głową, posępniejac.

Krzyk Darii rozdarł leśne powietrze. Dziewczyna wyciągnęła ręce przed siebie, chwyciła intruza, po czym tak samo gwałtownie odepchnęła od siebie. Ludmiła poczuła, jak łańcuszek na szyi naprężył się i wrzynał w jej skórę. Upadła kilka metrów dalej, w leśny gąszcz. Ostre gałązki cięły jej twarz, mimo to odruchowo wczołgała się głębiej w zarośla i zamartała, wstrzymując oddech. Czuła, że pokazanie się towarzystwu było najgorszą z możliwych opcji.

Nie pomyliła się.

– Daria? Co ty tutaj, do diabła, robisz! – Rozpoznała głos Malwiny. Nie widziała nic, przed oczami miała tylko ścianę liści, ale dźwięk był wyraźny, jakby wszyscy stali tuż koło niej. Możliwe zresztą, że tak właśnie było.

– Kto to jest? – „Linda” zabrzmiał złowrogo. – Znasz ją?

– To... to moja siostra.

Usłyszała szelest liści pod butami i krótki pisk przyjaciółki.

– Ile słyszałaś?

Cisza. Dziwny odgłos... jakby zwierzęcia szamocącego się na uwięzi.

– Ile słyszałaś, do kurwy nędzy?!

– Ja nic... ja nic... nie wiem.

Sapnięcie. Piski. Wyrwanie.

– Zmiana planów. Bierzemy obie.

– Jakie obie?! Jakie, kurwa, obie?! – Wrzask Karoliny.

– Cicho być! Też chcesz? Nie ma sprawy. – Plaśnięcie ręki o policzek. – Mało?

Krzyk. Dźwięki... dźwięki. Płacz Darii. Kolejne sapnięcie. Plaśnięcie. Uderzenie. Wymieszane odgłosy. Poczwała, że jeszcze chwila i sama zacznie krzyczeć.

Na szczęście w jednej chwili wszystko ucichło.

– Co z nią zrobimy?

– Zostaw. Nic nam nie robi. Mario o to zadbał. Może mu naskoczyć.

Śmiech. Brzęk. Brzęk? Jaki brzęk? Szybki odgłos podeszew, uderzających o ziemię, szelest liści. Krótkie, treściwe przekleństwo.

Wrzask. Odgłos tąpnięcia o leśne podłoże. Dźwięk ciągnięcia po ususzonych liściach.

– Myślałaś, że uciekniesz, suko?

„Któraś uciekała. Któraś myślała, że da radę. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Jeżeli mnie dostrzegą, będę następna. Będę następna”.

Znów jakieś dziwne odgłosy. Znów plaśnięcia. Głuche chrupnięcie.

– Co zrobiłeś, debilu! Co zrobiłeś, idioto! Ja pierdolę!

– A ta druga? Co z tą drugą?

– Nic nie mów. Ja pierdolę, nie mogłeś obchodzić się z nimi delikatniej?

– Kurwa... no to się narobiło. Mario nam łby poukręca.

Gorączkowe kroki. Tuż koło jej głowy. Skuliła się. Serce przyspieszyło. Oby tylko nie. Oby nie.

– Tam niżej jest dół. Wrzucimy, przysypimy ziemią. Nim cokolwiek znajdq, będziemy daleko.

Sekundy wydają się minutami, minuty godzinami. Nie wiedziała, jak długo to trwa, godzinę, pół nocy, całą wieczność? A może to tylko sen, zaraz obudzi się w ciepłym łóżku obok chrapiącej Dobrochny? Czuła, że twarz ma całą zdrętwiałą od zimnej ziemi, wilgoć leśnej nocy przemoczyła jej ubranie.

W końcu po kolejnej wieczności usłyszała warkot silnika. Trzasnęły drzwi i dźwięk zaczął się oddalać. Za chwilę odgłosy powtórzyły się i w końcu zapadła cisza. Tak: prawdziwa, najprawdziwsza cisza. Las milczał. Nie chciał o tym opowiadać.

Bała się poruszyć jeszcze przez długi czas. W końcu jednak, gdy wciąż nic się nie działo, zaczęła pełznąć. Powoli, ruch za ruchem. Metr

po metrze. Widziała tylko leśne poszycie przed sobą i pnie drzew, które raz po raz wyrastały przed nią jak pradawne totemy, nic więcej. Wyciągnęła rękę do przodu, by pokonać kolejne centymetry... i złapała nicość. Ręka osunęła się w dół, a ona straciła punkt podparcia i stoczyła się za nią. Poczuła lepką glinę, świeżo zruszoną, wymieszaną ze ściółką. Sama nie wiedziała, dlaczego zaczęła grzebać w niej, odgarniać kolejne gruzły. W końcu znalazła.

Grudki ziemi wchodzące do ust, policzki brudne od błotnistej mazi. Daria była ziemią, a ziemia była Darią. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Dusząc w sobie płacz, wypuściła z dłoni garść ziemi, po czym wstała i uciekła byle dalej, tak szybko, na ile pozwoliły jej zdrętwiałe od zimna i wilgoci nogi.



– I przez dwadzieścia lat nic pani nikomu nie powiedziała?

Ludmiła pokręciła energicznie głową.

– Nikomu ani słówka. Karolina też milczała. Z tego, co słyszałam, oni coś na nią mieli. Musieli ją szantażować, musiała się okropnie bać, że nic nikomu nie powiedziała. W końcu to była jej najlepsza przyjaciółka. Może gdyby ona zaczęła... może gdyby... – Pociągnęła nosem. – Tylko czasem, gdy widziałam mamę Darii, czułam, że powinnam coś zrobić. Ale tak strasznie się bałam! Tak okropnie! Później Darię znaleźli, a Malwina... a Malwina pewnie tam jeszcze gdzieś leży w lesie. – Zaczęła szlochać.

Dobrosława objęła ponownie siostrę. Nie wydawała się wstrząśnięta. Raczej – pogodzona z losem. Jakby tajemnica, o której przez długi czas wiedziała, w końcu wyszła na jaw.

Wiedziała? O ilu rzeczach wiedziała?

Czarnecki zdusił w sobie westchnienie i wyciągnął z kieszeni zawieszkę, którą wykopali w lesie. Miał podjechać w drodze powrotnej do Machniewicza i mu ją pokazać. Zrządzenie losu zaoszczędziło mu nieco drogi.

– Mógłby pan rzucić na to okiem? Taki zabytek udało nam się dzisiaj znaleźć. – Chrząknął, by ukryć zmieszanie. Ostatnie zdanie zabrzmiało nieco dziwacznie, jednak na razie nie mógł powiedzieć nic więcej.

Jan spojrzał zdezorientowany na zawieszkę.

– To nie jest zabytek, to zwykła lunula, współczesny odlew. Teraz wracają do łask, tyle że w bardziej wymyślnych kształtach, ale ta... moje córki takie dostały. Ode mnie. Na urodziny. – Popatrzył na komisarza, jakby szukał u niego wytłumaczenia, skąd wziął podobną zawieszkę i dlaczego jest ona taka ważna.

Dobrosława sięgnęła po wiszący na szyi łańcuszek i wyciągnęła spod bluzki identyczny wisiołek.

– Takie same – stwierdziła, szybko porównując zawieszki. – Ludmiła? – Zerknęła na szyję siostry.

Ludmiła, chlapiąc, bez słowa wyciągnęła swój naszyjnik. Był taki sam jak dwie poprzednie.

– Masz zamiary do kogoś, kto je robił? – spytała trzeźwo ojca Dobrosława.

– Może... sam nie wiem. To było tyle lat temu – zafrasował się Machniewicz. – Chociaż... – Urwał, wpatrując się w starszą córkę, jakby coś nagle zaświtało mu w głowie. – Ty czasem nie zgubiłaś kiedyś swojej?

Ludmiła skuliła się, chowając twarz w dłoniach i zanosząc się ponownie gwałtownym szlochem.

– Zgu... zgubiłam. Chyba właśnie wtedy... na wałach.

Dobrosława z Czarneckim spojrzeli na siebie wymownie.

– O kurwa – wymknęło się komisarzowi. Było gorzej, niż przypuszczał.

ROZDZIAŁ 4

Chłopcy mają około metra trzydziestu wzrostu. W chwili zaginięcia ubrani byli w szare bluzy z kapturem z rysunkiem Spidermana oraz ciemne dżinsy. Po raz ostatni widziani byli wczoraj, około godziny trzynastej w Trzcinity, w pobliżu szkoły podstawowej. Osoby posiadające jakiegokolwiek informacje mogące przyczynić się do odnalezienia dzieci proszone są o kontakt telefoniczny na specjalnie uruchomioną bezpłatną infolinię alarmową 995 lub z najbliższą jednostką policji”.

Dobrosława przełączyła kanał. Tutaj też podawano informację o zaginięciu bliźniaków. Zapatrzyła się w podobiznę siostrzeńców, która wyświetliła się na planszy. Gdzie oni byli? Czy ktoś chciał im zrobić krzywdę? Dlaczego? Czy rzeczywiście chodziło o Ludmiłę? Z jej relacji wynikało, że nikt nie wiedział o jej obecności na wałach tego felernego wieczoru. Przez dwadzieścia lat milczała jak grób i Dobrochna wierzyła jej, że tak było. Mimo to najpierw ktoś zamordował Karolinę, a teraz prawdopodobnie zabrał bliźniaków. Dlaczego?

Czy na wałach tej nocy był ktoś jeszcze?

Usłyszała zamykające się drzwi od łazienki i kroki w korytarzu. Błyskawicznie wyłączyła telewizor. Nie chciała, żeby Ludmiła oglądała

twarze synów na planszach w telewizyjnych programach informacyjnych. I bez tego było jej ciężko.

Odłożyła pilota na stolik w momencie, gdy siostra przekroczyła próg pokoju. Usiadła ciężko na kanapie i wbiła wzrok w ciemny telewizor.

– Policja uruchomiła Child Alert – powiedziała Dobrochna, siadając koło siostry. – Wszystkie stacje podają informację o zaginięciu chłopców. Ktoś musiał ich widzieć.

Ludmiła westchnęła ciężko. Od wczoraj była na środkach uspokajających, które trochę pozwoliły stępić jej rozpacz. Przynajmniej na tyle, że nie zanosila się cały czas płaczem.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że teraz, po tylu latach, to wszystko wraca. – Zakryła twarz dłonią. – Dlaczego? Czemu ja jestem winna? Czemu Karolina była winna? Przecież tak samo była ofiarą! Nawet jeżeli nie chcieli jej wywieźć jak Malwiny.

– Naprawdę myślisz, że chcieli ją wywieźć? Darię też?

– A czy jest inne wytłumaczenie? Dlaczego inaczej ten gość tak usilnie namawiał ją na wyjazd? Zresztą wiesz równie dobrze jak ja, że to był jeden z tropów policji. Tylko tyle, że potem znalezienie Darii namieszało im w koncepcji... Kto wie, może jednak Malwina przeżyła? Może ją zabrali? W końcu nikt nie znalazł ciała. – Głos znów zaczął się jej załamywać. – Nie wiem, ja już nic nie wiem!

Dobrosława pamiętała doskonale, jak po tej feralnej nocy dziewczętom nie pozwalano przez długi czas wychodzić wieczorami z domów. Wszyscy uwierzyli, że Malwina i Daria padły ofiarą handlarzy kobietami i wywieziono je za zachodnią granicę. We wsi plotka ta krążyła także po odkryciu zabójstwa młodszej dziewczyny i objawiła się nawet w postaci legendy o krążącym po okolicy ciemnym samochodzie, do którego wciągano niespodziewające się niczego nastolatki. Trzeba

jednak przyznać, że opowieść trafiła na podatny grunt – tym bardziej że rok albo dwa wcześniej dwie z mieszkańek sąsiedniej wsi wyjechały do pracy na saksy i ślad po nich zaginął. Nigdy nie wróciły, nawet na święta, nigdy nie przysłały kartki ani nie zadzwoniły. Jakby całkiem zniknęły z powierzchni świata.

– Gdyby Karolina żyła, pewnie byśmy się dowiedzieli, w końcu była tam, widziała o wiele więcej niż ja. Może to nawet ona puściła plotkę o tym burdelu? Może w ten sposób próbowała się zemścić? Wtedy jednak ją ucisz yli na dłuższy czas. Teraz może też chciała zacząć mówić, może stwierdziła, że nie ma już nic do stracenia? – Ludmiła siąknęła nosem. – Nie wiem! Tak mało rzeczy wiem! Jestem zupełnie bezsilna! – Zaczęła łkać, ukrywając twarz w dłoniach.

Dobrosława objęła ją mocniej.

– Naprawdę żadnego z nich nie rozpoznałaś? – spytała cicho.

Ludmiła pokręciła głową.

– Żadnego. Nigdy ich tutaj nie widziałam ani wcześniej, ani później. Oprócz – zawahała się. – Prócz tego jednego, który się prawie wcale nie odzywał.

Dobrosława oderwała się od siostry

– Wiesz, kto to był? – Popatrzyła na nią z uwagą. – Nic nie powiedziałaś Czarneckiemu.

Ludmiła ponownie pokręciła głową.

– Sama nie jestem pewna. Wydawał mi się znajomy. Ale nie widziałam go dokładnie, bo stał na uboczu. Może gdyby coś powiedział, może poznałabym po głosie. – Znów schowała twarz w dłoniach. – Nie wiem, naprawdę nie wiem, to było tak dawno! Wydaje mi się, że już go wcześniej spotkałam, lecz kompletnie nie mam pojęcia kto to.

Dobrochna pogłaskała siostrę po ramieniu.

– Już dobrze, dobrze – powiedziała uspokajająco, choć wcale nie było dobrze.



Czarnecki krążył niecierpliwie po korytarzu przed salką konferencyjną Komendy Powiatowej w Jaśle, gdzie z uwagi na bliskość miejsca zbrodni zorganizowano centrum dowodzenia, i palił papierosa. Wczorajsze szeroko zakrojone poszukiwania w Trzcinicy nie przyniosły żadnego rezultatu. Tuż po jego wizycie u Ludmiły Budziak informacja o zaginięciu zaliczonym do pierwszej kategorii z uzasadnionym podejrzeniem, że ofiary padły ofiarą przestępstwa i może być zagrożone ich zdrowie lub życie, trafiła do Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych Komendy Głównej Policji. Niedługo później sporządzono wniosek o włączenie Child Alert, uruchamianego stosunkowo rzadko, jedynie wtedy, gdy podejrzewano porwanie nieletniego, jego życie mogło być zagrożone, a rozpowszechnienie wizerunku zaginionego mogło pomóc go odnaleźć. Czarnecki miał ogromną nadzieję, że ten przypadek i jego prawdopodobne powiązanie z zabójstwem oraz możliwą zemstą po latach przejdzie pozytywną weryfikację. Bo jeżeli nie w takiej sytuacji, to kiedy? Nie pomylił się i w kilka godzin później Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych zaczęło przygotowywać komunikaty do mediów. Nie było na co czekać – i tak dobrze, że media od razu rano zaczęły rozpowszechniać wiadomość. Od tego czasu, gdy wizerunki bliźniaków lotem błyskawicy obiegły kraj, zaczęły napływać setki zgłoszeń. Bliźniaków, a zazwyczaj jednego z nich, widziano już i nad morzem, i w stolicy, i kilkukrotnie przy zachodniej granicy. Każde z tych zgłoszeń trzeba było zweryfikować. Nie mogli pozwolić sobie na błąd. Zbyt dużo leżało na szali, a przecież jeżeli sprawca chciał chłopców wywieźć, to równie dobrze mógł ich rozdzielić. Bracia bliźniacy zawsze bardziej zwracają uwagę niż pojedyncze dziecko.

Jednocześnie Marta sprawdzała trop lalki, znalezionej przy zwłokach Karoliny Karaś. Prawie cudem, dzięki charakterystycznemu ubytkowi przy prawym ramieniu, udało jej się zidentyfikować ten konkretny egzemplarz. Lalka została sprzedana przez jeden z ogólnopolskich portali ogłoszeń lokalnych. Policjantka próbowała już kontaktować się ze sprzedającym, lecz niestety na razie numer nie dawał znaku życia, mężczyzna nie odpowiedział też na wiadomości tekstowe. Czarnecki miał nadzieję, że nastąpi to jak najszybciej, bo chociaż wystąpili już do portalu o udostępnienie danych, a także o namierzenie telefonu, czas uciekał. A podejrzewał, że wcale nie mają go za dużo.

Zabójstwo kobiety, zostawiona u jej stóp lalka i porwani bliźniacy. O co tutaj chodziło? Czy rzeczywiście uprowadzenie sióstr Myśliwiec było wspólnym mianownikiem tych spraw?

Tak, po stokroć tak – podpowiadała mu intuicja. Co by innego?

Tyle że zostawała jeszcze matka zamordowanej, Zofia Karaś. Jaka była jej rola w tej układance?

Drzwi otworzyły się i w tej samej chwili zadzwonił jego telefon.

– Coś mamy – powiedział Andruszkiewicz, stając w progu.

– Mam go – powiedziała Marta do słuchawki.

– Działaj – odpowiedział dziewczynie, po czym popatrzył na Andruszkiewicza.

– Czarne audi na niemieckich blachach. Świadek widział, jak chłopcy wsiadali na tylne siedzenie.

– A jednak – powiedział tylko, nie czując jednak żadnego zadowolenia. Jedynie frustrację. Wciąż byli krok za sprawcą.



Wokół domu Magdy Niemczyckiej nie było widać żywego ducha. Dobrosława dzwoniła, pukała do drzwi i nic. Najwyraźniej nikogo jednak nie było w środku lub też – dawna koleżanka postanowiła nie otwierać. Obie możliwości były jak najbardziej prawdopodobne. Magda nie obnosiła się z żałobą po Karolinie i nie przejmowała się zaginięciem matki, więc jak najbardziej mogła iść normalnie jak co dzień do pracy. Tak samo całkiem możliwe było, że nie chciała z nią rozmawiać, bo wówczas musiałaby razem z nią zanurzyć się w nieszczęściu, które spadło na rodzinę Machniewiczów.

– Pani Niemczyckiej nie ma! – usłyszała nagle z boku, gdy po raz kolejny nacisnęła dzwonek. Odwróciła się w stronę, z której dobiegły słowa. Niska, korpulentna kobieta oparła grabie do liści o drzewo i wycierając ręce w jasne dżinsy, podeszła w jej stronę. – W pracy jeszcze. Musi pani spróbować po trzeciej.

– Spróbuję. Dziękuję bardzo! – powiedziała i już miała odejść, gdy kobieta spytała nagle:

– A pani? Skąd pani jest?

Dobrosława się zmieszała. Wolałaby nie zdradzać swojej tożsamości, ale też nie chciała, aby Magda pomyślała, że ktoś obcy jej szuka. Po co?

– Koleżanka z klasy – wyjaśniła wymijająco.

Kobiecie to jednak nie wystarczyło.

– Z Trzciny? E, chyba nie... – dodała z powątpiewaniem, przyglądając się Dobrochnie.

– Z Trzciny – powiedziała zrezygnowana. – Od Machniewiczów.

– Od Machnie... – Ucięła w połowie słowa tamta, kojarząc. – Mój Boże, słyszałam. Straszne nieszczęście. Ale to nie pani dzieci zagięły?

– Nie, siostry. Właśnie próbuję jeszcze podpytać, czy aby ktoś czasem czegoś nie wie.

Kobieta skrzywiła się.

– Eee, to pani Magda raczej nie wie, ona w Jaśle pracuje, więc dopiero po południu przyjeżdża. Ale jej matka też w sumie ostatnio zaginęła... – wyraźnie ugryzła się w język. – I ta siostra. Mój Boże, ale ostatnio się porobiło – westchnęła ciężko, lecz jakby z wyraźną ulgą, że nie dotyczy to jej bezpośrednio. – Masakra. Dzieci twojej siostry też z córką Magdy chodziły do szkoły, nie? – Kobieta, nie pytając o pozwolenie, przeszła na ty. Nie mogła być wiele starsza od Ludmiły, w sumie to Dobrochnie nawet wydawało się, że ją kojarzy ze starszych klas.

– Tak, do jednej klasy.

Chwila tej niezręcznej ciszy, kiedy właściwie nie wiadomo, co powinno się powiedzieć.

– Tak, tak... – powtórzyła w końcu jeszcze raz kobieta z namysłem. – Okropne nieszczęście, naprawdę... nic jeszcze nie wiadomo?

– Niestety – westchnęła Dobrochna. Pomyślała o Ludmile, która została z Piotrkiem. Nie odważyłyby się zostawić siostry samej – nie w stanie, w którym znajdowała się od wczoraj. Dlatego dopiero gdy szwagier wrócił do domu z poszukiwań, mogła spróbować spotkać się z Magdą i jeszcze raz z nią porozmawiać. Teraz przynajmniej wiedziała dokładnie, o co pytać.

– Na pewno ktoś ich we wsi widział, więc zgłosi się na policję. – Kobieta próbowała ją pocieszyć. – Gdzieś na pewno są, a wiadomo, jak to dzieci... coś głupiego strzeliło im do głowy, a teraz boją się wrócić. Ale znajdą się, na pewno. Co innego z matką Magdy. – Kiwnęła głową

w stronę widocznego za plecami Dobrosławy białego domu. – Ta to pewnie żywa się już nie znajdzie.

Zaskoczyło ją to.

– Czemu tak pani mówi? Magda twierdziła, że z pewnością zaszyła się w domu u... – w ostatniej chwili powstrzymała się przed użyciem słowa „pijaka” – ...kogoś.

Sąsiadka skrzywiła się nieznacznie.

– U kogo niby? Już coraz mniej meneli we wsi, właściwie nie bardzo miałyby do kogo pójść. Chyba że do siostry do Jasła pojechała, ale też wątpię. Czego niby miałyby u niej szukać po tylu latach? Przecież w ogóle kontaktu ze sobą nie utrzymywały, mimo że mieszkały blisko.

– Do siostry? Do Jasła? – zdziwiła się Dobrosława. – To ona miała tu jeszcze jakąś rodzinę?

– Tak, miała, ale mało kto o tym mówił, bo zupełnie się do siebie nie odzywały. W ogóle. Nawet jak były chrzciny czy pogrzeby, nic. – Pokręciła głową. – Baśka wyjechała do Jasła zaraz po szkole i się skończyło. Moja mama chodziła z nią do jednej klasy – wyjaśniła. – Stąd wiem.

Obiecujący trop. Siostry co prawda ponoć nie utrzymywały ze sobą kontaktu, ale zawsze był to kolejny punkt zaczepienia. Czy Czarnecki w ogóle o tym wiedział? Czy to sprawdził? W sumie dużo było w tej sprawie przeszłości, więc może warto było w tej przeszłości nieco pogrzebać? Zresztą, czy miała cokolwiek do stracenia?

Kobieta jakby czytała w jej myślach.

– Mikołajewska się ona nazywa. Barbara Mikołajewska. Mieszka w pierwszym z tych niskich bloków tuż koło samego dworca PKS.



Dobrosława jechała obwodnicą Jasła. Minęła stację paliw w dawnych Niegłowicach i kolejną prawie tuż koło bloków dziesiątek. Jasło nie było dużym miastem, mieszkało w nim zaledwie trzydzieści pięć tysięcy osób, w dodatku podczas drugiej wojny światowej zostało zniszczone w stopniu większym niż Warszawa. Co prawda w czasie wojny było to miasto ledwo piętnastotysięczne, jednak z ponad tysiąca budynków ostało się tylko kilkadziesiąt, i to głównie na obrzeżach.

A miało być tak pięknie, a miało być to miasto – tak pielęgnowane przez jego niemieckiego starostę, okupanta Waltera Gentza – na wzór miast niemieckich. Przebudowano ratusz, wycięto drzewa w rynku, główną ulicę miasta wybrukowano. Gentz tworzył nawet muzeum, w którym gromadził sztukę gotycką. To miasto było jego oczkiem w głowie, poświęcił mu całe swoje serce, wydał nawet książkę o jego przebudowie. Więc gdy we wrześniu 1944 roku wkroczenie wojsk sowieckich było już przesądzone – postanowił je całkowicie zniszczyć, by nie został kamień na kamieniu. Mieszkańcy dostali trzy dni na opuszczenie domów. Później rozpoczęła się apokalipsa.

Łuny pożarów i wybuchów widoczne były z daleka, nie tylko w Trzcinity, ale też o wiele, wiele dalej, nawet spod wiosek nieopodal Gorlic. Przez cztery miesiące, gdy front się zatrzymał, zniszczono prawie dziewięćdziesiąt siedem procent zabudowań.

Dobrosława minęła ciąg niskich hurtowni położonych przy torach kolejowych i wjechała na rondo. Dworzec był tuż obok. Zjechała z ronda, skręciła w boczną ulicę i zaparkowała pod pierwszym z bloków, gdzie miała mieszkać Barbara Mikołajewska.

Znalezienie siostry Zofii nie było proste, ale w końcu jedna z zaczepionych mieszkanek wiedziała, o kogo chodzi. Osiedle nie należało do dużych, a ze słów sąsiadki wynikało, że Barbara mieszkała tam od dobrych kilkadziesiąt lat. Dobrochna z zupełną pustką

w głowie weszła po ciemnej, lekko zatęchłej klatce schodowej na pierwsze piętro, po czym z duszą na ramieniu zadzwoniła do drzwi. Nigdy dotąd w swojej karierze się tak nie czuła, ale też nigdy do tej pory na szali nie leżało życie jej siostrzeńców.

– Kto tam? – usłyszała burknięcie zza drzwi. Wizjer lekko się poruszył. – Kim pani jest?

– Nazywam się Dobrosława Machniewicz, jestem z Trzciny. Przyjeżdżam w sprawie pani siostry, Zofii! – powiedziała głośno.

Za drzwiami zapadła chwila ciszy.

– Nic mnie moja siostra nie obchodzi. Niepotrzebnie się pani fatygowała.

Dobrosława poczuła, że dłonie zaczynają jej drżeć.

– Pani siostra zaginęła. Tak jak i moi siostrzeńcy. To mali chłopcy, ośmioletni. Jej zniknięcie musi mieć z tym coś wspólnego, bo Karolina, jej córka, została zamordowana. Muszę, po prostu muszę znaleźć moich chłopców! – Wyrzuciła z siebie jednym ciągiem, nie bacząc na to, że ktoś postronny może ją usłyszeć. Musiała porozmawiać z Barbarą Mikołajewską. Nawet jeżeli w niczym to nie pomoże, pragnęła wiedzieć, że przynajmniej spróbowała.

Za drzwiami panowała głucha cisza.

– Ja muszę ich znaleźć. Antek i Alek. Oni mają ledwie osiem lat! – Przy ostatnim zdaniu wyraźnie załamał się jej głos.

– To ci, o których trąbią od rana w telewizji? – rozległo się nagle za drzwiami. – Jak pani mówi: Misiewicz? Tam mówili inaczej.

– Inaczej, bo to dzieci mojej siostry. Ona po mężu nazywa się Budziak.

Kolejna chwila ciszy. A wydawało się, że jest tak blisko przekonania kobiety!

– Proszę, naprawdę bardzo proszę! – spróbowała jeszcze raz.

– Dobrze – odezwał się w końcu głos. – Ale nie tutaj. Proszę zejść na dół i poczekać na mnie na ławce przed blokiem. Zaraz przyjdę.

– Oczywiście. – Dobrosławie kamień spadł z serca.

Wróciła na zewnątrz i usiadła na drewnianej ławce. Słońce wciąż grzało mocno, choć była już połowa października. Chodnikiem szła grupka dzieci ze szkoły, na ich widok odruchowo drgnęło jej serce. Wytężyła wzrok, jednak nie było wśród nich chłopców. Skąd w ogóle pomysł, że mogli tam być?

Ciężkie drzwi od klatki schodowej otworzyły się w końcu. Barbara Mikołajewska była niską, szczupłą kobietą z krótko obciętymi włosami. Na nosie miała grube okulary. Wyglądała dużo starzej od Zofii Karaś, choć przecież obie były w okolicach siedemdziesiątki, może przez to, że była od niej o wiele chudsza i bardziej zaszuszone, jednocześnie widać było nikłe podobieństwo w rysach twarzy.

– Co dokładnie chce pani wiedzieć? Nie widziałam siostry od ponad trzydziestu lat i nie sądzę, by się to zmieniło – powiedziała oschle, stając przy ławce. Otuliła się cienkim rozpinanym swetrem, który miała na sobie, choć było naprawdę gorąco.

– Pani Barbaro, ja wiem, że w rodzinach różnie się układa – zaczęła Dobrosława. – Przede wszystkim chcę jednak podziękować, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać – dodała od razu, chcąc na dzień dobry ją ułagodzić.

Kobieta prychnęła coś niewyraźnie pod nosem.

– Czemu w ogóle sądzi pani, że zniknięcie Zofii ma jakikolwiek związek z pani chłopcami? – spytała. – Ta stara pijaczka z pewnością

gdzieś się zamelinowała i chleje do nieprzytomności.

– Być może. Jednak nie mogę tego nie sprawdzić. Tak jak mówiłam: kilka dni temu córka Zofii, Karolina, została zamordowana.

Wcześniej myślała, że może jednak to do niej nie dotarło, ale wyglądało na to, że wiadomość ogólnie nie zrobiła zbytniego wrażenia na Barbarze.

– Tego też można się było spodziewać. Jaka matka, taka córka. Jednej Renatce udało się odciąć od tej całej patologii. A cała reszta – machnęła ręką – szkoda gadać.

– Jeszcze Magda. Najmłodsza Magda też nie pije – zauważyła Dobrosława.

– Magda. Magda! – powiedziała Barbara z dziwnym lekceważeniem. – Niby nie pije, ale kombinuje, jak się da, byleby ugrać jak najwięcej dla siebie. Dzieci teściowej podsyła, niby że dużo pracuje, a sama po kosmetyczkach i koleżankach przesiaduje. Nie tak to powinno wyglądać, oj nie tak – dodała zgryźliwie. – Nie ma większej obrazy dla Boga niż matka nieinteresująca się swoimi dziećmi.

Dobrochna sądziła, że Boga raczej obraziłoby mnóstwo innych rzeczy, jak choćby zabójstwo Karoliny, nawet jeżeli była pijaczką, ale nie przyjechała tutaj, by wyklócać się z Mikołajewską o dogmaty wiary. Musiała jednak przyznać, że kobieta wie bardzo dużo na temat tego, co dzieje się w rodzinie siostry, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że ponoć nie kontaktowała się z nimi od trzydziestu lat.

– Policja podejrzewa, że zabójstwo Karoliny nie jest przypadkowe i wiąże się z zaginięciem i zabójstwem dwóch dziewcząt w Trzciny w latach dziewięćdziesiątych. Tak samo jak zaginięcie Zofii. Mówią, że mogli ją porwać...

– Już nie mieliby co robić, tylko ją porywać! – parsknęła Barbara, przerywając jej. – Może jeszcze sądzi pani, że to ja?

– Nie, oczywiście, że nie. – Pokręciła energicznie głową. – Porwanie to jedna z wersji. Ja wiem, że to może głupio zabrzmieć, ale osobiście uważam, że Zofia mogła się gdzieś ukryć, widząc, co zrobili jej córce... – Dobrosława urwała, próbując gorączkowo znaleźć słowa dla kłębiących się w głowie myśli. Jadąc do Jasła, myślała o tej wersji, która wpadła jej do głowy po wizycie u Magdy, i z każdym kolejnym kilometrem wydawała się jej ona bliższa prawdy, choć wciąż bardzo niewiarygodna.

Barbara Mikołajewska milczała, wpatrując się w detektywkę uważnie. Czy również uważała, że to możliwe?

– Mówi pani, że ma to związek z tymi dwoma dziewczętami od Myśliwców, tak? – upewniła się. – Cóż, jest to w jakiś sposób możliwe. Pamiętam, że Renatka wspominała wielokrotnie o tej przykrej sprawie. Bardzo się tym przejmowała.

Przez chwilę Dobrochnie wydawało się, że źle usłyszała.

– Co pani powiedziała? Że Renata o tym wspominała? – upewniła się.

– No tak, Renatka, średnia córka Zofii. Przyjeżdżała do mnie wielokrotnie, gdy już nie mogła wytrzymać w szkole. Co się dziwić, z taką rodziną! – Cmoknęła z niezadowoleniem. – Tylko z nią jedną utrzymywałam kontakt. Reszty nie chciałam na oczy widzieć.

– Czyli to było bardzo dawno, jak jeszcze chodziła do szkoły, tak?

– No, tak, głównie wtedy. Później też czasem się zdarzało, ale bardzo rzadko. Ostatnio jednak wróciła do tego. To było tego dnia, kiedy pakowała się, by wyjechać do Niemiec. Wtedy właśnie zaczęła mówić o Polkach, które wylądowały w burdelach. I wspominała te biedne

dziewczyny. Renata twierdziła, że jedna z nich pewnie dotąd gnije w jakiejś niemieckiej piwnicy. O ile jeszcze w ogóle żyje – westchnęła ciężko.

Dobrochna z trudem zbierała myśli.

– Do Niemiec? Kiedy? Kiedy Renata tu była?

– Hmm, niech się zastanowię... w sierpniu?

– Renata była tu w sierpniu tego roku?

Kobieta podrapała się z zastanowieniem po brodzie.

– Może w lipcu... Tak, to zdecydowanie był lipiec. To było zaraz gdzieś po dniach Jasła – myślała na głos. – Było gorąco jak diabli, muzyka dudniła, kocie granie...

Renata była tu w lipcu tego roku. A potem wyjechała do Niemiec.

– Później miała z nią pani jeszcze kontakt? Przyjechała z wizytą? Dzwoniła?

Barbara spojrzała na Dobrosławę, przytomniejąc.

– Tak, raz dzwoniła. Miała przyjechać późną jesienią, ale nie odezwała się, więc pewnie coś jej wypadło.

– Może mi pani dać jej numer?

– Czy ja wiem... – Kobieta się zmieszała. – Chyba nie powinnam. Renatka też nie chciała mieć z nikim z nich do czynienia. Z drugiej strony... w końcu to siostra. I matka. Choć możliwe, że jest tak, jak pani mówi, i Zofia rzeczywiście gdzieś się ukryła. Może i była pijaczką, może i była suką i zdzirą, ale jednak umiała o sobie zadbać.

Mikołajewska zdecydowanie nie miała najlepszego zdania o siostrze, mimo że nie widziały się mnóstwo czasu.

– Wie pani może, gdzie mogła się ukryć? Jakieś odosobnione miejsce z dzieciństwa? Gdzie nikt nie może jej znaleźć? Z dawnych wycieczek?

– Przykro mi. Szczerze mówiąc, wiem o niej tyle, co z opowieści Renatki. Ona sama mnie odnalazła i przyjechała do mnie, jak chodziła jeszcze do podstawówki. Z Zofią widziałyśmy się ostatnio... gdy zaczęłam pracować i dostałam to mieszkanie. A proszę mi wierzyć, to było szmat czasu temu. – Uśmiechnęła się.

Dobrochna z trudem zdusiła w sobie westchnienie.

– Rozumiem. Jakby więc mogła mi pani jeszcze dać ten numer do Renaty. Naprawdę obiecuję nie wspominać, od kogo go mam.

Kobieta podrapała się po brodzie, po czym wróciła do mieszkania po skrawek papieru z wypisanym numerem.

Wyjeżdżając z miasta, Dobrosława myślała o staroście Walterze Gentzu i jego pragnieniu zrównania Jasła z ziemią. Zemsta jest okropnym uczuciem. Niszczy i burzy wszystko wokół, lecz rozsadza też od środka i sprawia, że w nas samych zostają tylko gruzy.



Wskazówki zegara powoli przesuwały się po tarczy. Mijały kolejne sekundy, za nimi minuty i godziny. Kolejne informacje, realne, mniej realne, wszystkie wymagające sprawdzenia. Samochód, który niby pojawił się na monitorowanym parkingu w Rzeszowie, sprawdzanie kamer, pudło. Kolejne zgłoszenia, sprawdzanie monitoringów w pobliżu, gdzie widziano wsiadających do samochodu chłopców, w końcu bingo, tablice rejestracyjne szukanego pojazdu złapały się na monitoringu kilka kilometrów dalej. Komunikaty uaktualnione o informację o samochodzie, do którego widziano, jak wsiadali, a raczej – jak stwierdził świadek – jak zostali wciągnięci bliźniacy. Nie zgłosił tego wcześniej, bo początkowo wydawało mu się, że chłopcy zwyczajnie

ociągają się z zajęciem miejsca i ktoś, matka albo ojciec, po prostu mocniej szarpnął ich za ręce. Dopiero gdy zobaczył komunikaty, dotarło do niego, czego właściwie był świadkiem. Gdyby nie utrwalone wzorce przemocowego wychowania dzieci, być może zgłosiłby się na policję wcześniej. Albo i nie. Znieczulica wciąż mocno panoszyła się wśród społeczeństwa, choć całe szczęście, jeżeli chodziło o dzieci, coraz częściej przegrywała z ludzką przyzwoitością.

Teraz jednak najważniejsze było uzyskanie danych osobowych właściciela czarnego audi, na które czekali z Niemiec, oraz ustalenie, gdzie w tej chwili ono przebywa. Child Alert funkcjonował aż w szesnastu krajach Unii, więc nawet jeżeli chłopcy przekroczyliby granicę, tam również wiedziano już o ich porwaniu. Tak na dobrą sprawę zrobili wszystko, co mogli zrobić, i choć instynkt śledczy podpowiadał Czarneckiemu, że poszukiwani bliźniacy znajdują się bliżej, niż wszyscy zakładają, mógł z czystym sumieniem stwierdzić, że wyczerpali wszystkie możliwości. Szczerze mówiąc, komisarz nie sądził, by opuścili powiat jasielski, a nawet samą Trzcinicę.

Tylko jeżeli tak: to gdzie byli? Gdzie komuś udało się schować ich tak skrzątnie, by nie zostawić żadnego śladu?

Od rana ponownie przejrżeli wszystkie dostępne we wsi i w pobliżu drogi na Jasło monitoringi. Bez efektów. Przeczesali miejscowość wzdłuż i wszerz, lecz nikt nigdzie nie zauważył nic podejrzanego. Było dokładnie tak jak dwadzieścia lat temu podczas poszukiwań sióstr Myśliwiec. A mimo to kilka dni później zwłoki jednej z dziewcząt znaleziono w miejscu, które było przeszukiwane. Jakim cudem?

Nie dawało mu tu spokoju.

Wyszedł na zewnątrz, przed znajdującą się w urokliwej kamienicy Komendę Powiatową w Jaśle, i wyciągnął z jednej kieszeni telefon, a z drugiej papierosa. Odpalił tego drugiego i zapatrzył się na gubiące

właśnie żółte liście, rosnące na skrzyżowaniu, drzewa. Dzwonić? Nie dzwonić? Czerwone auto mignęło mu przed oczami i przez chwilę wydawało mu się, że widzi starego czerwonego gruchota detektywki Dobrosławy, wyjeżdżającego właśnie z jednej z bocznych uliczek, ale to musiało być jedynie złudzenie. Co dziewczyna robiłaby w Jaśle w obecnych okolicznościach?

No tak, szukałaby na własną rękę, bez pomocy policji. Była na swoim terenie, w miejscu, które znała dużo lepiej od niego. Poczuł narastającą złość. Do diabła! Dlaczego to zawsze musiało tak wyglądać? Wizja emerytury stała się nagle jeszcze bardziej kusząca.

Czarnecki wybrał z listy numer do Gruszczyńskiego, licząc, że kolega nie spędza dzisiejszego dnia na przygotowywaniu działki do zimy.

– No, cześć, co tam słyhać. – Odebrał, po czym zakaszłał, jakby coś utkwilo mi w gardle.

– Nieciekawie, ale dużo by opowiadać – powiedział Marcin, po czym od razu przeszedł do sedna. – Słuchaj, jakim cudem w dziewięćdziesiątym dziewiątym nie znaleźliście od razu zwłok tej dziewczyny? Przecież prowadziliście poszukiwania w tamtej okolicy, więc jak to było: zaniedbanie, przeoczenie jakiegoś młodziaka? Czy może podzucili ją później?

W telefonie przez dłuższą chwilę słyhać było tylko ciszę.

– Wiesz, wtedy były inne czasy... – zaczął w końcu tamten niechętnie. Nie wypadało mu się rozłączyć bez słowa.

– Przeoczenie czy znalazła się tam później? – powtórzył twardo komisarz. – Słuchaj, nie zależy mi, by wyciągać stare niedopatrzienia na światło dzienne, po prostu muszę wiedzieć. Mówiłem ci, że mam coś

bardzo podobnego. Więcej: teraz już jestem prawie pewien, że obydwie sprawy są ze sobą blisko powiązane. – Zrobił na moment pauzę. – Więc?

Gruszczyński westchnął.

– Raczej przeoczenie, choć jak mogłeś wyczytać z akt, dziewczyna nie zginęła w tym dołku, lecz została do niego wrzucona. Prawdopodobnie śmierć nastąpiła kilka metrów dalej, w stronę skraju lasu. Ale nie jest to pewne. To było uduszenie.

Tak, pamiętał to z protokołu sekcji zwłok. Od razu zwrócił uwagę, że zabójstwo Karoliny Karaś nie było inscenizowane na śmierć Darii. Dlatego początkowo nie brał na poważnie scenariusza, jakoby te dwie sprawy naprawdę były ze sobą ściślej powiązane – oczywiście poza bliskością miejsca.

– Nie zwrócili uwagi na świeże ślady grzebania w ziemi?

– Nie było żadnych śladów grzebania ziemi i to ich częściowo usprawiedliwia. Zwłoki znajdowały się pod stertą śmieci wywiezionych na nielegalne leśne wysypisko. Wiesz, to były lata dziewięćdziesiąte – przypomniał ponownie. – Zresztą i teraz jeszcze w niektórych z tych wiosek wciąż znajdują się tacy, którzy wolą pierdolnąć graty w las, zamiast wywieźć, gdzie trzeba.

Czarnecki zgłupiał. Ludmiła nie wspominała nic o śmieciach.

– Śmieci? Skąd tam, u licha, śmieci? – mruknął bardziej do siebie niż Gruszczyńskiego.

– Z pewnością nie wzięły się tam przypadkiem. Choć oczywiście rozważaliśmy różne opcje.

– A przepytawaliście ludzi, czy nie widzieli kogoś ze śmieciami w tamtej okolicy? – spytał rozpaczliwie, choć domyślał się, jaka będzie odpowiedź. „Oczywiście, że nie, pamiętaj, że to były inne czasy”.

– Nie no, za kogo mnie masz! Jasne, że tak! Tyle że niewiele to dało. Ktoś tam niby widział jednego z wiejskich pijaczków, ale ten się wyparł i było słowo przeciwko słowu. W dodatku gość miał alibi na wieczór zaginięcia sióstr. Imprezował z konkubiną u niej w domu.

– Pamiętasz może, jak się nazywał?

– Po tylu latach? Ale jakoś to tak pasowało do niego. Butelka? Flaszka?

– Bania. Władysław Bania – odpowiedział ponuro Marcin.

– Dokładnie. A co, pojawił ci się gość i teraz? – zaciekał się emerytowany policjant.

– Powiedzmy, że tak trochę pozagrobowo.

– Ale to nie jego ci sprzątnęli, nie? Słyszałem o kobiecie.

– Nie, nie jego – odpowiedział, z trudem hamując westchnienie. Bardzo żałował, że nie może już przesłuchać Władysława Bani. Albo Zofii Karaś. Tę drugą musiałby jednak najpierw znaleźć.



Dobrosława siedziała w samochodzie na parkingu pod szkołą, wpatrując się w ekran telefonu. Zastanawiała się, co właściwie powinna powiedzieć Renacie. Tak prawdę mówiąc, to praktycznie jej nie znała, dziewczyna była starszą siostrą Magdy, kojarzyła ją oczywiście ze szkoły, pewnie z raz czy dwa z nią rozmawiała i tyle. Może gdyby była bliską przyjaciółką najmłodszej Karasiówny, bywałaby częściej u niej w domu, a może i nie, patrząc na to, co się u nich działo. W każdym razie zastanawiała się, czy w ogóle powinna dzwonić, czy nie przekazać numeru Czarneckiemu i liczyć na to, że policja w końcu znajdzie chłopców.

A co, jeżeli nie znajdzie?

Na samą myśl poczuła wszechogarniające ją zimno. Zachciało jej się płakać. Co Antek i Alek byli winni temu, że dwadzieścia lat temu ich matka popełniła błąd? Jakim skurwysynem trzeba być, by porwać niewinne dzieci?

Wpisała w telefon numer zapisany jej na kartce przez Barbarę Mikołajewską i nacisnęła słuchawkę.

Jeden sygnał, drugi...

– Wenzel – odezwał się damski głos.

Dobrochna zaniemówiła, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Renata? To ty?

W słuchawce zapadła cisza.

– Kto mówi? – odezwała się w końcu ostro kobieta po drugiej stronie słuchawki. – I skąd masz numer?

– Dobrosława Machniewicz. Siostra Ludmiły. Dzwonię, bo... twoja siostra została zamordowana, a matka zaginęła – wypaliła, stwierdzając, że to jedyna szansa na to, by znajoma się nie rozłączyła.

Zapadła cisza. Przez chwilę przebiegło jej przez myśl, że jednak przedobrzyła.

– Która siostra?

– Karolina.

Znów cisza.

– Dzieci... dzieci Ludmiły też zaginęły – powiedziała Dobrosława, przerywając w końcu milczenie. – Renata, coś tu cholernie nie gra. To... to sięga głębiej, aż do Darii i Malwiny. Renata, błagam cię, jeżeli wiesz, gdzie mogła schować się twoja matka, albo wiesz cokolwiek, proszę cię, powiedz. Każdy szczegół może być ważny.

Cisza przedłużała się. Dobrochna zerknęła na wyświetlacz, żeby sprawdzić, czy kobieta jednak się nie rozłączyła. Nie. Już miała znów przerwać ciszę, gdy w końcu w słuchawce coś trzasnęło. Renata zakaszłała.

– Przykro mi – powiedziała miękkim głosem. – Mam nadzieję, że dzieci Ludmiły się odnajdą.

A potem rozległ się dźwięk urwanego sygnału.



Andruszkiewicz złapał go jeszcze na korytarzu.

– Szukają cię wszędzie – powiedział, z trudem ukrywając pretensje w głosie. – Niemcy się odezwali. Zidentyfikowali pojazd.

Zaraz po zidentyfikowaniu numerów rejestracyjnych wysłano prośbę do niemieckich kolegów po zachodniej stronie Odry o ustalenie tożsamości właściciela i sprawdzenie, czy samochód nie został skradziony.

Czarnecki przystanął.

– I? – ponaglił.

Andruszkiewicz nabrał powietrza w płuca.

– Właściciel pojazdu to Marcus Gebhardt, mieszkaniec Berlina, lat sześćdziesiąt jeden. W latach dziewięćdziesiątych mieszkał przez pewien czas w Polsce, ze względu na swoje interesy.

Czarnecki pomyślał o eleganckim Niemcu o wyglądzie Bogusława Lindy z opowieści Ludmiły. Szybko przeliczył, że w takim razie, w chwili, gdy spotykał się z Malwiną Myśliwiec, był tuż po czterdziestce. Sam był teraz od niego już o kilka lat starszy. Na samą myśl, że miałby się teraz spotykać z jakąś siedemnastolatką, poczuł się

jak stary, zgrzybiały dziadek. „Stary dziadek” – czy nie tak określiła w którymś momencie chłopaka Malwiny Ludmiła?

– Czyli słowem: mamy go. Teraz tylko go znaleźć.

– No, powiedzmy, że go mamy. Więcej, nawet już go znaleźliśmy – powiedział Andruszkiewicz, tyle że w jego głosie nie było nawet cienia entuzjazmu.

– Jak to powiedzmy? – zirytował się Czarnecki. – Gdzie go znaleźliście? Chłopcy byli z nim?

Młody westchnął.

– Powiedzmy, bo mamy mały problem.

– Jaki znowu problem? Co jest grane? – Komisarz coraz bardziej się niecierpliwił. Nadmierna efektywność starszego aspiranta denerwowała go nie od dzisiaj.

Teraz jednak Andruszkiewicz nie silił się już na wywołanie efektu.

– A taki problem, że według Niemców gość nie żyje od dwóch tygodni.



Dobrochna siedziała bez ruchu, wpatrując się w ciemny wyświetlacz telefonu. Setki myśli kłębiły się jej w głowie. Kolejne racjonalne i nieracjonalne wyjaśnienia przelatywały przez głowę. O co w tym wszystkim chodziło? Dlaczego Karolina? Dlaczego jej matka zniknęła? Ktoś rzeczywiście ją porwał czy jednak się ukryła? A może nie było to w ogóle ze sobą powiązane? Dlaczego akurat dzieci Ludmiły? Kto i za co chciał ją ukarać? Z jej relacji wynikało, że nikt jej nie widział tej nocy na wałach poza Darią, która zginęła w chwilę później.

Chyba że ktoś ją jednak śledził. Na przykład Renata.

Przypomniały jej się słowa Magdy, że jej siostra również wychodziła tej nocy z domu, i przejął ją zimny dreszcz. Tylko – dlaczego miałyby to robić? Dlaczego właśnie Karolina i Ludmiła? Jaki miałyby cel? Zemstę? Po dwudziestu latach?

„Nie, niemożliwe”, pomyślała. Zresztą, nawet jeżeli, nic takiego jej nie powiedziała.

I właściwie: za co miałyby się mścić? Że nie zareagowały, gdy zginęła jej przyjaciółka?

Postanowiła na wszelki wypadek poinformować Czarneckiego, że jedna z sióstr Karaś była w Polsce w lecie i że zamierzała przyjechać również na jesień.



– Jak to nie żyje? – Czarnecki się zdenerwował.

– Normalnie, wziął umarł, więc nie żyje. – Andruszkiewicz wzruszył flegmatycznie ramionami i odchrząknął. – Podobno zgon naturalny. Problemy sercowe.

Czarnecki pomyślał, że jeszcze trochę i on też będzie miał problemy sercowe.

– Dobrze, czyli gość nie żyje, w porządku. To kto w takim razie jeździ jego autem? Mogą to jakoś sprawdzić? Żona, dzieci, sąsiad, może zdążył sprzedać albo mu ukradli? Skoro samochód pojawił się w Polsce, ktoś musiał nim przecież przyjechać!

– Problem właśnie w tym, że nie wiadomo. Gość nie miał żadnej rodziny, ani bliższej, ani dalszej. Pewnie nawet jeszcze nie otwarto testamentu, jeżeli w ogóle wiadomo, kto po nim dziedziczy.

– Słowem: kierowca widmo – mruknął Czarnecki.

– Coś w tym stylu. Pociesz się, że kierowca widmo to zawsze trochę lepiej niż jeździec bez głowy.

Marcin prawie sparaliżował go wzrokiem.

– Nie można tego jakoś ustalić?

– Sprawdziliśmy już w naszej bazie. Niestety kierowca musi jeździć bardzo ostrożnie lub mieć farta, bo nie dostał żadnego mandatu na terenie Polski. Więc nie bardzo mamy się czego ucześcić. Nieciekawie.

– Bardzo nieciekawie – sapnął ciężko komisarz i umilkł. Jak mieli go w takim w razie znaleźć? Po monitoringach? To jak szukanie igły w stogu siana. I tak już zlecił sprawdzenie wszystkich stacji paliw w pobliżu, kilkudziesięciu policjantów siedziało teraz, przeglądając monitoringi z ostatnich kilku dni. Na żaden przełom jednak nie liczył. Musiał myśleć inaczej, nieszablonowo.

Dlaczego ktoś zasztytował Karolinę Karaś?

Dlaczego jej matka zniknęła?

Dlaczego ktoś porwał chłopców?

Mianownik był tylko jeden. A właściwie to dwa: Daria i Malwina Myśliwiec.

Był jeszcze ten pijak, Bania, konkubent Zofii, i osoba, widziana tuż po zaginięciu sióstr w okolicach wałów, jak wywoził śmieci do lasu. Które być może przykryły tymczasowy grób...

„Zofia zniknęła”, kołatało mu w głowie. „Zniknęła... Czy możliwe było...?”

Pijaczka, który niby nie mogła się ruszać. Całkowicie uzależniona od córki, która decydowała o tym, czy matka się dziś napije, czy nie. Czy kupi wódkę, czy wypije ją sama. Zdecydowanie, Czarnecki od ręki mógł

podać przynajmniej kilka powodów, dla których mogła zdecydować się pozbyć córki.

Ale dlaczego miałyby porywać dwóch ośmioletnich chłopców?

I jaki mogłaby mieć związek z Marcusem Gebhardtem i jego audi na niemieckich blachach?



Dobrosława weszła do domu rodziców i zamknęła starannie drzwi. Cisza panująca w domu była nienaturalna. Nie słychać było kroków, nie słychać było śmiechów. Dziecięce przekrzykiwania nie dochodziły z kuchni, choć w zwykły dzień chłopcy siedzieliby właśnie przy stole, zajadając się zupą pomidorową i sprawdzając, czyja nitka makaronu jest dłuższa. Tak jednak nie było. Cisza sączyła się z każdego kąta, zdając się zawłaszczać każdy centymetr domu.

Oderwała się od drzwi i powoli ruszyła w stronę kuchni.

Zatrzymała się nagle. Błoto, które zaschło od wczoraj na jej podszwach, zaczęło kruszyć się po płytkach drobnym piaskiem. Zawróciła i ściągnęła adidas, choć przecież nikt dzisiaj nie zwróciłby jej na to uwagi.

– Dobrochna, to ty? – odezwała się mama.

– Tak. To ja – powiedziała głośno, mocując się ze sznurówką buta.

W końcu otrzepała ziemię z rąk i poszła do kuchni. Mama z tatą siedzieli przy stole, bez słowa. Ojciec opierał łokcie o blat, dłonie trzymając złożone na twarzy. Nawet nie drgnął, gdy weszła do środka. Mama wstała i podeszła do kuchenki.

– Siadaj, naleję ci zupy – powiedziała cicho. – Pewnie nic nie jadłaś.

„Tak samo pewnie jak ty”, pomyślała, choć jednak posłusznie usiadła. Zupełnie nie czuła głodu, co nie znaczyło, że nie potrzebowała

jeść. Długo tak żadne z nich nie pociągnie.

Mama podsunęła jej pełen talerz. Pomidorowa. Nie pomyliła się. Przed oczami od razu stanęła jej nastoletnia Ludmiła, grzebiąca niechętnie łyżką w talerzu, i gardło momentalnie się zacisnęło.

– Przepraszam. Muszę zadzwonić – powiedziała cicho i niezdarnie podniosła się z krzesła. Mama nie skomentowała tego ani słowem, ojciec chyba nawet nie zauważył.

Ostrożnie stawiając kroki, wyszła z kuchni, tak jakby każdy głośniejszy dźwięk mógł zakłócić panującą w domu ciszę. Tak jakby każdy hałas miał być oznaką kolejnego nadciągającego nieszczęścia.



Telefon zadzwonił dokładnie w momencie, gdy Czarnecki znów miał wyjść na zewnątrz na papierosa. Wciąż tkwili w martwym punkcie, Marta się nie odzywała, jakby nadal nie miała informacji od sprzedawcy lalki, Niemcy nie ustalili nic więcej, bliźniaków nigdzie nie było... Więcej niż martwy punkt. Czarna dupa.

Szybko wyszarpnął smartfona z kieszeni spodni, licząc, że może przynajmniej policjantka przyniesie nowe wieści, zerknął na wyświetlacz i zdębiał.

Detektywka Dobrosława. Jeszcze tylko jej brakowało mu do szczęścia.

– Halo?

– Dzień dobry, komisarzu, dzwonię, bo... – Zawiesiła na moment głos, jakby zastanawiając się, jak ubrać myśli w słowa.

– Chłopcy wrócili? – wyrwało mu się. To byłoby tak piękne: przynajmniej najgorszy strup spadłby im z głowy. Zostałby pomniejszy:

zabójstwo i zaginięcie matki ofiary, które jednak medialnie nie umywały się do zaginięcia ośmioletnich bliźniaków.

– Niestety nie – westchnęła ciężko.

Przez moment zrobiło mu się jej żal i pożałował swoich pochopnych słów. W ogóle zaczął żałować tego, jak potraktował ją ostatnio. Zdenerwowała go, fakt, w dodatku czuł, że robi się dla niego niebezpieczna. Z drugiej strony miał do niej słabość i był w stanie dużo wybaczyć.

Choć oczywiście nie wpakowanie go na starość do pierdła i kompletne zniszczenie opinii.

– Przepraszam, myślałem...

– Zofia Karaś miała siostrę, z którą nie utrzymywała kontaktu – teraz ona weszła mu w pół zdania. – Mieszka w Jasle, w dodatku regularnie odwiedza ją Renata Karaś, siostra Karoliny, która przebywa teraz w Niemczech. Nawet miała przyjechać teraz, jesienią, tyle że coś jej podobno wypadło.

Czarnecki z trudem starał się poskładać natłok informacji do kupy.

Zofia Karaś, siostra, Jasło, Renata Karaś, Niemcy.

– Może podjadę do pani, to porozmawiamy? Jest pani u siostry?

– Nie, u mamy.

– W porządku. W takim razie będę za pół godziny – powiedział i się rozłączył.

Może to i było głupie, ale naprawdę ucieszył się, że zobaczy panią detektyw. Nawet w takich okolicznościach.



Dobrosława krążyła niecierpliwie po pokoju, czekając na Czarneckiego. Zupa z pewnością już całkiem wystygła, nie mogło być inaczej. Jak w takich okolicznościach można cokolwiek przełknąć? Jak skupić się na tak prozaicznych czynnościach? Nie wiedziała.

Gdy usłyszała podjeżdżający pod dom samochód, od razu wyszła na korytarz. Nie minęła chwila, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Kto przyjechał? – Mama wyszła z kuchni.

– Dzień dobry – przywitał się Czarnecki, stając w progu.

Marianna podeszła do niego, wyraźnie oczekując dobrych nowin.

– Znaleźliście ich? Znaleźliście chłopców?

– Przykro mi. – Pokręcił głową. – Robimy, co w naszej mocy.

Z mamy w jednej chwili uszła nadzieja.

– Byłam dziś w Jaśle, u siostry Zofii Karaś – wyjaśniła Dobrochna. – Pan komisarz przyjechał o tym porozmawiać.

– U Barbary? – zdziwiła się Marianna. – To ona w ogóle żyje?

Dobrosława przytaknęła.

– W takim razie proszę. – Mama wskazała drzwi do kuchni. – Niech pan wejdzie.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zaproponować i nie zaprowadzić Czarneckiego do swojego pokoju. W sumie jednak nie było takiej potrzeby. Nie miała nic do ukrycia.



Czarnecki wpatrywał się w nią z taką intensywnością, że przez chwilę sądziła, że właśnie coś przykleiło jej się do czoła. Odruchowo przetarła je, choć doskonale wiedziała, że to nie to: komisarz tak zachłannie wyczekiwał na jakiejkolwiek wiadomości mogące przynieść przełom.

Pomyślała, że w takim razie musi być bardzo, bardzo źle.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Proszę jeszcze raz powtórzyć to, co mówiła pani przez telefon – powiedział w końcu. – Była pani u siostry Zofii Karaś w Jaśle?

Kiwnęła głową.

– Zgadza się, byłam u siostry Zofii Karaś w Jaśle i powiedziała mi, że Renata, siostra Karoliny, zawsze ją odwiedza, gdy przyjeżdża z Niemiec, i miała to zrobić też teraz jesienią, tyle że coś jej wypadło.

– A kiedy była ostatnio w Polsce?

– W lipcu. Tak twierdzi Barbara.

Komisarz znów umilkł i zawiesił na niej uporczywy wzrok. Zaraz przypomniały jej się te wszystkie filmy, w których śledczy samym spojrzeniem potrafi wyłudzić przyznanie się oskarżonego do winy, i mimo beznadziejności sytuacji zachciało jej się przez chwilę śmiać. Śmiech, który przeszedłby w bolesny skowyt. Śmiech nad nieudolnością policyjnych poszukiwań, nad świadomością, że wszystko jest tak popierdolone, a oni nic kompletnie nie mogą zrobić i że wciąż nie odkryli, gdzie znajdują się chłopcy. Że teraz piją herbatę i rozmawiają, a oni może gdzieś tam cierpią, może siedzą w jakiejś wilgotnej norze, a może w ogóle już nie żyją.

– Skąd pani w ogóle wiedziała, że Zofia Karaś miała siostrę i że mieszka ona w Jaśle?

– Sąsiadka Magdy mi powiedziała.

– Nie znaleźliśmy w ewidencji żadnej siostry Zofii Karaś. Jest pani pewna, że ta niby ciotka nie jest oszustką?

– Niby dlaczego miałyby być?

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto żeruje na rodzinnej tragedii, choćby po to, by znaleźć się w centrum zainteresowania...

Nie pomyślała o tym, a przecież miał rację.

– Nie, panie komisarzu, Zofia rzeczywiście miała siostrę i rzeczywiście mieszka ona w Jaśle – wtrąciła się do rozmowy Marianna. – To znaczy... możecie nie mieć jej w żadnej ewidencji, bo tak naprawdę to ona nie była siostrą Zofii, tylko jej daleką kuzynką. Jej rodzice zginęli podczas wojny, więc starzy Próchnikowie przygarnęli ją do siebie. Ale gdy miała osiemnaście lat, zaraz wyprowadziła się z domu. Nigdy z Zofią za sobą nie przepadały, Zośka zawsze uważała, że rodzice we wszystkim Basi ustępują, bo jest przysposobiona, a Baśka chce jej wszystko odebrać. Więc gdy doszło do kłótni o chłopaka, poszło już na noże i Baśka uniosła się honorem, i kiedy tylko zdała maturę, wyprowadziła się z domu i całkiem odcięła od przyszywanej rodziny.

Czarnecki tym razem utkwiał swój przesywający wzrok w matce.

– To dlaczego nikt mi wcześniej o tym nie powiedział? – spytał, wyraźnie zirytowany.

Marianna uśmiechnęła się smutno.

– Pewnie dlatego, że to było tak dawno, że prawie nikt już o tym nie pamięta. To cud, że Dobrusia spotkała przypadkiem akurat taką osobę, która o tym wiedziała. Chociaż pewnie i ludzie przypomnieli sobie o tym przy okazji ostatnich tragedii i wspominali o tym w domach. Bo wcześniej to pewnie nikomu się to głowy nie trzymało, oprócz samych zainteresowanych Zośki, Baśki i Władka. Zresztą Władek też już dobrych kilka lat nie żyje.

Dobrosława przyglądała się, jak w jednej chwili komisarz zmienia się na twarzy, jakby matka zamiast herbaty postawiła mu przed nosem żywą jaszczurkę.

– Władka... – zaczął. – Jakiego Władka? Władka Bani?

Pani Machniewiczowa zerknęła na niego z żywym zainteresowaniem.

– No, tak, Władka Bani. A to już ktoś panu wcześniej jednak o tym wspominał?

Twarz komisarza zaczęła przybierać niepokojący czerwony kolor.

– Nie, nikt – powiedział po chwili. – Po prostu... po prostu przy okazji śledztwa słyszałem już o panu Bani. Podobno był bliskim znajomym Zofii Karaś.

– Nie da się ukryć, że bliskim. – Marianna znów się uśmiechnęła.

Czarnecki również uśmiechnął się uprzejmie. Jedno jedyne przelotne spojrzenie jego chłodnych oczu utwierdziło Dobrosławę w przekonaniu, że komisarz nie mówi im całej prawdy.



Władysław Bania pojawiał się ostatnio zdecydowanie zbyt często. Był widziany na miejscu zbrodni w dzień po jej dokonaniu w 1999 roku, był konkubentem Zofii Karaś i to o niego pokłóciła się z siostrą, która wcale siostrą nie była, a jednocześnie jako jedyna utrzymywała kontakt z Renatą. Z Renatą z Niemiec. Co prawda nie nazywała się Gebhardt, ale trochę za dużo było tych zbiegów okoliczności. Gdyby nie to, że gość nie żył, byłby pewnie jednym z głównych podejrzanych.

Czarnecki westchnął. Wydawało mu się ostatnio, że śledczy węch bardzo mu się stępił. Chyba był już za stary. Emerytura, kusząca emerytura. Teraz nie mógł odejść, postanowił jednak ostatecznie, że gdy tylko zamknie tę sprawę, złoży papiery. To był najwyższy czas.

Pochylił się nad telefonem i wybrał numer, który dostał od Dobrosławy. W słuchawce rozległ się urywany sygnał.

Nie odbiera.

Spróbował jeszcze raz.

Już miał po raz kolejny przerwać połączenie, gdy w końcu ktoś odebrał.

– Halo? – odezwał się niechętnie damski głos.

Nabrał powietrza.

– Pani Renata Wenzel? Z tej strony komisarz Marcin Czarnecki z Komendy Wojewódzkiej Policji w Rzeszowie. Musimy porozmawiać.

Przez chwilę w słuchawce słychać było ciszę.

– Skoro pan mówi, że musimy – odezwała się w końcu kobieta. – W takim razie porozmawiajmy.



Jasny refleks światła na chwilę wpadł przez wąską szparę. Był jak promyczek nadziei, nikły, ale był. Zaraz jednak huknęły ciężkie drzwi, z powrotem pogrążając pomieszczenie w mroku.

Powolne szuranie butów o posadzkę przerwało głuchą ciszę.

– Już jestem.

Podeszła do mięsistych kotar zawieszonych w każdym oknie i delikatnie uchyliła brzeg jednej z nich. Przez moment wpatrywała się w widok za oknem.

Nie próbował nic mówić. Wiedział, że to bez sensu.

– Było blisko. Nawet bardzo blisko – odezwała się sama, nieproszona.

Wpatrywał się w nią intensywnie, czekając na ciąg dalszy. Przecież jakiś ciąg dalszy musiał w końcu nastąpić.

Uśmiechnęła się szeroko i podeszła do niego, delikatnie odgarniając włosy znad ucha. Miał ochotę się wzdrygnąć, jednak wiedział, że to tylko niepotrzebnie ją rozwścieczy. Po co rozwścieczać kogoś, od kogo jest się całkowicie zależnym?

– Było blisko, ale już wszystko załatwiłam. – Uśmiechnęła się przebiegle i nachyliła nad nim. – Bez obaw. – Słodki szept sączył się niczym ulubiona piosenka z dawnych lat. – Już nikt nas nie znajdzie. Nikt, nigdy.



Nikt nigdy go nie odnajdzie. Nikt nigdy się nie dowie, co naprawdę stało się listopadowego wieczoru 2016 roku. Czy mógł być tego całkowicie pewny?

Nie mógł. Nie takie sprawy rozwiązywali koledzy z, jak to się popularnie mówiło, Archiwum X. Ta pewnie byłaby dla nich bułką z masłem. Oczywiście, o ile by się nią zajęli, bo w końcu chodziło o coś tak prozaicznego jak wypadek drogowy.

Co roku w Polsce dochodziło do ponad trzydziestu tysięcy wypadków drogowych, w których ginęło ponad trzy tysiące osób. Tylko na Podkarpaciu mieli ich w zeszłym roku ponad tysiąc, a zabitych ponad sto. Co prawda w większości przypadków bez problemu można było ustalić sprawców, choć czasem trzeba było wielu ustaleń i przesłuchań świadków, ale jak widać... nie zawsze. Czasem komuś uchodziło to na sucho. Czasem był to przypadek, czasem – dlatego że miał tak dobrych pomocników jak on.

Wydawałoby się, że mógł spać spokojnie. Tyle że w jego przypadku dochodziły jeszcze czynniki trzecie.

Paweł zadbał o wszystko. Już następnego dnia Marcin odebrał swój samochód spod jego domu na Drabiniance. Wóz lśnił niemal nowością,

o ile można tak było powiedzieć w przypadku prawie dwudziestoletniego volkswagena. Mimo to i tak go zezłomował kilka miesięcy później, wszystkim mówiąc, że coś siadło w silniku i już nie opłaca się go naprawiać. Jeden strup z głowy. Samochód na złomie rozkręcą na części i opchną za grosze, więc narzędzie zbrodni zniknie. Pozostawali tylko świadkowie.

Czy mógł liczyć, że Paweł nigdy nie powie, o co go prosił? Pewnie tak, przyjaźnili się przecież od dawna. Tyle że wiadomo, jak to czasem bywa z przyjaźnią. Tym bardziej że Paweł był biznesmenem i umiał dobrze ocenić, co bardziej mu się opłaca. A co, jeżeli kiedyś uzna, że policyjna przysługa będzie więcej warta niż przyjaźń?

I co z jego pomagierami? Nie sądził, by byli to ludzie z łapanki, w dodatku starał się za bardzo nie pokazywać im na oczy z wiadomych względów... Ale znali numer rejestracyjny jego samochodu, więc, łatwo mogli dowiedzieć się o jego przyjaźni z rzeszowskim biznesmenem i domyślić, komu tak naprawdę pomogli tej nocy.

Zbyt dużo krytycznych elementów – ocenił zawodowo. To nie miało prawa się udać. Tylko czy teraz miał już jakieś inne wyjście?

ROZDZIAŁ 5

Poranna mgła unosiła się jeszcze pomiędzy pogrążonymi w mroku wzgórzami, gdy Dobrosława piła pierwszą tego dnia kawę. Nie spała tej nocy dobrze, zresztą jak każdej ostatnio. Długo nie mogła wczoraj zasnąć, a gdy już zasnęła, zaczęły męczyć ją koszmary. Dopiero nad samym ranem złapała trochę mocniejszego snu i spała do czasu, aż zadzwonił budzik o szóstej. Obiecała Piotrkowi, że przyjedzie do Ludmiły z samego rana. Szwagier skoro świt miał znowu dołączyć do jednej z grup poszukiwawczych, przeczesujących wieś. Nie była pewna, czy w tej chwili coś jeszcze działają, po tylu godzinach chłopcy mogli być daleko, na drugim końcu Polski lub nawet za granicą. Doskonale jednak rozumiała, że każde działanie jest lepsze od beznadziejnego siedzenia i czekania. Doskonale też wiedziała, że ze względu na stan psychiczny Ludmiły lepiej, żeby ta jednak została w domu. Tabletki przepisane przez lekarza były właściwie jedynym, co jako tako trzymało ją w pionie.

Odstawiła kubek na parapet i zapatrzyła się w okno, na rozgwieżdżone niebo prześwitujące w górze pomiędzy mleczną zasłoną. Jakby na przekór wszystkiemu zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Wciąż nie wiedziała, jak wszystko poskładać w jedną całość. Pojedyncze elementy wciąż nie dawały pełnego obrazu sytuacji,

rozpadając się przy każdej próbie sklejenia. Tragiczne zaginięcie sióstr Myśliwiec sprzed dwudziestu lat, śmierć Karoliny, zaginięcie Zofii, zaginięcie chłopców. Czy było jej o tyle trudniej, że chodziło o bliskie jej osoby? Czy emocje zacierały granice prawdy, zaciemniając prawidłowy obraz? Nie była pewna.

Do tego wszystkiego jeszcze dawny konflikt między Barbarą Mikołajewską a jej przyszywaną siostrą. Czy w jakiś sposób wiązało się to z całością, czy było tylko pobocznym elementem?

Przypomniała sobie wizytę w Jaśle, podejrzliwość Barbary. Czy kobieta coś wiedziała? Czy mówiła mniej, niż mogłaby powiedzieć?

Barbara utrzymywała kontakt z Renatą, Renata miała na pieńku zarówno z Ludmiłą, jak i Darią... Nie, to niedorzeczne, nie po tylu latach! Pomyślała, czy ona sama byłaby w stanie pielęgnować tak długo urazę, by posunąć się do tak okropnych rzeczy. W pierwszej chwili uznała, że nie, nie ma takiej opcji, ale czy jednak na pewno? Wystarczyłoby, żeby historia inaczej się potoczyła. Żeby zamiast Wojtka zginął Karol i...

Z trudem przełknęła ślinę. Nie była pewna, do czego byłaby wówczas zdolna.

Barbara, Renata, Niemcy.

W jednej chwili dotarło do niej, że siostra Zofii nie wpuściła jej do domu. Czy bała się złodziei? Naciągaczy? Miała bałagan i było jej wstyd? A może powód był całkowicie inny?

Wstała gwałtownie i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Nie była jednak pewna, czy aby na pewno Czarnecki wie lepiej. Dopiła resztkę zimnej kawy i stwierdziła, że czas pojechać do siostry.



Czarna kawa zakołysała się w kubku, prawie dotykając górnego brzegu. Jeszcze chwila i cienki strumień wyostałby się i chlupnął na posadzkę. Marcin zastygł w bezruchu, starając się zatrzymać to, co wydawało się nieuniknione. Żał było każdej kropli, nawet jeżeli była to cienka lura. Nie chciał narzekać, zgrywać się na burżuja, dla którego w mieście wojewódzkim wszystko było lepsze, ale kawę mieli tu naprawdę paskudną. Mimo to miał nadzieję, że postawi go na nogi, bo praktycznie nie spał przez całą noc. Dopiero nad ranem wrócił do hotelu położyć się, by zaraz po siódmej rano znów zjawić się na komendzie. Z samego wieczora dostali parę zgłoszeń z Rzeszowa, gdzie niby ktoś widział bliźniaków, musieli więc to zweryfikować. Wciąż czekał na przełom. Niestety znów się go nie doczekał.

Powoli nacisnął klamkę, uważając, by kawa znów nie próbowała mu uciec. Ostrożnie pchnął drzwi i wszedł do środka, po czym równie delikatnie je zamknął.

– Jesteś w końcu. Mamy naszą audycję, nagrała się na stacji benzynowej za miastem – usłyszał podekscytowany głos Andruszkiewicza. Młody siedział przy komputerze, a nawet gdyby Czarnecki nie dosłyszał jego słów, jego mina wskazywała na jedno: w końcu.

Jeden zbyt gwałtowny ruch i gorący napój jednak go przechytrzył i spadł kilkoma grubszymi kroplami na wypastowane buty. Komisarz nawet nie zwrócił jednak teraz na to uwagi.

– Gdzie?!

– Jasło, co ciekawe, jedna z głównych stacji. Wyglądało na to, że chciała zatankować, ale w ostatniej chwili jakby się wystraszyła i odjechała. I słusznie, bo pracownicy od razu zwrócili uwagę na auto, ale przez to nie zdążyli zareagować.

– Kobieta? Rysopis, o której to było godzinie?!

– Dosłownie przed momentem, bo zaraz rano, przed szóstą. Nagrała się na kamerze. – Kiwnął głową w stronę monitora.

Czarnecki ruszył w jego stronę, zapominając całkowicie o kawie, która z impetem chlupnęła nie tylko na podłogę, ale i na jego dzinsy.

– Gdzie?!

Młody bez słowa kliknął przycisk „play”. Marcin zobaczył fragment dystrybutorów, kilka samochodów i w końcu w kadrze pojawiło się czarne audi. Numer rejestracyjny nie pozostawiał wątpliwości. Za kierownicą rzeczywiście siedziała kobieta, w wieku średnim, jednak ciężkim do określenia. Czarne okulary zasłaniały znaczną część twarzy, bujne loki dodatkowo utrudniały identyfikację. Poczłł rozczarowanie. Zresztą, czego się spodziewał? Że zobaczy znajomą twarz i że od razu będzie wiedział kto to?

– Wrzuciliście ją do systemu, by porównać z bazą? – spytał, z trudem maskując poczucie klęski.

– Zero wyników. Szukamy dalej.

Kiwnął głową.

– To szukajcie, ja jadę do Trzciny. Potrzebuję jednej dobrze wykadrowanej odbitki.

– Identyfikacja? – spytał domyślnie Andruszkiewicz.

– Koniecznie. W końcu jeżeli jakaś suka porywa ci dzieci, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że powinnaś ją znać, czyż nie?



Ludmiła jakoś się trzymała, choć ciężko powiedzieć, żeby to napawało szczególnym optymizmem. Przez chwilę Dobrochnie przeszło nawet przez myśl, czy nie lepiej jednak byłoby, aby siostra pojechała razem z mężem. Może aktywne włączenie się w poszukiwania pozwoliłoby jej

poczuć, że coś robi, że ma na coś wpływ, a nie tylko czeka? A może jeszcze bardziej przytłoczyłoby ją to, że nie widzi żadnych efektów?

Siostra siedziała apatycznie, wpatrując się w ścianę, jakby zupełnie odcięta od rzeczywistości. W tle grał telewizor, jakiś poranny program rozrywkowy. Dobrosława usilnie pilnowała, by nie włączać żadnego kanału informacyjnego. Wszystkie informacje sprawdzała w telefonie. Bezskutecznie. Wciąż nie było żadnych wiadomości.

Uznała, że może powinna zadzwonić do Czarneckiego, zaraz jednak odrzuciła tę myśl. Przecież i tak jej nic nie powie, zresztą była zaledwie ósma. Nie sądziła, by noc przyniosła jakiś przełom.

– Zrobię ci jeszcze herbaty – mruknęła, Ludmiła jednak nawet się poruszyła. Mimo to Dobrosława i tak poszła do kuchni. Musiała czymś zająć ręce.

Myślała właśnie kubek, gdy dzwonek do drzwi wejściowych rozdarł powietrze. W jednej chwili odstawiała wszystko i ruszyła do przedpokoju.

– Kto to? Kto przyszedł? – usłyszała niecierpliwy głos Ludmiły.

Otworzyła drzwi i zobaczyła komisarza Czarneckiego.

Z kuchni dobiegł pisk gotującej się wody.

– Macie coś? Znaleźliście chłopców? – Rozgorączkowana Ludmiła rzuciła się na policjanta.

Czarnecki powoli kiwnął głową.

– Ja właściwie do pani – powiedział, przenosząc poważny wzrok na starszą z sióstr.

Po jego minie Dobrosława widziała, że jednak wieści wcale nie są dobre.



Nie powinnam tego robić. Nie powinnam była jechać na tę stację. Wiedziałam przecież, że wiadomość o porwaniu bliźniaków obiegnęła wszystkie media lotem błyskawicy. Nie sądziłam jednak, że tak szybko do mnie dojdą. Ktoś jednak musiał mnie widzieć, ktoś zapamiętał albo nagrałam się na jakimś monitoringu. Te wszędobylskie kamery były już gdziekolwiek się ruszyć.

Z goryczą pomyślałam, że współczesny świat jest okropnym inwigilowanym miejscem. Nie tak jak dawniej, gdy wyjeżdżając za granicę, można było całkowicie zniknąć.

Wszystko przez to, że potrzebowałam paru rzeczy do realizacji swojego ostatecznego planu. Na wszelki wypadek podjechałam na stację, która nigdy wcześniej nie była jakoś specjalnie oblegana, i to bardzo wczesnym rankiem.

Stałam w kolejce, słuchając wiadomości w radiu i wyglądając niecierpliwie przez szybę. Właśnie zaczęli podawać informację o porwaniu. Mówili o chłopcach, ich zniknięciu, podali rysopis. Minęło trochę, nim dotarło do mnie, że spiker wyraźnie wyrecytował również numery rejestracyjne mojego samochodu.

W jednej chwili skamieniałam, serce zaczęło mi bić szybciej niż rytm dyskotekowego przeboju, który zakończył informacje radiowe. Poczułam się jak wtedy, te dwadzieścia lat temu. Kompletnie zaskoczona, oszołomiona. Kolorowe plamy zaczęły skakać mi przed oczami. Nie, to nie może być prawda, nie, jak to możliwe?

Niewiele myśląc, wrzuciłam bieg i ominęłam kolejkę, wyjeżdżając na główną drogę. Spanikowałam. Tak jak wtedy. Tylko że wtedy nie zrobiłam nic.

Po kilkuset metrach zorientowałam się, że licznik przekroczył dopuszczalną prędkość o wiele, wiele kilometrów na godzinę. Zwolniłam. Tylko tego mi brakowało, żeby jeszcze zatrzymał mnie patrol policji.

I bez tego doskonale wiedziałam, że muszę przyspieszyć swój plan, jeżeli chcę doprowadzić go do końca.

– Renata? – Głos Ludmiły był pełen wahania. Wpatrywała się w przyniesioną przez Czarneckiego fotografię z taką intensywnością, że prawie przestała mrugać. – Nie wiem, naprawdę. Tyle lat minęło... Może to i ona?

– Proszę spokojnie się zastanowić. Czy to może być ona? – spytał łagodnie Czarnecki. – Układ twarzy, włosy...

Ludmiła zamrugła kilkakrotnie.

– Tak, włosy – szepnęła. – Zawsze zazdrościłam jej tych włosów. Długie, kręcone. Nikt w jej rodzinie takich nie miał, tylko ona. Ale zawsze wydawało mi się, że były ciemniejsze. Takie bardziej wpadające w rudy, a tu jest blondynka.

– Mogła się przefarbować – zwróciła trzeźwo uwagę Dobrosława, zerkając na zdjęcie. Nie pamiętała za dobrze Renaty, ale włosy naprawdę zawsze miała imponujące. – Najlepiej by było, jakby pokazał pan to zdjęcie Magdzie, jej siostrze. Podobno jakiś czas temu odzywała się do niej, przysłała nawet jakieś fotki na Facebooku. Moglibyście porównać.

Czarnecki kiwnął głową, zabierając zdjęcie od Ludmiły.

– Tak zrobimy, proszę się nie martwić.

Nie wiedziała, dlaczego jego ton przyprawił ją o ciarki.

Odprowadziła go do drzwi, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć mu o dziwnym zachowaniu Barbary. Czy teraz, gdy mogli już przypuszczać, że chłopców porwała Renata, mogło to mieć jakieś znaczenie?

No, chyba nie odważyłaby się przetrzymywać bliźniaków w mieszkaniu ciotki, prawie w samym centrum miasta?

– Znajdziecie ją? – spytała cicho w korytarzu.

– Oczywiście, kto jak kto, ale pani nie powinna powątpiewać w skuteczność naszych służb śledczych.

Przełknęła całą ironię zawartą w tych słowach. Oczywiście Renatę w końcu znajdą. Pytanie, co wówczas będzie z chłopcami.

– Ta ciotka... – zaczęła z wahaniem. – Mieszkająca w Jaśle. Jak u niej byłam... nie zaprosiła mnie do środka. Nawet nie uchyliła drzwi, nie wyszła też po prostu na korytarz. Kazała mi poczekać przed blokiem.

Czarnecki się zatrzymał. Zmrużył oczy.

– Wydało się to pani nienaturalne? Może bała się obcych? Tyle się słyszy o domokrażcach, o próbach wyłudzeń. Nie ma się co dziwić, że starsze osoby zrobiły się bardziej ostrożne.

Zdusiła westchnienie.

– Też o tym pomyślałam. Im więcej jednak o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że było w tym coś więcej. Nie wiem, może po prostu za bardzo się boję. Może... – Urwała.

Komisarz nie skomentował złośliwie jej lęków. Nie zbył, nie wykpił instynktu śledczego, nie rzucił żadnej uwagi o „śledztwach” prowadzonych przez prywatnych detektywów. Po prostu kiwnął głową i powiedział:

– Sprawdzimy to.



Dobrosława zamknęła drzwi za komisarzem Czarneckim. Mimo wszystko ta wizyta nie napełniła jej optymizmem. Zdawało się, że wciąż tkwią w miejscu, biernie oczekując na rozwój wypadków.

Może to jednak tak tylko wyglądało z boku, może gdyby sama brała udział w akcji, patrzyłaby na to nieco inaczej. Chciała się łudzić. Tylko to jej w tej sytuacji zostało.

Weszła z powrotem do pokoju, Ludmiła wciąż siedziała w bezruchu, wpatrując się w jeden punkt. Dobrochna przez sekundę zawahała się w progu. Wiele by dała, by razem z innymi szukać, nawet jeżeli było to działanie z góry skazane na porażkę. Wszystko, byleby coś robić, wszystko, byleby nie tkwić w miejscu. Podeszła do narożnika i usiadła obok siostry.

– Znajdą ich. Już są bardzo blisko, skoro mają jej zdjęcie – powiedziała, starając się choć trochę pocieszyć Ludmiłę.

Usta kobiety się zacisnęły.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę w to, że to Renata – powiedziała cicho. – Ona? Dlaczego? Co ja jej takiego zrobiłam? Co zrobili jej chłopcy? Nic z tego wszystkiego nie rozumiem – szepnęła, kręcąc głową. – Za co? Dlaczego?

Dobrosława objęła ją mocno ramieniem.

– Nie wiem – przyznała szczerze. – Może ma o coś do ciebie żal?

„A może widziała cię tam i ma żal, że nic nie zrobiłaś?”

– O co? Przecież byliśmy jeszcze dziećmi! Nawet jeżeli zrobiłam coś nie tak, byłam tylko głupią nastolatką i przecież Renata musi zdawać sobie z tego sprawę. W tym wieku robi się różne rzeczy! – Ludmiła się rozzłościła. – Nie, naprawdę. Dlaczego? Dlaczego! – Podniosła głos i ukryła twarz w dłoniach, zaraz jednak ją odsłoniła i odgarniając włosy do tyłu, wstała z kanapy i ruszyła w stronę korytarza.

– Dokąd idziesz? – Dobrochna się wystraszyła.

Siostra zatrzymała się i odwróciła powoli w jej stronę. Na twarzy nie było już śladów po dawnym załamaniu, tylko złość. Dobrosława nie wiedziała dlaczego, ale poczuła ulgę, widząc zmianę w Ludmile. Ta postawa była jej o wiele bliższa. Nawet jeżeli wywoływała przy tym również drobne ukłucie niepokoju.

– Jak to dokąd? Idę ich szukać. Jeżeli to rzeczywiście Renata, muszę sprawdzić wszystkie miejsca, w których lubiła się dawniej ukrywać.

Dobrosława zabrała z krzesła torbę.

– Idę z tobą. – Bez wahania podjęła decyzję. Zresztą, czy w tej sytuacji mogła zrobić cokolwiek innego?



– Coś nowego? – spytał Czarnecki, wchodząc do wydzielonego na jasielskiej komendzie pomieszczenia, służącego jako tymczasowe centrum operacyjne.

– Kilka zgłoszeń o naszej audicy, głównie Jasło. Widziana była na krajowej dwudziestce ósemce, jak jechała w stronę Trzciny – powiedział Andruszkiewicz, odrywając się od komputera.

– Przybliżona lokalizacja? Skręcała gdzieś? – Komisarz zmarszczył brwi.

Starszy aspirant w odpowiedzi pokręcił głową.

– Mniej więcej w okolicach szkoły i skrzyżowania na skansen. Nie jest jednak wykluczone, że skręciła w inną drogę, na przykład koło kościoła. Tutaj większość tych lokalnych dróg się ze sobą łączy.

– Monitoringi?

– Nigdzie jej nie złapało.

– Możemy jednak zakładać, że ukrywa się gdzieś w okolicy – podsumował Czarnecki.

– Nawet chyba powinniśmy.

Czarnecki oparł się o jedno z biurek i skrzyżował ręce na piersi.

– Czemu, do diabła, wybrała się samochodem na stację benzynową? – mruknął do siebie. – Przecież mogła podejrzewać, że ktoś ją zauważy, jeszcze z tymi niemieckimi tablicami.

– Obstawiam, że bardzo potrzebowała benzyny – wtrącił Andruszkiewicz. – I pewnie sądziła, że polska policja będzie działać bardziej opieszale.

– To by oznaczało, że nie ma na bieżąco dostępu do serwisów informacyjnych – zauważył Czarnecki. – Jak poszukiwania w wiosce? Trwają?

– Cały czas. Mnóstwo ludzi się włączyło.

„Przynajmniej jedna rzecz na plus”, pomyślał z zadowoleniem. Zaangażowanie mieszkańców pozwalało też liczyć na szybkie informacje, jeżeli ktoś gdzieś coś zauważy.

– I bardzo dobrze. Niech sprawdzają wszystkie pustostany, piwnice, ziemianki. Dorwiemy ją. Marta się nie odzywała?

– Nie może nawiązać kontaktu z tym sprzedawcą. Gość jest chyba na urlopie i nie odpisuje ani nie odbiera telefonu. Oczywiście zgłosiła sprawę do portalu, ale procedury trwają. Wiesz, oni wszyscy są teraz strasznie przeczuleni na punkcie danych osobowych – dodał, jakby chciał usprawiedliwić brak postępów u koleżanki. – Zresztą lada moment powinniśmy mieć lokalizację z BTS-ów. Właśnie jeszcze jedno. Niemcy sprawdzili tę Wenzel, w której sprawie dzwoniłeś – przypomniało się młodemu policjantowi. – A dokładniej Karaś, bo u nich wciąż funkcjonuje pod tym nazwiskiem. Wygląda na to, że wcale nie wyszła za mąż, tylko najzwyczajniej przywłaszczyła sobie jakieś niemieckie nazwisko.

– Może żyje w związku partnerskim i stwierdziła, że tak będzie łatwiej? – próbował tłumaczyć to jakoś Czarnecki.

– Być może. Szkopuł w tym, że przyjechała do Niemiec w dwa tysiące piątym roku i pracowała tam do dwa tysiące siódmego.

– A potem? – Ton Młodego wyraźnie go zaniepokoił.

– A potem rozpląnęła się w powietrzu – wyjaśnił Andruszkiewicz. – Słowem, według Niemców nie ma żadnej Renaty Wenzel ani Karaś, a przynajmniej nie u nich.



Zawsze marzyłam o tym, by wyjechać za granicę, a gdy już wyjechałam, wszystko było nie tak. Pokój był obskurny, praca... nie tak dobrze płatna, jak sądziłam. Z trudem żyłam od wypłaty do wypłaty, nie pozwalając sobie na szastanie pieniędzmi.

A potem go poznałam. Sądziłam, że w końcu los się do mnie uśmiechnął, tymczasem on zachichotał tylko bezlitośnie i wystawił mi środkowy palec. Zaczęło się niewinnie od życia ponad stan... jedna pożyczka, druga, oczywiście nie w banku, bo tej nikt by nam nie dał. Nie da się jednak pożyczać wiecznie, w końcu nadchodzi czas, gdy trzeba spłacić długi. Sama nie wiedziałam, jak do tego doszło, ale któregoś dnia wylądowałam w burdelu. Miał być szybki zarobek i spłata zobowiązań, a tymczasem długi rosły z każdym kolejnym dniem. Ukochany oczywiście zniknął jak kamfora, a ja zostałam z koszmarnymi zobowiązaniami, których nijak nie mogłam spłacić. Stałam się niewolnikiem.

Nie chciałam pamiętać tego, co było później.

W końcu jednak przyszedł ten dzień. Do drzwi mojego pokoju zapukał Marcus. Gdy po raz pierwszy go zobaczyłam, rozplakałam się, co nie zdarzyło mi się już od wielu lat. Wszystko w jednej chwili wróciło. Wszystkie błędy, które popełniłam, stanęły jak żywo przed załzawionymi

oczami. Byłam taka głupia, taka naiwna. Jak w ogóle mogłam pomyśleć, że czeka mnie tu cokolwiek dobrego? Siedziałam, szlochając, na łóżku, a on zaczął ze mną tak po prostu rozmawiać. Nawet nie wiedziałam, kiedy minęła ustalona godzina i Marcus musiał wyjść, bez tego, po co tu w ogóle przyszedł.

Myślałam, że więcej go już nie zobaczę, ale wrócił. I wracał przez kolejne kilka miesięcy, a później... później pomógł mi się stąd wydostać. Nie wiedziałam, jak mu się to udało, pewnie kosztowało go to nie tylko sporo pieniędzy, ale i znajomości.

Gdy znalazłam się w jego domu pod Berlinem, pomyślałam, że może w końcu wszystko zacznie się układać.

Układało się. Do momentu, gdy Marcus któregoś dnia wyjechał w delegację i już nie wrócił. Zawał.

Znowu zostałam sama, w obcym państwie. Bez przeszłości i bez przyszłości.

Prawie rozsypałam się na tysiące kawałeczków, zaraz jednak pomyślałam, że może widocznie tak miało być, że przewrotny los umożliwił mi to, co powinnam zrobić już dawno.

Nie miałam nic. Została mi tylko zemsta.



Czarneckiemu wciąż nie dawały spokoju słowa Dobrosławy.

„Jak u niej byłam... nie zaprosiła mnie do środka. Nawet nie uchyliła drzwi, nie wyszła też po prostu na korytarz. Kazała mi poczekać przed blokiem”.

Niby nic wielkiego. Wielu starszych ludzi jest ostrożnych. Dodatkowo w ostatnich latach zdecydowanie wzrosła świadomość wśród seniorów, że są stosunkowo prostymi celami wyłudzeń i przestępstw.

Oczywiście to też nie jest tak, że z dnia na dzień zniknęły oszustwa na wnuczka czy policjanta i nikt już się nie nabierał na nie, bo pomysłowość przestępców nie zna granic, a świat przestępczy nie znosi próżni, ale zdecydowana większość dwa razy się zastanowiła, zanim wpuściła obcego do domu, nawet jeżeli podawał się za hydraulika czy elektryka. Ale żeby przed blokiem? W większości przypadków jednak rozmowa odbywała się na korytarzu, gdzie też akustyka pozwalała w razie czego efektywniej wezwać pomocy.

Dlaczego przed blokiem? Nie chciała, żeby ktoś z sąsiadów podsłuchiwał ich rozmowę? Nonsens! Pod blokiem tak samo mogli podsłuchiwać. Czy może nie chciała, by gość usłyszał dziwne odgłosy z jej mieszkania?

Na przykład płacz ośmioletnich chłopców albo odgłosy gier komputerowych lub filmów, którymi próbowała ich zająć.

Potrząsnął głową. Wyobraźnia zaczynała podsuwać mu coraz dziwniejsze wizje. Przecież nie musiało być w tym nic nienormalnego. Mogły to być niczym nieuzasadnione podejrzenia detektywki Dobrosławy, która – nie ukrywajmy – może i miała dobrego nosa, lecz była też w tę sprawę nadzwyczajnie zaangażowana.

Prawie tak samo jak kilka miesięcy temu w sprawę Karola Wilka.

„Nie, nie porównuj tych dwóch spraw – próbował sobie przetłumaczyć. Tam się zaangażowała, bo chciała dowieść jego niewinności, tu jednak – ktoś porwał jej siostrzeńców. Te dwie sprawy były zupełnie bez porównania”.

Mimo to niepokój wciąż nie mógł go opuścić. Tak jakby przeskoczył z jej głowy na niego i zaczął więc sobie przytulne gniazdko.

„Bzdura! – mówił rozsądek. – Zwykły zbieg okoliczności”.

A jeżeli coś w tym jednak jest? W końcu przyszywana ciotka utrzymywała kontakt z podejrzaną Renatą Karaś. Co prawda Magdalena Niemczycka na widok zdjęcia powiedziała dokładnie to samo co Ludmiła, jednak porównując obecną fotografię z tą, którą siostra przysłała jej kilka lat temu, wydawało się, że na obu zdjęciach jest ta sama osoba. Specjaliści mieli ostatecznie to rozsądzić, ale mógł wstępnie zakładać, że zgodzą się z jego wrażeniem. Jeżeli zaniedba ten trop, a później okaże się, że jednak był on słuszny? Czy da sobie radę wybaczyć, jeżeli coś pójdzie nie tak?

Trudno było w ogóle zakładać, że coś pójdzie nie tak.

Czarnecki zapatrzył się przez okno komendy na znajdujące się naprzeciw zniszczone kamienice, próbując zignorować nieprzyjemne kłucie w podbrzuszu. Niech jej będzie, przejdzie się tam i sam sprawdzi tę ciotkę. Żeby później nie było, jeżeli jednak coś się wydarzy.

Słowo „coś” wywołało kolejne piknięcie w okolicach żołądka. Nie mogło wydarzyć się żadne coś. Nie teraz.



Chłód lasu mimo słonecznego dnia był przejmujący. Panujący w gąszczu półmrok wypełzał spomiędzy pni, sprawiając wrażenie, że już nadchodzi wieczór, choć było dopiero wczesne popołudnie. Drzewa milczały, tak samo jak ptaki i zwierzęta, jakby w oczekiwaniu na coś, co nieuchronnie musi się wydarzyć. Jedynie opadłe liście szeleściły pod ich stopami.

Dobrosława odgarnęła zachodzące na ścieżkę wiotkie gałęzie i zdała sobie sprawę, że są w okolicach, gdzie odnaleziono ciało Darii oraz – Karoliny.

– To tutaj? – spytała szeptem, sama nie wiedziała dlaczego.

– Nie. Jesteśmy bardziej w głębi lasu. Jeszcze kawałek i będziemy na miejscu – odpowiedziała Ludmiła, podnosząc wysoko nogi, by nie

zaplątać się w płożące się po ziemi ostrężyny. – Ale rzeczywiście, to niedaleko.

Dobrochna szła za siostrą krok w krok.

– Od razu zauważyłaś, że to było tak niedaleko? Znaczy się, że Karolinę znaleziono tak niedaleko od... Darii – spytała.

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko szelest poszycia leśnego.

– Od razu.

– To dlatego reagowałaś tak agresywnie, gdy cię o to pytałam?

Ludmiła odwróciła gwałtownie głowę i zerknęła na nią, mrużąc oczy.

– Dziwisz mi się? Po tym wszystkim, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu?

– Nie, wcale.

Siostra odwróciła się z powrotem i odgięła kolejne giętkie gałęzie. Las zaczął się przeredzać. Światło wlewało się pomiędzy koronami drzew, których cienie kładły się na miękkiej ściółce. Światło i cień, jasność i mrok. Odwieczna walka.

Tym razem światło wygrało.

Wyszły na zalaną jesiennym słońcem polanę. Wysoka pożółkła trawa brzęczała milionem owadów, głośno, intensywnie, jakby jutra miało nie być. Ostatnie koncerty przed nadchodzącą nieuchronnie zimą. Kawałek dalej, ledwie kilkadziesiąt metrów, stało parę starych drewnianych domów. Jeden z nich oklejony żółtą, policyjną taśmą. Dopiero teraz Dobrochna zorientowała się, gdzie są. Nie była tutaj od dobrych kilkunastu lat.

– Jesteśmy – powiedziała Ludmiła cicho, a owady, jakby chcąc to potwierdzić, zagrały *allegro agitato*.

Dobrosława się zawahała. Taśma zdawała się oddzielać budynek murem od świata realnego, dużo dostępniejszy był dom z drugiej strony, choć opuszczony i brakowało mu kawałka dachu.

– Tam już sprawdzali – powiedziała. – Przecież szukali Zofii.

Ludmiła była jednak na to głucha. Ruszyła do przodu, nie oglądając się ani na siostrę, ani na miliony owadów, które deptała w trawie.

– Tylko ciekawe, jak dokładnie – mruknęła z przekąsem. – Renata miała swoje kryjówki. Na nieszczęście dla niej ja dobrze je pamiętam.



Stary, zdezelowany autobus sapnął przeciągle, tak jakby miał zaraz rozlecieć się na części, i skręcił w kierunku zajezdni autobusowej. Duszący zapach diesla przez dłuższą chwilę unosił się w powietrzu, zdając się przyczepiać do nagrzanego słońcem betonu. Było wczesne przedpołudnie, a słońce przypiekało, tym lepkiem, jesiennym upałem, klejącym się do skóry. Marcin otarł kropelki potu, które zebrały mu się na czole, popatrzył jeszcze przez moment, jak stary autosan zajeżdża na jedno ze stanowisk jasielskiego dworca PKS, po czym ruszył dalej w stronę niskiego bloku z numerem jeden. Był naprawdę zadowolony, że w taki dzień jak dzisiaj nie musi korzystać z dobrodziejstw komunikacji publicznej. Wystarczyło, że pomyślał o duchocie panującej w środku, i już miał dosyć.

Chłód klatki schodowej pozwolił mu jednak szybko zapomnieć o tym niemiłym wspomnieniu. Nagła zmiana temperatury spowodowała, że nawet poczuł lekkie ciarki, szybkim krokiem skierował się więc w stronę mieszkania, które wskazała mu detektywka. Nacisnął przycisk dzwonnka i czekał.

Po krótkiej chwili ktoś poruszył się za drzwiami.

– Tak? – rozległ się mało uprzejmy, damski głos.

– Komisarz Marcin Czarnecki z Komendy Wojewódzkiej Policji – powiedział, pokazując legitymację w stronę wizjera. – Możemy chwilę porozmawiać?

Za drzwiami zapanowała pełna konsternacji cisza.

– W sprawie? – spytał głos. Drzwi nawet nie drgnęły. Było dokładnie tak, jak opisywała Dobrosława.

– W sprawie Karoliny i Zofii Karaś. – Starł się opanować narastającą irytację, choć jednocześnie naprawdę podziwiał staruszkę, że tak wzięła sobie do serca wszystkie zalecenia z kampanii reklamowych o próbach oszustwa.

– Ale ja nic nie wiem.

– Czy mimo to moglibyśmy chwilę porozmawiać? – Z trudem powstrzymał się przed zgrzytnięciem zębami. – Twarzą w twarz?

Kolejna chwila ciszy.

– W sumie... No dobrze – skapitulowała kobieta.

Zgrzytnął zamek i między drzwiami a ościeżnicą pojawiła się wąska szpara. Szczupła starsza kobieta wysunęła się z niej zwinnie jak kot i błyskawicznie zamknęła z powrotem wrota do swojego królestwa.

– Ja naprawdę nic nie wiem – powtórzyła twardo. Po minie widział, że musi bardzo żałować, że zdecydowała się porozmawiać z obcą kobietą, która teraz najwyraźniej zdecydowała się nasłać na nią policję.

– Jest pani przyszywaną siostrą Zofii Karaś, mieszkającej w Trzciny?

– Tak. Ale nie widziałam jej od wielu lat. W sumie to... o mój Boże, to będzie coś koło czterdziestu lat. – Zachichotała niespodziewanie. – Człowiek nie zdaje sobie sprawy z upływu czasu.

W tym akurat stwierdzeniu miała dużo racji.

– Czy w ostatnim czasie kontaktowała się pani z kimś z rodziny pani Zofii? Dalszą, bliższą, kuzynkami, córkami...

Barbara odchrząknęła, po czym zaśmiała się złośliwie.

– Przecież dobrze pan wie, od tej pannicy. Inaczej by pana tutaj nie było. Zresztą Renatka mówiła, że w tej sytuacji z pewnością ktoś prędzej czy później od was się zjawi. – Odchrząknęła ponownie, po czym zasłoniła się szczelniej swetrem. – Może wyjdziemy przed blok? Chłodnawo tutaj – zaproponowała.

Pierwsza lampka zaświeciła się w głowie komisarza.

– Nie ma takiej potrzeby. Jeszcze tylko kilka pytań. – Uśmiechnął się sztucznie. – Kiedy ostatnio rozmawiała pani z panią Renatą?

– Wczoraj po południu. Zadzwoiłam do niej, bo jednak powinna wiedzieć, że ludzie w Polsce o nią pytają. Może przyjechałaby wcześniej.

– Z tego, co mi wiadomo, pani Renata jest w Polsce – postanowił zablefować. – Nie powiedziała pani?

Patrzył na zmieniającą się minę kobiety i przez chwilę zastanowił się, czy aby na pewno dobrze zrobił.

– Niemożliwe.

– Cóż, chyba jednak nie do końca. – Uśmiechnął się ponownie. – Może po prostu jeszcze nie miała czasu pani odwiedzić?

Barbara zacisnęła usta w linijkę, unikając jego wzroku. Był prawie pewien, że siostrzenica się z nią nie kontaktowała: widział złość, żal i rozgoryczenie. Więc pewnie raczej fałszywy alarm.

I w tej samej sekundzie, gdy o tym pomyślał, ze środka mieszkania dobiegł potężny hurgot. Jakby przewrócone krzesło. I... kaszel?

Zawiesił wzrok na zamkniętych drzwiach. Kobieta gwałtownie się spłoszyła. Jak gdyby w jednej chwili lekceważenie ze strony siostrzenicy przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– To kot – powiedziała szybko. – Pewnie znów franca wskoczyła na stół w kuchni.

– Kot? – upewnił się Marcin. Druga lampka zapaliła się na czerwono. – Jest pani pewna?

– Kot, kot – powtórzyła ponownie ponuro. – Tylko utrapienie z tą gadziną. Jeszcze ma pan do mnie jakieś pytania? Muszę iść zobaczyć, co znów nabroił.

– Pomóc pani?

– Nie, nie ma takiej potrzeby. To tylko kot. To jak? Jestem panu jeszcze potrzebna?

– Nie, niech pani idzie do tego kota. Dziękuję bardzo za rozmowę.

Kobieta błyskawicznie uchyliła drzwi i wślizgnęła się ponownie do mieszkania. Nawet nie zdążył zerknąć przez szparę.

Zszedł na półpiętro.

– Kot. To tylko kot – mruknął do siebie zgryźliwie, wyciągając telefon. – Halo? Młody? Przekaż Jasłu, że potrzebuję kilku ludzi do przeszukania. A i oczywiście: nakazu na cito. Zaraz wyślę ci adres i dane. No i pamiętaj: tempem błyskawicy. To przecznicę od komendy.

Rozłączył się i wsunął rękę wraz z telefonem do kieszeni. To tylko kot. Całe szczęście chodziło o dwójkę dzieci, więc mogli działać trochę poza procedurami. Na szczęście lub może jednak: na nieszczęście.



Żółta taśma była napięta jak struna i żeby wejść do środka, nie było innego wyjścia, jak ją zerwać.

– Jeżeli to zrobimy, zaraz ktoś zauważy – stwierdziła przytomnie Dobrosława. – I nie będziemy mieć nawet żadnego wytłumaczenia, dlaczego to zrobiliśmy. Nie słyhać, żeby ktoś był w środku. Żadnego ruchu.

– Nikt nie zauważy. To bezludzie. Starzy Konopkowie obok dawno wyzionęli ducha, tak samo jak Bania. – Ludmiła z wściekłością chwyciła taśmę i pociągnęła. Wyglądała jak Furia: gotowa na wszystko, byleby dostać się do środka. Folia skręciła się, zwinęła, ale nie puściła.

Dobrochna sięgnęła do kieszeni po scyzoryk i jednym ruchem przecięła plastik.

– Skoro tak mówisz – stwierdziła niechętnie. – Ale szybko. Lepiej nie mieć kłopotów, a myślę, że świetnie zdajesz sobie sprawę, że według procedur powinniśmy to zgłosić?

Siostra milczała. Wiadome było, gdzie ma wszystkie procedury.

Drewniana podłoga zatrzeszczała pod ich stopami. Dom wyglądał na pusty, tak jakby ktoś wyszedł tylko na chwilę po bułki do sklepu. W korytarzu stały porozwalane buty, na stojaku wisiało kilka kurtek. Nawet naczynia w zlewie i stojący pośrodku stołu kubek zdawały się krzyczeć: halo, zaraz wracam, poczekaj na mnie.

Nikt jednak nie wrócił.

– Jest tu jakaś piwnica? – spytała Dobrosława, rozglądając się po podłodze za wejściem.

– Z tego, co wiem, to nie. Ale jest strych.

– Myślisz, że trzymałaby ich na strychu?

– Myślę, że mogła trzymać ich tam, gdzie sama się chowała – powiedziała, z determinacją Ludmiła, zerkając w górę na właz strychowy. – Przynieś miotłę z kuchni, musimy go jakoś otworzyć.

Dobrochna cofnęła się do kuchni i zaczęła rozglądać się za miotłą. Przy bliższym spojrzeniu można było zauważyć, że tymczasowa nieobecność gospodarzy jest tylko mrzonką: ze zlewu i leżących tam naczyń wydobywał się nieprzyjemny zapach, fusy w kubku stojącym na stole zdążyły spleśnieć. Gdzieś z tyłu za szafką kuchenną przemknęła cicho mysz.

Miotła stała w kącie. Wzięła ją i wróciła do Ludmiły.

Schody od wjazdu strychowego otworzyły się ze szcęknięciem. Stopnie były drewniane i miejscami przepróchniałe. Wyglądały, jakby nikt dawno nimi nie wchodził na górę. Ludmiła pociągnęła mocno drabinkę, sprawdzając jej wytrzymałość, i zwinnie zaczęła wspinać się na górę.

Ruszyła w ślad za nią.

Strych był pusty. Drobinki kurzu unosiły się w promieniach słońca, wpadających przez niewielkie otwory w ścianach szczytowych. Dobrochna wyszła na dach i rozejrzała się, podczas gdy Ludmiła myszkowała już po kątach. Strych wyglądał jak każdy strych w starym domu. Trochę kartonów, wypełnionych książkami i starymi zeszytami, trochę reklamówek z ciuchami, jakaś pierzyna, zwisająca smętnie z rozciągniętego między drewnianymi słupami sznurka, poźółkła wanienska dla niemowlaka. Wszystko stare, przykurzone, rzucone w kąt „na kiedyś” i nigdy ponownie nieużyte. Mała graciarnia. Zero śladów obecności chłopców, zero śladów jakiegokolwiek życia. Tylko jego przedmiotowe powidoki.

– Chyba jednak nie miałaś racji – powiedziała cicho. – Nie ma tu ich i nie było.

Ludmiła zawzięcie przerzucała zawartość jednego z pudeł.

– To bez sensu – dodała Dobrosława. – Wracajmy.

Siostra odłożyła stertę zeszytów na deski i w tej samej chwili na dole rozległ się jakiś hałas.

Zamarła w bezruchu.

Hałas powtórzył się, po czym znów nastała cisza. A potem rozległ się odgłos kroków. Powolnych, cichych, jakby ktoś się skradał.

Spojrzały na siebie bez słowa.

Ktoś był na dole.



– Pani Barbaro, proszę otworzyć. Mamy nakaz przeszukania mieszkania. – Głos Czarneckiego był spokojny, ale nieustępliwy. – Proszę nie robić głupot. I tak tam wejdziemy, i tak. Od pani tylko zależy, w jaki sposób się to odbędzie.

– Tak?! A niby dlaczego chcecie przeszukiwać moje mieszkanie? Ja nic nie zrobiłam!

Czarnecki z trudem stłumił narastającą irytację.

– Mamy poważne przesłanki, by sądzić, iż ukrywa się u pani poszukiwana Renata Karaś. Proszę otworzyć. Obiecuję, że wszystko przebiegnie sprawnie, jeżeli będzie tylko pani słuchać moich poleceń.

Za drzwiami dały się słyszeć odgłosy szurania.

– Mówiłam, że nie widziałam Renatki od lipca!

– Pani Barbaro, proszę otworzyć, bo wyważymy drzwi. Potrzebuje pani jeszcze takiego kłopotu?

Na klatce schodowej zebrało się już kilku gapiów.

– A zapłacicie za nie, jak Renatki tu jednak nie będzie?

– Nie.

Zapadła cisza.

– Dobra, wchodzimy – rzucił Czarnecki do jednego z policjantów. – Szkoda czasu.

– Dobrze, dobrze już otwieram. Chwila – rozległo się zrzędlive za drzwiami.

Zamek zgrzytnął i drzwi powoli uchyliły się ze skrzypnięciem.

– Pieprzona dziewczucha – burknęła Barbara, stając w wejściu. – Będę mieć nauczkę na przyszłość.

Czarnecki jednak już jej nie słuchał. Gestem pokazał kolegom, by brali się do roboty.

– Ja tak tego nie zostawię. Zobaczycie! Napiszę jedną skargę, drugą... jakim prawem! Spokojnemu obywatelowi takie rzeczy? – zrzędziła dalej kobieta. – Będziecie mieć się z pyszna!

– Każdy ką, każdy zakamarek – powiedział Czarnecki do policjantów, a sam zwrócił się zmęczonym głosem do właścicielki. – Pani Barbaro, nie wiem, czy pani wie, ale chodzi o życie i zdrowie dwóch ośmiolatków. Jeżeli mamy najmniejsze podejrzenie, że gdzieś mogą być lub ktoś może coś o nich wiedzieć, musimy je sprawdzić. Dlatego, jeżeli posiada pani wiedzę, gdzie chłopcy mogą przebywać, proszę powiedzieć. Z pewnością będzie to okoliczność łagodząca. Przede wszystkim zależy nam na tym, by znaleźć ich całych i zdrowych. Dzieci nie są niczemu winne. Wie pani, jacy muszą być wystraszeni? Wie pani, co przeżywa ich matka?

Mikołajewska zacisnęła usta.

– Nic nie wiem o żadnych dzieciach. A to, co robicie, to skandal! I jak w ogóle możecie sądzić, że Renatka ma z tym cokolwiek wspólnego! To taka dobra dziewczyna! Uczciwie pracuje w Niemczech

i nie w głowie jej jakiegokolwiek porwania. Dlaczego niby miałyby to robić?!

Czarnecki skapitulował. Nie było sensu wdawać się z nią w żadną dyskusję.

- Komisarzu, czysto – zaraportował jeden z policjantów.
- Szafy sprawdzaliście?
- Wszystkie?
- Co do jednej.

Marcin rozejrzył się po niewielkim mieszkaniu. Nie bardzo było tu szans kogokolwiek ukryć. Dwa niewielkie pokoje, kuchnia, łazienka. Mebłocianka, szafa, stolik, stary tapczan. Wspomnianego kota oczywiście nie było. Lokum było jednak na pierwszym piętrze, od biedy zwinna osoba mogła wydostać się oknem, tyle że musiała zrobić to wcześniej, gdy on stał na klatce schodowej, bo jeden z policjantów pilnował drugiej strony bloku.

– A w tapczanie? – Kiwnął głową w stronę łóżka. Kątem oka zobaczył, że Barbara pąsowieje, i już wiedział, że trafił.

- W tapczanie nie.

Komisarz podszedł do złożonego mebla i chwycił za siedzenie. Jednym ruchem podniósł go do góry. Skrzypnęły zawiasy.

W miejscu, gdzie powinna znajdować się pościel, na wznak leżał starszy, wysuszony mężczyzna. Ręce miał skrzyżowane na piersi, oczy zamknięte. Wyglądał, jakby leżał w trumnie, lecz Czarnecki miał już oko do nieboszczyków – ten tu był z pewnością żywy.

- O ja pierdołę – wyrwało się młodszemu policjantowi.

Nieboszczyk otworzył oczy i popatrzył na Czarneckiego. Miał oczy w kolorze wyblakłego błękitu.

– Kim pan, do diabła, jest? – mruknął w końcu zdezorientowany komisarz.

Mężczyzna usiadł. Przeciągnął się, aż coś strzeliło mu w żyłastych rękach, i popatrzył na niego niewinnie.

– Ja? – spytał głupekowato. – Ale ja nic złego nie zrobiłem!

Marcin poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Ale kim pan jest? – syknął. – Imię? Nazwisko?

Tamten uklonił się uprzejmie.

– Władysław Bania, do usług.



Ludmiła z Dobrosławą wpatrywały się w siebie z przerażeniem. Kroki na dole przemieszczały się, ktoś przeszedł przez korytarz, zajrzał do kuchni i ruszył dalej. Nasłuchiwały w bezruchu.

Nagle Ludmiła schyliła głowę i przyłożyła twarz do desek, jakby mogła przez nie przeniknąć wzrokiem. Dobrochna patrzyła na to w osłupieniu. Przeniosła wzrok na deski podłogowe, znów na siostrę, znów na deski i dopiero wtedy zrozumiała. Pomiedzy nimi znajdowały się szczeliny, przez które można było dojrzeć pokój pod nimi. Starając się zrobić to bezgłośnie, poszła w ślady Ludmiły i przyłożyła oko do szpary.

Zobaczyła jeden z pokoi, w którym niedawno były: łóżko, starą meblościankę, nakastlik. Odgłos kroków się nasilał. Ktoś był tuż pod nimi. Jeszcze chwila i go zobaczy.

Wstrzymała oddech.

Zobaczyła psa. Dużego, ciemnego, w typie owczarka niemieckiego. Węszył ciekawie po kątach z nosem przytkniętym do ziemi. Był sam?

Z jakimś człowiekiem? Wyglądał na zaniedbanego, więc równie dobrze mógł być bezpański.

Nagle zobaczyła, że pies odrywa głowę i patrzy w ich kierunku. Za sobą usłyszała śmiech.

Oderwała się od otworu i spojrzała na siostrę.

– To pies... To tylko pies... – Ludmiła, leżąc wciąż z twarzą przyłożoną do podłogi, chichotała. Po chwili śmiech przerodził się w płacz.

– Pan Władysław Bania. Ciekawe, ciekawe, słyszałem od różnych ludzi, że pan nie żyje. A tu nagle pan się objawia. Hm... jak to więc z panem jest, żyje pan czy nie żyje? – Czarnecki założył ręce na piersi.

Władysław Bania wydawał się w ogóle niezmięszany zaistniałą sytuacją.

– Panie władzo kochany, wie pan, jak to jest... ja tam nie odpowiadam za to, co ludzie we wsi gadają. Wyniosłem się stamtąd, więc dla wielu to tak, jakbym umarł. – Rozłożył bezradnie ręce. – Ale jak widać, mam się całkiem dobrze.

– Jeżeli mówiąc dobrze, ma pan na myśli chowanie się w skrzyni na pościel... – Czarnecki urwał gwałtownie. – Kim w ogóle dla pana jest Barbara Mikołajewska? Kochanką? Konkubina?

– Nazwijmy ją może partnerką? – zaproponował mężczyzna.

Komisarz westchnął ciężko.

– Dobrze, niech będzie więc partnerka. Dlaczego więc chował się pan w łóżku swojej partnerki?

– Głównie z tego powodu, żeby mnie ktoś znajomy nie rozpoznał. Wie pan, po tylu latach nie chciało mi się teraz tego wszystkiego

odkręcać. A skoro gadają, że umarłem, niech im będzie. Mnie i tak wszystko jedno. – Machnął ręką.

Czarnecki przyglądał mu się podejrzliwie. Nagłe objawienie się starego pijaka było co najmniej zaskakujące, a patrząc na to, jak często przewijał się w sprawie sióstr Myśliwiec, najchętniej przymknąłby go teraz na czterdzieści osiem, żeby zaczął śpiewać jak ptaszek. Szkopuł był taki, że nie bardzo miał ku temu podstawy, bo ukrywanie się w łóżku u – jak to ładnie nazwał Władysław Bania – partnerki jeszcze nie było karalne.

– Dobrze, w takim razie niech mi pan opowie, jak to naprawdę było z tym pana uśmierceniem we wsi. – Przyniósł sobie krzesło od stolika i usiadł. – Ja chętnie posłucham.

– Panie władzo, a jak miało być? Kiedyś znajomy załatwił mi robotę w Austrii, wsiadłem w auto z nim i pojechaliśmy. Trochę tam siedziałem, zarobiłem, a jak wróciłem, to zatrzymaliśmy się w Jaśle, bo on tu mieszkał. I któregoś dnia na ulicy spotkałem Basię. A że my się z Basią dawniej bardzo lubiliśmy, to jakoś tak poszło od słowa do słowa i zostałem. – Uśmiechnął się dwuznacznie. – Wie pan, jak to jest, starość na karku i nie ma już na co czekać. I tak sobie mieszkaliśmy. A jak jakiś czas później Basia spotkała kogoś ze wsi, to się dowiedziała, że niby plotki krążą, że Władek Bania, znaczy się ja, nie żyję. Psiejuchy, wyjechałem ino na chwilę, a już mnie zdążyli uśmiercić. Z ludzi to jednak są skurczybyki. – Pokręcił z dezaprobatą głową.

Czarnecki nie wierzył w ani jedno słowo tej opowieści. Jak miał się do całej tej historii alkoholizm mężczyzny? Zresztą Bania wyglądał na szelmę, który zawsze odwróci kota ogonem, byleby tylko krzywda mu się nie stała.

– Pamięta pan zaginięcie sióstr Myśliwiec przed dwudziestu laty?

Władysław Bania w jednej chwili stracił rezon.

– Pamiętam, co mam nie pamiętać – mruknął. – Ale dlaczego tak nagle pan o to pyta? Po tylu latach? – Łypnął na niego podejrzliwie okiem.

– Według ówczesnych świadków dzień po zaginięciu dziewczyn wywoził pan śmieci do lasu, dokładnie w miejsce, gdzie później znaleziono jedne ze zwłok. Potwierdza pan?

– Panie komisarzu, to było dwadzieścia lat temu! – Złapał się za głowę. – Jeżeli tak ma pan w tych swoich protokołach, to pewnie tak było, nie zaprzeczę. Gdzie jednak ja bym pamiętał, w które miejsce i kiedy wywoziłem śmieci w tamtym czasie? Jeżeli nawet tak było, to nie widziałem i nie zauważyłem niczego podejrzanego, bo bym do was przyszedł. O zniknięciu Myśliwczanek wszyscy gadali. Mówili, że uciekły, że do burdelu je porwali... a potem, jak jedną z nich znaleźli, to wszystkim było szkoda tej dziewczyny, bo taka młoda była. Nic więcej nie pamiętam. Inna sprawa, że ja wtedy wiecznie pijany chodziłem – dodał jakby z lekkim zawstydzeniem.

Czarnecki pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Nie pamięta pan, co więcej ludzie mówili? Albo przynajmniej kto konkretnie?

– Konkretnie to wszyscy tylko o tym gadali przez długi czas. Tam wieś spokojna zawsze była i takie rzeczy jak morderstwa czy rabunki zazwyczaj jednak się nie zdarzały. Więc jak raz się coś zdarzyło, to było na językach wszystkich – wykręcił się.

– A Zofia Karaś? – spróbował z innej strony.

– Co: Zośka? Dzieci przestała puszczać same z domu, bo nikt nie puszczał, wszyscy się bali. I tyle. Co więcej mogła?

Czarnecki pomyślał, że po tym, co usłyszał o Zofii Karaś, to akurat dzieci najmniej ją w tamtym czasie obchodziły.

– Jedną z dziewczyn znaleziono niedaleko jej domu, prawda?

– No, prawda – zgodził się.

– A wie pan, że teraz równie niedaleko znaleziono zabitą Karolinę, córkę Zofii?

Bania milczał przez dłuższą chwilę, choć nie wydawał się zaskoczony.

– Biedna Zosia – mruknął w końcu ponuro. – A ją już znaleźliście? Słyszałem, jak ta dziewczyna mówiła wczoraj z Basią... Oczywiście ona sama mi nic nie powiedziała. Nie lubiły się. Niestety przeze mnie.

– Dlaczego?

– Wie pan, jak to jest, jak pójdzie o chłopca. – Uśmiechnął się. – Bo ja, wie pan, to dawniej amant byłem. Nie to, co teraz. Wszystko przez wódkę. Ale teraz też już nie piję. Dla Basi – pochwalił się.

– A dwadzieścia lat temu? – próbował wrócić do tematu Czarnecki.

– A dwadzieścia lat temu piłem na umór i nic kompletnie nie pamiętam.

– No dobrze – skapitulował Czarnecki, widząc, że nic nie działa. – To ile lat mieszka pan w tym mieszkaniu?

Mężczyzna zastanowił się.

– Trzy? Może nawet cztery. W sumie to nie jestem pewien.

– I w ogóle pan nie wychodził od tego czasu?

– Nie, dlaczego? Oczywiście, że wychodziłem. – Zdziwił się. – Właściwie to tylko dziś Basia kazała mi się schować. Wczoraj była ta dziewczyna od Staszka Machniewicza, więc wystraszyła się, żeby czasem nie zobaczyła, że tu mieszkam. Ja jej mówię: „Basiu, i co z tego? Niech gadają, jak chcą!”. Ale ona, Basia się znaczy, powiedziała, że

lepiej nie, żebym czasem nie miał z tego kłopotów, że niby w błąd ludzi wprowadzam tą swoją śmiercią. Więc posłuchałem. Ale nie będę miał kłopotów, prawda, panie władzo? – Spojrzał niewinnie na komisarza.

„Szelma. Cwany, sprytny lis”, pomyślał Marcin.

– Czy ktoś zgłosił oficjalnie pana śmierć?

– Nie...

– Czy wiedział pan, że ktoś zgłosił pana zaginięcie?

– Nie... zresztą nikt nie zgłaszał. Podobno ludzie plotkowali, że w Austrii umarłem i tam mnie pochowano, bo nikt nie zgłosił się po ciało. To jak? Będę miał problemy?

– Nie sądzę.

– To kamień z serca! – Uśmiechnął się szeroko. – Czyli nie muszę zgłaszać się już na komendę?

– Nie, raczej nie. Chyba nie mamy więcej tematów do rozmowy.

Mężczyzna wyraźnie się odprężył. Rozparł się wygodnie na krześle, uśmiech pojawił się na jego szczupłej twarzy. Już miał coś powiedzieć, gdy wtedy Czarneckiemu zadzwonił telefon.

Zerknął na wyświetlacz. Marta.

– Przepraszam na moment – rzucił nieuważnie i odebrał. – Tak?

– Komisarzu, udało mi się skontaktować w końcu z tym sprzedającym. Pamięta tę lalkę i jest na dziewięćdziesiąt pięć procent pewny, że to ta sama.

– A pozostałe pięć?

– Pozostałe pięć to zabrudzenia, uszkodzenia i oczywiście identyfikacja tylko ze zdjęcia. Sprzedający twierdzi, że gdyby widział ją na żywo, mógłby to stwierdzić na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Jest to oczywiście możliwe, choć nieco czasochłonne, bo mężczyzna mieszka w Wielkopolsce i w najbliższym czasie nie wybiera się na Podkarpacie.

– Czyli dziewięćdziesiąt pięć procent musi nam chwilowo wystarczyć – skwitował Czarnecki. – Co jednak z kupującym? Masz jego dane?

– Tak, oczywiście, nie był to problem i raczej możemy przypuszczać, że to rzeczywiście nasza lalka, bo gość jest spod Jasła.

– Dobra robota, Marta. Teraz go tylko namierzyć i zgarnąć – pochwalił policjantkę.

– Tak, komisarzu, przekazałam już informację do Jasła. Tyle że niestety koledzy sprawdzili już, że mężczyzna nie przebywa w miejscu zameldowania, więc może być problem, żeby go namierzyć.

Czarnecki poczuł się, jakby ktoś uderzył go lekko w policzek. Zaraz jednak zrozumiał, że nie było to nic innego, tylko otrzeźwienie.

– Jak on się nazywa? – spytał ostrożnie, nie wierząc, że szczęście choć raz może mu sprzyjać.

– Władysław Bania, lat siedemdziesiąt cztery. Zameldowany w Trzciny, ale tak jak mówię, wstępny wywiad dzielnicowego wykazał, że nie mieszka tam od kilku lat. Nawet podobno ktoś twierdził, że umarł, ale nie mam potwierdzenia w systemie. Należałoby pewnie zarządzić poszukiwanie – zasugerowała nieśmiało.

– Dziękuję, Marto, nie ma takiej potrzeby. Wszystkim zajmiemy się tutaj na miejscu. Wracaj do swojej pracy – powiedział z zadowoleniem. A jednak tym razem los się do niego uśmiechnął.

Rozłączył się i spojrzał na żylastego mężczyznę, siedzącego tuż przed nim.

– No, panie Władku – powiedział lekko. – Wygląda jednak na to, że będziemy mieć temat do rozmowy.

ROZDZIAŁ 6

Brunatna, ziemista maź wypełniała szerokie koryto rzeki. Potoki błota zdawały się niczym żywe, przesuwały się z bulgotem, to odsłaniając, to zasłaniając kolejne swoje warstwy. Jeszcze chwila i odsłonią to, co najważniejsze, jeszcze chwila i ukażą całą prawdę.

Dobrosława zamrugła dwukrotnie i rzeka z powrotem była rzeką, z leniwym, spokojnym nurtem wody. Przedpołudniowa wyprawa do opuszczonego domu Karasiów zszargała jej nerwy, w dodatku była zupełnie bezowocna. Nigdzie w pobliżu, ani tam, ani w sąsiednim pustym domu, nie było śladu obecności chłopców. Czarny, duży pies, prawdopodobnie skundlony owczarek, był bardzo przyjacielski i najwyraźniej bezpański, bo nie miał obroży i był wyjątkowo wychudzony, choć równie dobrze mógł się komuś zerwać z łańcucha. Nie miała w sobie przestrzeni, by zajmować się jeszcze jego losem. Niezależnie od tego, jak bardzo kochała Ludmiłę, czuła, że nie jest w stanie jej pomóc, a nawet w pełni zrozumieć. Nie miała dzieci, nie wiedziała, jak to jest, gdy nagle znikają i stają się ofiarami przestępstwa, i człowiek drży o ich dalszy los. Mogła podejrzewać, że było to przerażająco paraliżujące uczucie, bo świadomość, że spotkało to jej siostrzeńców, była okropna.

Teraz przynajmniej nie musiała przed wszystkimi wokół udawać, że sobie z nią radzi. Zaraz po przeszukaniu starych rudery zdecydowały się z Ludmiłą dołączyć do poszukiwań – ona ruszyła w okolice nad brzegami Ropy, Ludmiła tak jak i Piotrek miała pomagać przy poszukiwaniach w lesie, co wstyd się przyznać, ale bardzo Dobrochnę ucieszyło. Choć przez chwilę nie musiała udawać twardej.

Jesienne promienie słońca odbijały się w spokojnym nurcie. Dopiero co minęło południe. W dole rzeki coś poruszyło się pod wpływem nagłego ruchu powietrza. Nie było to żadne zwierzę ani ptak, bardziej wyglądało jak zwykła foliówka, wyrzucona podczas spaceru. Dobrosława wyteńczyła wzrok, lecz z tej odległości trudno było dokładnie przyjrzeć się przedmiotowi. Odgarnęła więc włosy ze spoconego czoła i ostrożnie zeszła w dół po stromej skarpie. Nie mogli przegapić najmniejszego śladu.

Jeszcze krok, jeszcze jeden... nachyliła się w stronę wody i capnęła przedmiot w dwa palce, starając się, by jednocześnie nie stracić równowagi i nie spaść do zimnej rzeki. Wdrapała się z powrotem na brzeg i obejrzała znalezisko. Rzeczywiście: foliówka, w środku: skarpetka? Serce zabiło jej mocniej, z wysiłkiem próbowała przypomnieć sobie, jakie skarpetki mogli mieć chłopcy na sobie. Ale dlaczego tylko jedna? Obejrzała przedmiot dokładniej i doznała zawodu. To nie była skarpetka. To była zwykła ostra ścierka, taka, jaka niektórym służy do szorowania spalenizny z garnków.

– Jest coś?! – usłyszała wołanie ludzi z drugiego brzegu, którym nie umknęło jej znalezisko.

– Nie! To tylko ścierka kuchenna! – odkrzyknęła. W jednej chwili poczuła, jak ogarnia ją zmęczenie, zniechęcenie i okropna bezsilność. Poszukiwania były jednak o wiele bardziej wyczerpujące niż czekanie na

wieści, choć ona i tak wolała działać. Miała tylko nadzieję, że Ludmiła jakoś sobie radzi.

Poszukujący dotarli w końcu do punktu zbiórki na odpoczynek. Kolejne grupy ruszyły na przeczesywanie okolic rzeki, zaś powracający dostali ciepłą kawę na pokrzepienie. Była ona tym bardziej potrzebna, że wyglądało na to, iż żadne z przedpołudniowych poszukiwań nie przyniosło efektów.

W pierwszym odruchu Dobrochna miała wielką ochotę odwrócić się na pięcie, dać sobie spokój z kawą i po prostu wrócić do domu. Zmęczenie oczywiście dawało w kość, o wiele jednak gorsze były współczujące spojrzenia i szepty, próby pocieszenia, podczas gdy dla osoby w jej fachu było pewne, że takie przypadki nie zawsze kończą się dobrze, a wręcz im więcej czasu od porwania upływa – tym większe jest prawdopodobieństwo, że skończą się tragicznie. Dwadzieścia cztery godziny. Dokładnie dwadzieścia cztery godziny temu Ludmiła wpadła do kuchni Machniewiczów, jeszcze nie wiedząc, że jednorazowe zaniedbanie przerodzi się w koszmar.

Czy mogła czuć się winna? Czy gdyby zjawiała się punktualnie w szkole, chłopcom nic by się nie stało? Bo – jeśli byli obserwowani przez Renatę – nie zdarzyłoby się to po prostu później: godzinę, dwie, dzień, tydzień? W końcu nie byli przywiązani do domu i do matki, chodzili na boisko, do kolegów, do sklepu. Jeżeli porywaczka byłaby zdeterminowana, w końcu na pewno znalazłaby chwilę, gdy znajdą się sami i nikogo nie będzie w pobliżu.

Dobrochna nie wiedziała, co by było, gdyby. Wiedziała jednak, że jeżeli cokolwiek stanie się bliźniakom, Ludmiła sobie tego nie wybaczy do końca życia.

Kawa pachniała tak przyjemnie, tak beztrosko, że ostatecznie skusiła się, by zostać na chwilę i wypić jeden kubek. Usiadła na uboczu,

pomiędzy niskimi, zielonymi świerkami, i rozkoszowała się ciepłem, grzejącym jej palce, i o dziwo, mocnym aromatycznym zapachem, jak na rozpuszczalną. Chwila odpoczynku, chwila oddechu, podczas którego można przez moment poudawać, że wszystko jest jak dawniej, starając się nie pamiętać o celu, dla którego się tu dzisiaj zjawiła. Musiała przyznać, że przez moment nawet jej się to udało.

– ...też nie mogłam uwierzyć, gdy mi powiedziała. Wszyscy przecież mówili, że nie żyje! Sama pamiętam, jak wyjechał, a potem już nie wrócił. – Głos, który dobiegł nagle gdzieś zza gałęzi, przy których siedziała Dobrosława, sprawił, że czar beztroski prysł w jednym momencie.

– Ale jesteś pewna, że chodzi o Władka Banię? Może coś źle usłyszałaś? – Do dyskusji włączył się drugi kobiecy alt. Nie potrafiła rozpoznać, do kogo należy, a mimo najszczerzych chęci nie mogła dojrzeć twarzy zza kłujących, gęstych gałęzi.

– Jak bum-cyk-cyk! Moja kuzynka jest sąsiadką tej całej Baški, mieszka klatkę obok. Mówiła, że zamieszanie było na pół osiedla, jak go aresztowali. Podobno ta cała Baška go tam więziła i nie pozwalała za bardzo wychodzić. I rzeczywiście kuzynka mówiła, że widziała go może z dwa albo trzy razy przez ten cały czas, kiedy niby tam mieszkał. Zawsze myślała, że to jakiś Cygan się przyplątał, wiesz, oni tam kilka lat temu mieli ich zatręsenie.

Dobrochna wstrzymała oddech. Baška? Władek Bania? Czy możliwe, żeby chodziło o Mikołajewską? Oczywiście, że tak, jak mogłoby być inaczej? Przecież mama wspominała, że obie z Zośką były w nim śmiertelnie zakochane. Wyglądało na to, że drugiej z sióstr w końcu udało się go szczęśliwie usidlić, przy czym, zamiast usidlić, może lepsze byłoby w tym wypadku słowo uwiązać? Czy to dlatego kobieta nie chciała wpuścić jej do swojego domu?

Wszystko w jednej chwili stało się jasne.

– No, ładnie, popatrz, popatrz. Wszyscy myśleli, że on z Austrii nie wrócił, a ten w Jaśle był. Dom prawie że się zawalił, ogród zarósł chwastami... ale czekaj, czekaj, mówisz, że go zamknęli? Za co? Przecież to ją powinni za to, że go więziła, nie jego.

– Ja tam nie wiem, ale mówią, że podobno miał coś wspólnego ze zniknięciem chłopaków Machniewiczówny. Boże, jak tak można w biały dzień kogoś porwać? To się w głowie nie mieści!

Kobiety rozmawiały jeszcze chwilę o bezczelności bandytów i opieszałości policji, po czym rozległ się szmer kroków w trawie i głosy całkiem ucichły.

Dobrosława zdecydowała się w końcu poruszyć. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, w jak niewygodnej pozycji znajdowała się do tej pory. Ból pleców i zdrętwiałe mięśnie były jednak niczym w porównaniu z tym, czego się dowiedziała, i warte były wszelkich niedogodności.

„Władysław Bania... Władysław Bania...”, kołatało jej gorączkowo po głowie. Ukrywany w mieszkaniu przez Mikołajewską. Niedoszły fagas Zofii Karaś.

Jaki związek miał z całą tą sprawą?

Ścisnęła mocno kubek z resztką kawy, zgniatając cienki plastik. Musiała się tego dowiedzieć.

Za wszelką cenę.



– Władysław Bania – powiedział komisarz Czarnecki, wchodząc do sali przesłuchań. Cienka, kartonowa teczka rzucona na stół wydała niemiłe plaśnięcie.

– W rzeczy samej, panie komendancie – potwierdził siedzący przed nim. Mężczyzna zdawał się w ogóle nie rozumieć powagi sytuacji, w jakiej się znalazł, tak jakby ciągłe przebywanie w zamkniętym mieszkaniu Mikołajewskiej całkiem odebrało mu trzeźwą ocenę sytuacji. Może jednak bardziej związane było to z faktem, że przez kilkanaście lat wcześniej trzeźwość była dla niego stanem nieosiągalnym.

– To teraz, w rzeczy samej, powie mi pan teraz całą prawdę o tej lalce, którą kupił pan na portalu internetowym.

Odpowiedź była jednak dokładnie taka, jakiej się spodziewał.

– Nie kupowałem żadnej lalki.

– Czy ten numer telefonu należy do pana? – spytał Czarnecki, z trudem zachowując spokój, i wyrecytował ciąg dziewięciu cyfr.

– Być może, mój też się zaczyna na pięćset, resztę jednak musiałbym sprawdzić, a zabrali mi panowie telefon. – Rozłożył bezradnie ręce.

– Czy korzystał pan jedynie z telefonu, który panu skonfiskowaliśmy?

– Tak, choć powiedzieć, że korzystałem, to trochę dużo. Miałem go, prawie jednak nigdzie nie dzwoniłem. – Uśmiechnął się przeprasząco. – Nie miałem do kogo, jedynie do Basi.

– Czy ktoś oprócz Barbary Mikołajewskiej znał pana numer telefonu? – kontynuował komisarz.

– Chyba nie, choć czasami wydzwanają do mnie różne nieznane numery. Zazwyczaj jak odbierałem, to była cisza, a oni dalej dzwonili. Czasami jakies odkurzacze chcieli dawać, ale Basia kazała mi się rozłączać – wyjaśnił beztrąsko.

„Natrętny telemarketing albo próby oszustwa”, pomyślał Czarnecki, przypominając sobie, że do niego też często wydzwaniali. Nie miał

zielonego pojęcia, skąd mieli jego numer w bazie, ale byli naprawdę natrętni – potrafili dzwonić nawet trzydzieści razy w ciągu dnia, a gdy odbierał, zazwyczaj była cisza. Zawsze zastanawiało go, jaki jest w tym sens, aż w końcu okazało się, że jest to kolejny sposób, jaki znaleźli sobie oszuści, dzwoniли z numerów zagranicznych lub premium, licząc, że ktoś oddzwoni i słono za takie połączenie zapłaci.

– A oprócz tego?

– Eee, chyba nikt. Nie wiem.

– A Renata Karaś, siostrzenica Barbary Mikołajewskiej? Czy знаła numer pana telefonu?

Mężczyzna w jednej chwili się zmieszał.

– Panie Bania? Zadałem panu pytanie – ponaglił go policjant. – Czy Renata Karaś znała numer pana telefonu?

– Nie? – powiedział Władysław niepewnie.

– A czy mogła mieć dostęp do pana telefonu podczas którejś ze swoich wizyt w mieszkaniu Barbary Mikołajewskiej?

– A skąd ja to mam wiedzieć! – Zdenerwował się. – Niby to małe i w kieszeni się mieści, ale przecież wszędzie go ze sobą nie noszę, bo po co? Na stoliku zazwyczaj leży lub na szafce.

– Czy to Renata tak kazała panu powiedzieć? – zasugerował niewinnie Czarnecki.

Bania poczerwieniał gwałtownie i zacisnął usta.

– Czy Renata żywiła jakąś urazę do swojej siostry Karoliny Karaś lub Ludmiły Machniewicz? – drążył dalej, mając nadzieję, że stary pijak, zamiast zaciąć się w sobie, zacznie pogrążać młodą kobietę.

– A skąd ja to mam wiedzieć?! Wieki jej nie widziałem, prawie nie poznałem dziewczyny, jak przyszła ostatnio do Basi. Basia jednak

mówiła, że jakąś operację plastyczną zrobiła czy coś, oni tam na Zachodzie prawdziwe cuda wyrabiają, że nawet Renata nie wyglądała jak Renata, Basia też miała początkowo problem z jej rozpoznaniem, myślała, że to jakaś kociara czy inne pieroństwo, gdy do niej przyszła pierwszy raz po przerwie. – Nagle nerwowo zachichotał. – Ale może i rzeczywiście znała mój numer telefon, bo nakryłem ją wówczas, jak coś przy nim grzebała. Ja nie wiem, ja się nie znam na tych nowych technologiach, ale tak, jeżeli twierdzicie, że mogłem mieć coś wspólnego z jakąś lalką, to z pewnością jej sprawka!

– Kiedy to było? – spytał zadowolony z siebie komisarz.

– Co kiedy było?

– Kiedy nakrył pan Renatę Karaś, jak grzebała w pana telefonie?

– Na wiosnę jakoś... niezapowiedziana przyszła, Basi akurat nie było. Gdyby wiedziała wcześniej, z pewnością nie byłoby mnie w domu. Bardzo się wtedy zdenerwowała.

Po raz kolejny Marcin pomyślał sobie, że Barbara miała zapędy psychopatyczne i nie powinien od razu wykluczać jej udziału w porwaniu chłopców. Jeżeli tylko w jakiś sposób zagrażało to jej chorobliwej miłości, wszystko było możliwe.

– Czy od tego czasu pani Barbara kontaktowała się w jakiś sposób z Renatą?

– Nie wiem, chyba dzwoniły do siebie kilka razy.

– A Renata przyjechała do Jasła?

– Chyba nie, przynajmniej nie było jej u nas. Chyba że gdzieś na mieście się umówiły. Od kiedy wpadła tak niezapowiedzianie, Basia stwierdziła, że lepiej, żebym przez najbliższy czas nie wychodził z domu, żeby mnie ktoś czasem nie zobaczył – podsumował, posępniejąc. Wyraźnie zamknięcie w domu odbiło się na jego kondycji

psychicznej. Czarnecki dziwił się, jakim cudem ten przecież zdrowy i silny chłop dał się tak po prostu zamknąć kobiecie w domu. Zaraz jednak pomyślał, że w sumie gdyby nie ona, Bania nie miałaby nic, jedyne, co by mu zostało, to kieliszek i butelka.

Mężczyzna jakby czytał w jego myślach.

– Basia chciała dobrze – wyjaśnił cicho. – To było jedyne wyjście. Wie pan, w Trzcinity była jeszcze Zosia. Nie chciałem, by przeze mnie cierpiała, ją też kochałem. Ale przy niej nie mógłbym przestać pić.

– Pani Zofia zniknęła. Jeżeli wie pan, gdzie może przebywać, proszę powiedzieć. Może grozić jej niebezpieczeństwo.

Władysław potrząsnął głową.

– Nie mam żadnego pojęcia, gdzie może przebywać Zosia. Jeżeli sprawdziliście wszystkie okoliczne meliny, to naprawdę nie wiem.

– Sprawdziliśmy – mruknął komisarz. Było to pierwsze, co zrobili po informacji od córki zaginionej, Magdy, że matka prawdopodobnie pije gdzieś i w dupie ma, że ją szukają. – Dobrze, w takim razie proszę powiedzieć mi, czy Renata wspominała podczas wizyty o swojej siostrze Karolinie?

Bania znowu wyraźnie się zirytował.

– Nie wiem, dlaczego tak uparcie pyta pan o Renatę, skoro Karolina miała dość prawdziwych wrogów – mruknął opryskliwie. – Nie wiem też, czemu Renata mogłaby chcieć zabić swoją siostrę, o co pan wciąż pyta. No, chyba że ją też chciała sprzedać. W sumie ta suka była zdolna do wszystkiego, więc dla niej nieważne, rodzina nie rodzina, a Renata w sumie była niebrzydka.

– Sprzedać? – Czarnecki nie rozumiał. – Jak to sprzedać?

– O czym mówię? O Karolinie, a o czym? Znajdowała te biedne dziewczęta, złote góry im obiecywała, a później ci kolesie wywozili je za granicę. A ta chodziła po wsi i szpanowała nowymi ciuchami i błyskotkami. Wiem, bo wówczas prawie mieszkałem u Zosi – dodał, a w jego głosie dało się wyczuć nutę nostalgii.

– Chce pan powiedzieć, że Karolina brała udział w handlu kobietami? A ta jej przyjaciółka Malwina Myśliwiec? Pomagała jej? – Policjant zaczął węszyć porachunki gangsterskie. Może siostra dziewczyny stała się ich przypadkową ofiarą, straszakiem na współpracownicy? Może dlatego Malwina zniknęła, by nie skończyć tak samo – w końcu wypadek samochodowy Karoliny, o którym wspominała jej siostra Magda, nie wydarzył się wiele później.

– Pan komisarz chyba żartuje. – Władek zaśmiał się ponuro. – Karolina nie była żadną przyjaciółką Malwiny, tylko zwykłą naganiaczką. To właśnie przez nią dziewczynę wywieźli. Gdyby nie ona, nic takiego by się nie stało.

– Słucham? – Czarnecki nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Dokładnie to, co pan komisarz słyszy. A teraz myślę, że w końcu przysłała kryśka na matyska i któraś z dziewczyn w końcu zemściła się na szmacie. Zresztą ten jej wypadek samochodowy też przecież przypadkowy nie był. Chwała Bogu, trochę się po nim ogarnęła, trzeba przyznać.

– Wypadek samochodowy? – Komisarz się ożywił. – Przed maturą, tak?

Bania wzruszył ramionami.

– Ja tam nie wiem, czy przed maturą, czy po. Ja wtedy miałem wieczną studniówkę. W każdym razie od tego czasu przestała i się

uspokoiła. Ale ile dziewczyn wpakowała do niemieckich piwnic, to strach myśleć.

– Ile? – spytał precyzyjny do bólu Czarnecki.

– Mnóstwo. Przynajmniej kilkanaście.



Czy kojarzycie Ewelinę Gryboś z Przysiek? Pewnie nie kojarzycie, bo dlaczego mielibyście kojarzyć. Dziewczyna miała dziewiętnaście lat, znajomy znajomego załatwił jej pracę sprzątaczką w Niemczech. Wyjechać za zachodnią granicę – to było kiedyś marzenie każdej dziewczyny! Nawet jeżeli miałyby podcierać tyłki starym gestapowcom, dla nich wydawało się to równoznaczne z odniesieniem życiowego sukcesu. Już samo to, że wyjechały, że otworzyły się przed nimi nowe możliwości w innym kraju, na Zachodzie! – to było coś. Bo przecież będąc już tam na miejscu, wszystko może się zdarzyć, nie?

Dziwne by było, gdyby Ewelina nie skorzystała z tej szansy. Przysłała potem pocztówkę z Berlina, kilka lakonicznych listów... i w końcu kontakt się urwał. Czego mogłaby tu szukać? Nikt nie dziwił się, że nie wraca, nikt nie dziwił się, że nie chce mieć nic wspólnego z galicyjską biedą. Tylko matka czasem zastanawiała się, czy naprawdę było jej tu aż tak źle, żeby nawet kartki na święta nie przysłać.

A Kaśka Kiwczak z Czermej? Ta sama historia, tylko w rodzinie większa patologia, więc nikt nawet nie zauważył, że któregoś dnia spakowała manatki i wyjechała.

Takich dziewczyn było jeszcze kilka. Wszystkie z biednych rodzin, wszystkie szukające nowego, lepszego życia na wspaniałym Zachodzie. I wszystkie znały nie tylko Karolinę, ale też jej „chłopaka” Szakala i jego dobrego kumpla Andreasa. Nikt nie skojarzył faktów, nikt nie zastanowił się, dlaczego skoro na tym Zachodzie jest tak cudownie,

żadna z dziewczyn nie wróciła się pochwalić w rodzinnych okolicach tym, co osiągnęła. Nikt nie powiązał ich ze sobą, w końcu każda wyjeżdżała dobrowolnie.

Karolina doskonale wiedziała, jakie dziewczyny wybierać, by nie narobić sobie kłopotów – każda była samotna, z biednej rodziny, w której często nie wylewało się za kołnierz. Za każdą z nich miała płacaną prowizję. I pewnie wszystko kręciłoby się jeszcze bardzo, bardzo długo, gdyby nie poślakomiała się na urodziwą Malwinę.

Dziewczyna od razu wpadła Andreasowi w oczy: długie blond włosy, jeszcze dłuższe nogi, kocie oczy, ładna buzia. Za taką mógł zgarnąć majątek, a Karolina odpowiednio suty procent. Tyle że w tym przypadku nie było już tak łatwo, od czego jednak się ma wyobrażnię? Dobrą pracę zastąpiła obietnica kariery w modelingu, a że Myśliwcowie w życiu by się na to nie zgodzili, zostawała tylko ucieczka z domu. Karolina była tuż obok, mogła podjudzać, sączyć powoli jad i utwierdzać Malwinę w przekonaniu, że to jedyne możliwe wyjście.

Dlaczego się skusiła? Dlaczego zrobiła to, podobno, najlepszej przyjaciółce? Bo była zwykłą szmatą, ot co. Przynajmniej tak sądził. Nie liczyło się dla niej nic prócz pieniędzy. To miała zresztą po ojcu, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Tyle że Malwina w ostatniej chwili jakby wyczuła podstęp nosem i zaczęła się wycofywać. Sam na własne uszy słyszał, jak przebąkiwała coś Karolinie, co ona cały czas zbywała, kierując dziewczynę na właściwy dla niej tor. Perfidna suka.

A potem Myśliwcowy zniknęły.

Następnego dnia rano, gdy akurat wywoził stare graty do lasu, widział Karolinę w miejscu, w którym później odnaleziono Darię. Była nieswoja, wyraźnie czegoś szukała, jednocześnie cały czas upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu. Jego nie zauważyła, schował się

w młodniku, obserwując córkę Zosi z ukrycia. Wtedy jeszcze nie połączył ze sobą faktów, wtedy dopiero coś gdzieś mu świtało, lecz nadmiar wody skutecznie zalewał wszystkie olśnienia, zmieniając je w potok bzdur.

A potem wiadomo co było, znaleziono młodszą, starsza zniknęła. We wsi różne rzeczy mówili, że ta starsza przypadkiem zabiła młodszą i uciekła, że to był wypadek, a tamta uciekła, cuda. Wersji było kilkanaście, a każda z nich była wierutną bzdurą. Co go to obchodziło? Pił dalej, razem z Zosią, bo we dwójkę było im raźniej, szczególnie trzeźwieć.

Któregoś wieczoru wiele miesięcy później Zosia wysłała go po flaszkę do bimbrownika, bo pieniędzy nie było, a pić się dalej chciało. Nie pamięta, kiedy to było, z pewnością znowu było zimno i ciemno, choć jeszcze szóstej nie było. Może to był listopad następnego roku, może grudzień, może nawet styczeń, jakie to miało znaczenie? Szczęśliwi czasu nie liczą, a ci w ciągu liczą go jedynie, jeżeli nie ma go czym zakropić.

Nie uszedł daleko, gdy nagle zobaczył, że z naprzeciwka jedzie samochód. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo przecież droga jest właśnie od tego, by po niej jeździć, tyle że ten wariat pędził grubo ponad stowę, a biorąc pod uwagę wąską jezdnię i liczbę dziur, było to proszenie się o nieszczęście. Zszedł na pobocze, chcąc zrobić miejsce idiotcie, lecz czy to śliska trawa, czy nadmierny rausz, czy obie te rzeczy naraz – sprawiły, że zakręciło mu się w głowie i wpadł do rowu jak długi.

Leżał tak chwilę, sam nie wiedział, jak długo, kontemplując gwiazdy, i myślał, jak cicha i spokojna jest wieś o tej porze, gdy w te jego rozmyślenia wdarł się ostry pisk hamulców. Niechętnie wygrzebał się ze swojego legowiska, żeby zobaczyć, kto tak hałasuje po nocy, i wystawił głowę.

Zobaczył ciemny samochód, który zatrzymał się praktycznie na jego wysokości. Trzasnęły drzwi. Coś dużego wypadło ze środka i ze zdziwieniem zauważył, że zaczęło się czołgać. Dopiero wówczas rozpoznał w tym czymś człowieka, a dokładniej: dziewczynę.

Samochód wciąż stał, burcząc silnikiem koło jego głowy, gdy dziewczyna podniosła się do klęcek. Powoli stanęła na nogach i chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie. Wyglądała na mocno wstawioną, jednocześnie była w jej ruchach jakaś desperacja, jakby kobieta wiedziała, że ma tylko dwa wyjścia: uciekać albo ginąć.

Jakby w odpowiedzi samochód powoli ruszył do przodu. Nagłe wycie silnika, błysk reflektorów, dziewczyna odwracająca się w stronę maski, pisk hamulców, głuchy huk uderzenia.

– Pamiętaj, bo Mario nie zapomina. Następnym razem nie wyhamuję.

Ktokolwiek to był – bo po głosie nie było szans rozpoznać – dał znów po gazie i po chwili już go nie było.

Gdy na drodze znów zrobiło się pusto, w jednej chwili wygrzebał się z fosi. Serce biło mu jak młot na wspomnienie tego, co przed chwilą widział. Na oślepie szedł po ciemku, szukając zmalretowanej dziewczyny. Nie musiał daleko szukać, leżała na poboczu, skomląc jak zraniony pies.

Pochylił się nad jęczącą kobietą i w jednej chwili wytrzeźwiał. To była Karolina.

Narobił rabanu, od sąsiada wezwali pogotowie, nic nikomu nie mówił prócz tego, że dziewczynę potracił samochód. Sam potem słyszał, jak opowiadała policji, że szła poboczem i ktoś jej nie zauważył i w nią wjechał. Nie powiedziała, że wie, kto to był, nie powiedziała ani o tym, że chwilę wcześniej jechała tym samochodem, ani tego, co rzucił odjeżdżający sukinsyn.

Już wtedy coś mu zaczęło świtać, lecz tak naprawdę wszystkie fakty poskładał, dopiero gdy poszedł na odwyk i wytrzeźwiał, choć nic nikomu nie powiedział. Może Karolina nie była święta, ale dostała za swoje. I wcale nie dziwił się jej, że nie poszła na policję. Teraz jednak, gdy sprawiedliwości stało się zadość, mógł po raz pierwszy powiedzieć komuś to, co skrywał przez ostatnie lata.



Klatka schodowa miała ten sam zapach zatechłej, chłodnej wilgoci co ostatnio, lecz dało się w niej wyczuć nutę rozpacz, tak jakby ostatnie wydarzenia i znalezienie ukrywanego przed światem mężczyzny wsiąkło w zimny beton schodów i zatrzymało się w zakamarkach olejnej farby na ścianach.

Dobrosława nacisnęła dzwonek i zaczęła nasłuchiwać. Kompletna cisza zaległa po obu stronach drzwi. Dopiero po dłuższej chwili dało się słyszeć cichutkie szuranie, jakby pod drzwiami przebiegła mysz.

– Pani Barbaro, proszę ze mną porozmawiać – powiedziała, doskonale wiedząc, że od kobiety oddziela ją tylko cienki metal wypełnionych styropianem drzwi.

– Po co? Przecież już wszystko zniszczyłaś! Zabieraj się stąd i nie pokazuj nigdy więcej! Wszystko zniszczone! Wszystko! – Rozległ się stłumiony szloch.

Dobrochna przysunęła się do drzwi.

– Pani Basiu, proszę otworzyć, porozmawiajmy. Mogę pomóc, ale muszę wiedzieć dokładnie, dlaczego zabrali pana Władka.

– Niby jak?

– Znam komisarza Czarneckiego. Porozmawiam z nim. Ale pani musi porozmawiać ze mną – powiedziała stanowczo. Nie kłamała w żadnym z tych zdań, choć doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że

jej rozmowa z policjantem niewiele pomoże. Jednak Mikołajewska o tym nie wiedziała.

Minęło może kilka sekund, gdy drzwi powoli się uchyliły.

– Niech pani wejdzie – mruknęła niechętnie. – Piętnaście minut. I ani chwili dłużej.



„Sprawiedliwości stało się zadość”, pomyślał z rozpaczą Czarnecki. Jak stary pijak nawet mógł tak pomyśleć? Zaginęło dwóch Bogu ducha winnych chłopców, więc jakie, do diabła, zadość?

Nie mógł powiedzieć, zeznania Władysława Bani wiele wniosły do sprawy. Nie tylko wyjaśniły, dlaczego Karolina ani wcześniej, ani później nie poszła na policję, ale również pomogły zrozumieć motyw jej zabójstwa. To była zemsta i właśnie to najbardziej pasowało do całego obrazu sprawy.

I wcale nie uważał tak jak Bania, że Renata nie miała za co mścić się na siostrze, bo miała. W końcu to ona pośrednio zabrała jej najlepszą przyjaciółkę Darię. Ludmiła – nic nie zrobiła, żeby temu zapobiec, choć mogła, matka – zniszczyła życie swym pijaństwem. Pytanie brzmiało raczej: skąd średnia Karasiówna o tym wszystkim wiedziała?

Stary pijak twierdził, że dziewczyna nie wychodziła tego wieczoru. Był tam wtedy i pamięta Renatę. Z Zosią wspólnie świętowali – nie pamięta już co, ale okazja do świętowania zawsze się znalazła.

Tyle że Marcin nie bardzo wierzył w zeznania mężczyzny, bo doskonale wiedział, jak ulotna jest pamięć i świadomość po alkoholu. Ale był prawie na dziewięćdziesiąt procent pewny, że osobą, której szukają, jest właśnie średnia córka Zofii. Nawet jeżeli Ludmiła Budziak i Magdalena Niemczycka nie były pewne, czy to ona, sprawdzili numer telefonu przekazany im przez detektywkę Dobrosławę. Dane od

operatora uzyskali praktycznie od ręki ze względu na priorytet sprawy. Telefon Renaty Karaś logował się co jakiś czas w Jaśle. Tylko tam, zazwyczaj przez godzinę, czasem dwie, a następnie był wyłączany. Dobrosława miała dużo szczęścia, że dodzwoniła się do kobiety za pierwszym razem, tak samo i on – było to jednak równocześnie przekleństwo, bo od tej pory telefon znów został zdezaktywowany i taki pozostawał dotąd. Renata Karaś nie była głupia.

Jednak popełniła znaczący błąd: poruszała się samochodem. W dodatku na charakterystycznych niemieckich blachach. Nie pomyślała, że w Polsce będzie widoczna jak na dłoni. Nie pomyślała, że zwróci na siebie uwagę wszystkich. Mieli nitkę, wystarczyło teraz tylko dojść do kłębka. W tej chwili ostatni trop mieli w Trzcinity, miał przeczucie, że są już naprawdę bardzo blisko. Niestety drugie przeczucie mówiło mu, że zostało im już niewiele czasu do finałowego przedstawienia.

Ona wiedziała, że są na tropie i dorwanie jej jest tylko kwestią czasu. A to oznaczało, że będzie się spieszyć, by dokończyć swoje dzieło, zanim ją złapią.

Miał nadzieję, że przez to popełni błąd.

Emocje. Pośpiech. Brak rekwizytów, które znaleźli w lesie nieopodal skansenu, w tym posrebrzanej lunuli. To wszystko załamywało misternie skonstruowany plan. Był pewien, że kolejna zbrodnia miała się dokonać w tym samym miejscu lub w pobliżu. Daria z Malwiną zginęły nieopodal wałów i to tam rytualnie poświęciła Karolinę. Jednak to nie tam się ukrywała ze swoimi ofiarami, dokładnie przeczesał każdy skrawek lasu, zajrzeli do każdej szopy, do każdej piwniczki i w najmniejszy zakamarek.

Na wszelki wypadek postawił tam teraz dwóch ludzi, by niezauważeni patrolowali teren i donosili mu o każdej drobnostce.

Gdyby mógł, postawiłby ich tam więcej, ale każdy człowiek był cenny, a on nie miał najmniejszej pewności, że się nie myli. W końcu dziewczyna była sprytna i z pewnością odkryła już, że znaleźli jej skrytkę z przedmiotami.

Gdzie indziej mogła zrobić ołtarz ofiarny? Gdzie indziej jej cel zostałby osiągnięty? Pomyślał, że musi jeszcze raz porozmawiać z Ludmiłą. Z pewnością będzie to miejsce z przeszłości, z pewnością będzie to gdzieś, gdzie się spotykały lub gdzie coś się wydarzyło. Znał dokładnie ten schemat, znał dokładnie ten typ ludzi: pamiętliwi, bezlitośni. Po trupach do celu. Niestety w tym wypadku dosłownie.

Wiedział, że to nie będzie łatwa rozmowa. Matka chłopców od momentu ich porwania trwała w czymś w rodzaju katatonii, a leki uspokajające przepisane jej przez lekarza w końskich dawkach potęgowały ten efekt. Obawiał się, czy uda mu się w ogóle wyciągnąć z niej jakieś sensowne informacje.

Z westchnieniem sięgnął jednak po komórkę. Nie miał wyjścia. Musiał być o krok przed sprawcą. Nie mógł tylko deptać mu po piętach.

– Halo? – Ludmiła Budziak zgłosiła się od razu. Głos jej drżał, co doskonale słyszał nawet przez telefon. Zdał sobie sprawę z tego, że kobieta spodziewa się od niego wieści, i to oczywiście dobrych.

– Pani Ludmiło, komisarz Czarnecki z tej strony. Musimy jeszcze raz porozmawiać o Renacie. O miejscach, w które dawniej razem chodziliście, o ważnych wydarzeniach, do których wówczas doszło. Jest pani w domu?

– Nie, komisarzu, jestem w lesie. My... Mój Boże, to niemożliwe... to na pewno ich, ja poznaję. Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna.

– Ale co?! – niemal wrzasnął do słuchawki, podrywając się gwałtownie z krzesła. – Co jest ich?! Gdzie pani jest?!

– To... znaczy się, gra. Mała przenośna konsola. I Antek, i Alek takie mieli. Ale ta Alka miała taką rysę na obudowie, bo raz wpadła za kuchenkę, a tam z boku była taka kratka... Tak, według mnie to właśnie ta sama.

– Gdzie pani jest? – powtórzył ostro, podchodząc do drzwi. „I dlaczego nikt mi tego jeszcze nie zgłosił?” – miał ochotę dodać, ale to akurat w żadnym razie nie było pytanie do kobiety.

– W lesie, tak jak mówiłam. Nieopodal skrzyżowania do skansenu. Już właśnie mieliśmy wracać, gdy to znaleźliśmy... w wąwozie.

– Proszę się stamtąd nie ruszać i słuchać poleceń policjantów. Zaraz tam będę – polecił i natychmiast się rozłączył. Wiedział, że dojazd do Trzciny nie zajmie mu więcej niż pięć minut. Na sygnale – nawet mniej.

Czas. Czas był teraz najważniejszy.



Piętnaście minut oczywiście okazało się tylko wyświechtanym frazesem. Ledwie Dobrochna weszła, Mikołajewska zaraz się rozkleiła. Chlipiąc, opowiedziała nie tylko o tym dzisiejszym koszmarnym przedpołudniu, gdy zabrali Władka, ale również o całej ich młodzińskiej miłości. Dobrosława słuchała o historii dwóch sióstr zaciekle rywalizujących o jednego chłopaka i powoli zaczynała wszystko rozumieć. Nie mogła pochwałać tej dziwnej zaborczości, która doprowadziła Barbarę na skraj obłądzenia, do momentu, gdy praktycznie zamknęła ukochanego w złotej klatce, ale już wiedziała, dlaczego tak się stało. Wszyscy bohaterowie tej opowieści byli dysfunkcyjni, wszyscy byli na swój sposób ułomni, i jedyne, co mogła zrobić, to bardzo im współczuć.

Barbarze, która straciła rodziców i pustkę po nich próbowała zrekompensować sobie miłością.

Zofii, zazdrosnej o uwagę rodziców, do tego stopnia, że musiała w każdym aspekcie rywalizować z przybraną siostrą.

Władkowi, który w pewnym momencie pogubił się w tym wszystkim, nie chcąc zranić żadnej z kobiet, i zaczął tłumić swoje uczucia alkoholem, co doprowadziło go na samo dno.

– Ona zawsze chciała być lepsza ode mnie, zawsze chciała mi wszystko odebrać, tak jakbym wcześniej już wcale nie straciła wszystkiego – żaliła się. – Wszystko. Zabawki, książki, znajomych, chłopaków. Gdy zadurzyłam się we Władku, a ta hadra się dowiedziała, sama niby zapłonęła do niego płomienną miłością. To właśnie dlatego tak dobrze rozumiałam się z Renatką. Ona też zawsze czuła się gorsza od siostr. Wiadomo, średnia z rodzeństwa. Choć akurat chyba żadna z córek Zofii nie czuła się jakoś wyjątkowo rozpieszczana przez matkę – podsumowała złośliwie.

Po tym, gdy Władek uciekł po raz pierwszy, przytłoczony nadmiarem uczuć, Zośka rzuciła się w ramiona pierwszego lepszego amanta poznanego na potańcówce. Nie minęło lato, gdy zaciążyła, więc trzeba było przyszykować szybki ślub. Barbara z satysfakcją patrzyła na siostrę, która chyba nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, w co się wpakowała. Zaraz po weselu wyprowadziła się do Jasła i zerwała kontakt z przybraną rodziną. Resztę znała już z opowieści znajomych i sąsiadów, spotykanych czasem w mieście.

Zaraz po urodzeniu Karoliny Zofia zaczęła zaglądać do kieliszka. Początkowo sporadycznie, przy imieninach, urodzinach, jak każdy, później coraz częściej bez żadnej okazji lub – bo okazji zaczęło znajdować się coraz więcej. W międzyczasie miała przerwę, bo zaszła w ciążę z Renatą, choć jak wielu mówiło, kieliszka wina nawet wtedy

nie odmawiała, tłumacząc, że lekarz pozwolił, na poprawę krążenia i rozrzedzenie krwi. Gdy urodziła, zaraz wszystko zaczęło się od nowa: chrzciny, urodziny, na uspokojenie po całym dniu z dziećmi. Jakby tego było mało, wrócił Władek i zaczął przesiadywać u Karasiów, a to przynosząc wino, a to inne trunki. Małżeństwo Zofii zaczęło przypominać jakiś chory trójkąt, który napędzały wódka i bimber z niewysychającego źródła w pobliskiej szopie Władka Bani.

Będąc w ciąży z Magdą, już nawet nie kryła się z piwem co weekend, cud, że mała urodziła się zdrowa. Dla męża Zofii to jednak było już za dużo, odszedł, gdy dziewczynka miała roczek. Podobno to nawet nie był zły chłop, ale żona pijaczka z przydupasem przy boku to było dla niego za dużo. Zofia, której hamowanie się przychodziło już z trudem, po jego odejściu poszła w ciąg, dziećmi zajmowały się sąsiadki. Opamiętała się trochę, gdy zawisła nad nią groźba, że odbiorą jej córki, i od tej pory starała się pić jedynie wieczorami, tylko od czasu do czasu idąc w swoje ciągi, zazwyczaj nie za długie. Ale gdy najmłodsza Magda poszła do szkoły, zaczęły puszczać jej hamulce, a Władek też za kołnierz nie wylewał.

– Czy można się więc dziwić Renacie, że uciekła zaraz po szkole za granicę? Ja wcale się jej nie dziwię. Jedyna mądra. W tamtym domu naprawdę nie było już czego szukać.

Gdy tylko dziewczyny w miarę się usamodzielniały, Zofia wróciła do codziennego picia. Właściwie nie miała dnia przerwy, tankowała od rana do nocy. I tak na dobrą sprawę trwało to do momentu, aż coś jej się stało z nogami. Wtedy stała się całkowicie uzależniona od mieszkającej z nią Karoliny, a choć ta poszła w ślady matki i też do abstyntenek nie należała – matce przynosić wódki nie miała ochoty. I przynajmniej za to jej chwala.

– To wszystko wie pani od Renaty?

Pokręciła głową.

– Renata nie utrzymuje żadnych kontaktów z rodziną. Zerwała je zaraz po wyjeździe, dokładnie tak samo jak ja. To też nas ze sobą łączy. Chyba dlatego jesteśmy sobie takie bliskie – wyjaśniła. – Wszystko to wiem od dalszych i bliższych znajomych spotykanych na mieście. Może i ja wyjechałam, ale wciąż wiele ludzi mnie pamięta, szczególnie tych starszych.

– A Renata? Kiedy właściwie do pani przyjechała pierwszy raz? Skąd wiedziała, że matka miała przybraną siostrę? – zainteresowała się Dobrosława.

– Pewnie ktoś jej powiedział, może nawet sama Zośka, choć nie sędzę. Podejrzewam, że tak jak i ja chciała mnie na zawsze wymazać ze swojego życia – stwierdziła z przekąsem. – W każdym razie Renata zjawiała się u mnie któregoś dnia niespodziewanie. Nie wiem, ile mogła mieć wtedy lat, jedenaście? Trzynaście? Gdzieś tak pewnie. Jeszcze do liceum nie chodziła. Początkowo nie zamierzałam z nią rozmawiać, ale widziałam, że dziewczyna cierpi. Tak samo jak ja wiele lat wcześniej. Ona chyba też to poczuła, bo zjawiała się kilka razy na miesiąc. Przestała, dopiero gdy wyjechała do Niemiec, o czym wiedziałam, choć myślałam, że jednak będzie przyjeżdżała co jakiś czas. Widać musiała jednak poukładać sobie wszystko w głowie. Wróciła dopiero po kilku latach i muszę przyznać, że emigracja mocno ją zmieniła. Pozwoliła dorosnąć, już nie była taka naiwna. Zresztą w ogóle wyjeżdżała jako taki podłotek, a wróciła jako dojrzała kobieta. Fizycznie też się ogromnie zmieniła, prawie że bym jej nie poznała, gdy przyszła po raz pierwszy do mnie. Ale na dobre jej to wszystko wyszło. Myślę, że każdy w tym wieku powinien coś takiego przeżyć. By nabrać dystansu.

„By nabrać dystansu”, powtórzyła Dobrosława w myślach z goryczą. Zdawało się, że taki dystans jednak nie był do końca tym, o jakim

myślała Barbara Mikołajewska. A przynajmniej nie powinien przerodzić się w chęć zemsty.

Zemsta. Zemsta na wszystkich, którzy byli winni mojemu parszywemu życiu.

Właściwie zaczęłam ją planować, gdy tylko prochy Marcusa w urnie zostały złożone na cmentarzu. To znaczy – nie do końca tak. Wtedy zaczęłam ją realizować. Plan miałam ułożony już bardzo dawno temu, wiele lat wcześniej, gdy jeszcze bezsilnie tkwiłam w koszmarnej rzeczywistości.

Myślałam o niej przed snem, analizowałam ją w trakcie smutnych obowiązków. Zasypiałam i kładłam się spać z wizją zadośćuczynienia za wszystkie moje krzywdy. Gdy tylko zamknęłam oczy, widziałam ich twarze, proszące o litość, widziałam, jak proszą, żebym im darowała, że nie chcieli, że po prostu tak wyszło. Zawsze byłam nieugięta. Była wina, musiała być kara.

Pojawienie się Marcusa jedynie zepchnęło chęć zemsty na dalszy plan. Dla niego chciałam być dobra, dla niego pragnęłam być inną osobą, niż rzeczywiście byłam. Nie da się jednak zmienić własnej natury, można ją jedynie poskromić, zagłuszyć na pewien czas.

Wilk zawsze pozostanie wilkiem.

Byłam wilkiem.

Zaraz po pogrzebie wsiadłam w samochód, którym jeszcze nie tak dawno jeździłam razem z ukochanym, i wróciłam do Polski. Grunt miałam już przygotowany podczas poprzednich wyjazdów, bo nigdy tak naprawdę nie porzuciłam marzeń o zemście. Wiedziałam, że kiedyś przyjdzie ten czas.

Zgromadziłam niezbędne rekwizyty, odwiedziłam stare kryjówki.

Byłam gotowa. Mogłam zaczynać.

Z Karoliną poszło szybko. Doskonale wiedziałam, że pije, zadaje się z podejrzanymi typami, byleby zdobyć wódkę. Wystarczyło poczekać, aż wróci pijana do domu i padnie trupem na łóżko. Tyle że tym razem miało to nie mieć tylko metaforycznego znaczenia.

Gdy obserwowałam z ukrycia, jak czołga się półprzytomna do drzwi, przez chwilę zebrało mi się na litość. Nie mogłam uwierzyć, jak można doprowadzić się do takiego stanu, upaść tak nisko? Całkowite upodlenie. W sumie mogłam uznać, że właśnie to jest jej kara, do końca życia pamiętać, do końca zostać szmatą. Z pewnością dawała na prawo i lewo, byleby dorwać się do butelki.

Zaraz jednak pomyślałam, że to o wiele za dużo, bo mimo swojego zezwierżenia potem dostawała nagrodę. Ja jej nigdy nie otrzymałam.

Odczekałam chwilę, by mieć pewność, że zaśnie i nie będzie stawiać oporu, a potem po prostu weszłam do środka. Karolina nigdy nie zamykała drzwi na klucz. W tym domu nie było czego ukraść.

Wyglądała tak niewinnie, gdy leżała w skołtunionej pościeli. Podstarzały niewinny aniołek, do diabła. Zaaplikowałam jej środek zwiotczający mięśnie, który zdobyłam jeszcze w Niemczech, i dla pewności jeszcze związałam. Nie mogła zginąć w jednej chwili. Musiała cierpieć, tak jak i ja cierpiałam.

Ale mój plan okazał się niepozbawiony błędów. Nie przypuszczałam, że stara jeszcze żyje. Gdy usłyszałam powłóczenie nogami w korytarzu, zamarłam. Czynniki, którego nie wzięłam pod uwagę. Kompletnie nie wiedziałam, co robić dalej.

Ta jednak stanęła w progu, równie oszołomiona.

– Ree...nata? – wycharczała, wybałuszając oczy. – Nie...

Chwyciłam pierwszy lepszy przedmiot, który był pod ręką, i zdzieliłam ją nim po głowie. Gruchnęła na podłogę, tracąc błyskawicznie przytomność. Nie mogłam jej jednak tak tutaj zostawić. Dodatkowo bałam się, bo narobiła hałasu swoim upadkiem. Choć wokół nikt już nie mieszkał, nie chciałam dodatkowych wyrw w swoim skrupulatnym planie.

Przewiozłam obie do pierwszej z kryjówek i tam zajęłam się pierwszą. Tu przynajmniej mogłam mieć pewność, że krzyki i jęki nie dotrą do niczyich uszu.

Nad ranem wywiozłam ją na wały, by mogła jeszcze raz spojrzeć na miejsce, w którym wszystko się zaczęło. Miałam nadzieję, że jego obraz wypali się na zawsze w jej martwych oczach.

A potem wróciłam do kolejnych punktów swojego planu. Lista była długa. Jednak każdy, kto na niej się znalazł, mógł być pewien, że się doczeka swojej kolejki. Prędzej niż później.



Gdy zgodnie z przewidywaniami Czarnecki po niecałych pięciu minutach zjawił się w Trzcinity, Ludmiła Machniewicz, a właściwie Budziak, stała wraz z kilkoma osobami z grupy poszukiwawczej i policjantami na niewielkim utwardzonym parkingu na bocznej, prowadzącej do skansenu, drodze. Zaraz po telefonie komisarz skontaktował się z kolegami na miejscu i niezwłocznie kazał zamknąć cały teren w okolicy, gdzie znaleziono przedmioty należące do chłopców. Psy tropiące były w drodze.

Marcin minął tablicę informacyjną z rysunkiem grodu i skręcił gwałtownie z drogi głównej.

Gdy wysiadał, czuł, jak wszystkie oczy wlepiają się w niego. Wydawało mu się, jakby w jednej chwili wszystko przycichło, nawet

ruch na drodze zdawał się ustać.

Ludmiła zrobiła krok do przodu. Widział, jak cała drży.

– Gdzie jest pani siostra? – spytał obcesowo i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że powinien chyba być bardziej delikatny w stosunku do matki, której dzieci porwano. Może powiedzieć coś miłego, zapytać, jak samopoczucie. Empatia nigdy jednak nie była jego mocną stroną, zawsze, gdy trzeba było przekazać smutne wiadomości, zwał to na kogoś ze swojego zespołu. Marta Michalak – jej właśnie najbardziej brakowało mu tu na miejscu. Byłaby idealna do tego celu.

Ludmiła spłoszyła się nieco, jakby zupełnie nie tego pytania oczekując.

– W Jaśle. Już tu jedzie.

„Jasny szlag!” – miał ochotę zakląć na głos, poprzestał jednak na jeszcze treściwszym przekleństwie w duchu. W Jaśle. Co ona, do diabła, robiła w Jaśle? Potrzebował teraz detektywki Dobrosławy, potrzebował osoby tutejszej, która jednocześnie wiedziała, na co zwrócić uwagę i jak zachować się na miejscu. I – przede wszystkim – osoby, która – miał pewność, że – pozostanie bardzo dyskretna. Nie wiadomo bowiem, czy Renacie Karaś ktoś nie pomagał, czy nie miała na miejscu jeszcze jakiegoś sprzymierzeńca.

– Dobrze. W takim razie przyprowadź ją do mnie, jak tylko dojedzie. – Kiwnął głową młodemu policjantowi, stojącemu w tłumie. Nie wiedział, czy to dzielnicowy, czy ktoś z Jasła, ale młody aż zasalutował.

– Panie komisarzu? – szepnęła Ludmiła. Zauważył, że drży jej warga.

– Pani Ludmiło, robimy wszystko, co w naszej mocy – powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał jak najbardziej kojąco. – Proszę

zaczekać na siostrę, a później wrócić do domu i starać się trochę odpocząć. Musi pani dużo odpoczywać. – Wiedział, że jego słowa brzmią jak frazesy z kobiecego tygodnika, ale co też innego mógł jej powiedzieć?

Odwrócił się i razem z drugim z mundurowych ruszył w stronę widocznego wyżej lasu.

Telefon Dobrosławy zadzwonił w momencie, gdy wyszła już od Barbary Mikołajewskiej i szła na parking, gdzie zostawiła samochód. Wiadomość od Ludmiły błyskawicznie postawiła ją na nogi. Czym prędzej wsiadła do samochodu i ruszyła z piskiem. Koło stacji paliw usłyszała policyjną syrenę, zjechała więc do krawężnika, robiąc przejazd. Ciemny, nieoznakowany samochód z kogutem na dachu minął ją w mgnieniu oka, ale była prawie pewna, że to zielony volkswagen Czarneckiego. Gdyby mogła, zatrzymałaby go w tej chwili i pojechała razem z nim. Zaraz pomyślała jednak, że policjant chyba nie byłby zadowolony i pewnie pogonił ją znowu w trzy diabły.

Z westchnieniem włączyła się ponownie do ruchu i pojechała dalej w kierunku Trzciny.

Czerwone światła na krzyżówkach i spory ruch sprawił, że choć dotarła na miejsce kilka minut później, Czarneckiego już tam nie było. Tylko zielony samochód zaparkowany krzywo na poboczu świadczył o tym, że jednak się nie pomyliła.

Ludmiła na jej widok rzuciła się jej na szyję.

– Jesteś – szepnęła.

Objęła ją mocno.

– Jestem. Ty to znalazłaś?

Zaprzeczyła.

– Nie, ale byłam niedaleko. Jestem prawie pewna, że to Alka. Bruśka, co ona z nimi zrobiła? – Zaczęła szlochać.

Przytuliła ją jeszcze mocniej.

– Pani Dobrosława Machniewicz? – usłyszała nagle gdzieś nad swoją głową. – Pójdzie pani ze mną.

Oderwała się od siostry.

– Ale... – zająknęła się. – Dlaczego niby?

– Komisarz panią prosi.

Ludmiła kiwnęła głową.

– Idź – powiedziała płaczliwie. – Znajdź chłopców.



„Znajdź chłopców”. Słowa Ludmiły długo brzęczały jej w głowie, gdy przedzierała się z policjantem przez las. W końcu dotarli do miejsca otoczonego policyjną taśmą. Teren był stromy, leśne poszycie śliskie. Łatwo było się poślizgnąć i wywrócić.

Przeszli jeszcze kilka metrów wzdłuż odgrodzonego terenu i Dobrosława zauważyła rozłożony namiot policyjny. Obok kręciło się parę osób w cywilnych strojach, a wśród nich komisarz Czarnecki. Policjant krążył tam i z powrotem, rozmawiając z kimś przez komórkę, i żywo przy tym gestykulował.

Młody funkcjonariusz, który przyprowadził ją na miejsce, podniósł nieco taśmę i gestem pokazał, by poszła w jego ślady. Liście szeleściły pod ich stopami, a Dobrosława miała wrażenie, jakby wszyscy na chwilę zamarli i przyglądali się im z zaskoczeniem.

„Gęsty, ciemny las. Miejsce mogące dać ci pożywienie lub przynieść śmierć, jeśli dasz się zaskoczyć”, oderwana od rzeczywistości myśl przemknęła jej przez głowę i zaraz zniknęła, jak duch przeszłości. „W lesie można się ukryć, ale i łatwo zdradzić, jeżeli nie umiesz się po nim poruszać”. Pomyślała o najeźdźcach, szturmujących średniowieczną osadę, o ich koniach, tętentie kopyt na ściółce, który musiał zaalarmować mieszkańców. Pomyślała o ogniu, który ostatecznie strawił osadę, i popiele, który przykrył jej szczątki. Wszystko i tak na koniec trafiło do ziemi. Także srebrny skarb, który ktoś ukrył przed grabieżcami. Wydobyto go z niej dopiero po wielu, wielu latach. Bo to, co w końcu trafi do ziemi, kiedyś zostanie z niej też wydobyte.

Czarnecki zauważył ich w końcu i nagłym ruchem ręki pokazał, by podeszli. Chwilę jeszcze maglował kogoś przez telefon, ale z urywanych słów ciężko było zrozumieć, o co dokładnie chodzi. Nareszcie jednak zakończył rozmowę.

– Dziękuję bardzo, że zgodziła się pani tu zjawić – powiedział, chowając komórkę do marynarki.

„Nie wydaje mi się, żebym miała jakieś inne wyjście” – miała na końcu języka, jednak zmilczała. To nie był czas i miejsce.

– Znaleziona gra prawdopodobnie należy do jednego z pani siostrzeńców. Psy są już w drodze, liczymy na to, że podejmą trop. Nim jednak przyjadą, mamy jeszcze trochę czasu, więc... – westchnął ciężko i urwał na moment.

Dobrosława wpatrywała się w niego, słuchając uważnie. Nie była pewna, czego właściwie komisarz od niej oczekuje. Towarzystwa? Miłej pogawędki? Bez jaj. Nie Czarnecki.

Policjant odchrząknął, zmieszany.

– Właściwie to początkowo chciałem, by poopowiadała mi pani trochę więcej o tej okolicy, o tych całych Słowianach, lunulach, miejscach, w których bawiliście się jako dzieci. Teraz jednak... teraz jednak powiedzmy, że wszystko się pozmieniało. – Poczerwieniał nagle i zatchnęło go, jakby każde kolejne słowo przechodziło mu z trudem. Jak nie on.

Nie odrywała od niego wzroku.

– Problem w tym, że znaleźliśmy kolejne szczątki.



– Szczątki? – szepnęła słabo Dobrosława. W jednej chwili zrobiła się potwornie blada. – Czy chce pan powiedzieć, że...?

– Nie, absolutnie nie. To z pewnością nie chłopcy – zaprzeczył od razu i odruchowo położył dłoń na jej ramieniu, chcąc ją uspokoić. Ledwie jednak to zrobił, poczuł, jakby prąd zaczął przepływać przez jego rękę po dotyku jej ciała, choć przecież miała na sobie sweter. Cienki, bo cienki, ale sweter. Momentalnie cofnął dłoń i w tej samej chwili zrozumiał, jak nienaturalnie musiało to wyglądać. Cholerne odruchy! Znow to się z nim działo, stary koń zgłupiał zupełnie i zachowywał się jak nastoletni szczeniak. Przecież miał przestać! Ona mogła mu zagrażać, nie powinien darzyć jej żadnym uczuciem, bo straci czujność.

– Całe szczęście – odetchnęła z wyraźną ulgą, zupełnie nie zauważając jego durnych rozterek. – W takim razie jednak kto? Zofia? – Popatrzyła na niego przenikliwie.

Znow poczuł, że robi mu się gorąco.

– Nie ustaliliśmy jeszcze tożsamości, ale to z pewnością mężczyzna.

– Mężczyzna? Przecież... – zaczęła, po czym zawahała się na moment. – Dlaczego Renata miałaby mścić się na jakimś mężczyźnie?

Żeby on to wiedział! Tymczasem kobieta patrzyła na niego tak, jakby był alfą i omegą.

– Nie wiem. Może powinna pani zapytać siostry? To może być nowy ślad.

„Albo i nie”, dokończył sam sobie w myślach. Na oko, zgodnie z jego wieloletnim doświadczeniem, mógł stwierdzić, że musiały leżeć tu już od ponad tygodnia, biorąc pod uwagę panujące warunki i to, że jednak była jesień, nie lato. Kimkolwiek była ofiara, zginęła jeszcze przed Karoliną Karaś, jednak aby wyciągnąć dokładniejsze wnioski, musieli poczekać na przyjazd medyka, a potem na sekcję. Jednego był najzupełniej pewien. Tylko co do jednego Czarnecki nie miał żadnych wątpliwości: nie był to zgon naturalny. Strzał z bliskiej odległości, w głowę. Bardzo nieprzyjemny widok, oderwane pół twarzy, jakby i bez tego nie mieli problemu z identyfikacją. Szukali łuski, a najlepiej i pocisku, choć przypominało to szukanie igły w stogu siana. Zwłoki były zamaskowane listowiem, w naturalnym, płytkim dole. Gdyby poszukiwacze nie znaleźli gry, zapewne natknęliby się na nie kilka chwil później.

Dziękował Bogu, że tak się nie stało. Mogli na razie zachować to w tajemnicy. Nawet nie chciał wiedzieć, co działałoby się w prasie, gdyby to do nich dotarło. I tak już im się obrywało, że nie potrafią znaleźć chłopców, tak jakby to było takie proste.

Detektywka milczała. Przynajmniej przeniosła wzrok na las, jakby to w nim szukała odpowiedzi. Tak, las zdecydowanie wiedział więcej niż Czarnecki. Tylko że jako świadek był kompletnie bezużyteczny

– A może ktoś zaginął w ostatnim czasie w okolicy? – podsunął.

Pokręciła powoli głową.

– Nic na ten temat nie słyszałam. Zresztą, czy gdyby tak było, nie powinniście mieć zgłoszenia w swoim systemie?

Przeszły go ciarki, jakby co najmniej ona była jego przełożoną i właśnie go o coś obsztorcowywała. A przecież od razu sprawdzili, że w systemie nie ma żadnych zgłoszonych zaginięć. Tylko czy to mogło być w ogóle miarodajne? Prawdopodobnie chodziło o samodzielnego, dorosłego mężczyznę. Takie zaginięcia zawsze rejestrowali ze znacznym poślizgiem, szczególnie jeżeli chodziło o osoby samotne, bez dzieci, żony, rodziny. Kumple zazwyczaj uznawali, że wyjechał bez zapowiedzi, albo w ogóle zauważali zaginięcie dopiero, gdy nie mogli skontaktować się przez kilka dni. I owszem, takich zaginięć mieli kilka, choć nie bezpośrednio z Trzciny. Wszystkie sprawy były jednak sprzed minimum dwóch miesięcy.

– Chyba że...? – zaczęła ponownie, nie czekając na odpowiedź, więc najwyraźniej było to pytanie retoryczne, i tak samo gwałtownie urwała. Spojrzał na nią z wyczekiwaniem. – Ojciec – stwierdziła, jakby rozumiało się to samo przez się.

– Ojciec?

– Ten, który je zostawił. To jedyny mężczyzna, który przychodzi mi w tej chwili do głowy, na którym Renata mogłaby chcieć się zemścić.

– Ojciec – powtórzył z namysłem. – W sumie... jest to w jakiś sposób możliwe. Wie pani może o nim coś więcej?

Dobrosława powoli skinęła głową. A potem zaczęła opowiadać dokładnie to, co usłyszała ledwie chwilę wcześniej u Mikołajewskiej.



O dzisiejszych dzieciach można powiedzieć wiele, że uzależnione od elektroniki, że nie takie samodzielne jak te z naszych czasów, że delikatne, wyszczekane, roszczeniowe, ale nie że – głupie. Gdybym ja

w tym wieku miała przynajmniej połowę ich wiedzy o czyhających wokół zagrożeniach oraz własnych prawach, zdecydowanie mogłabym inaczej pokierować swoimi losami.

Gnojki Ludmiły codziennie kończyły lekcje o podobnych godzinach i codziennie wraz ze swoją babcią jechały ze szkoły do domu Machniewiczów. Później razem z Ludmiłą wracali do siebie, czasem wychodzili na zewnątrz, ale tylko przed ogrodzony dom. Właściwie to byłam bez szans. Przy takim trybie mogłabym czekać miesiącami, nim uda mi się zastać ich samych, bez świadków.

W zasadzie mogłam czekać i latami, tyle że w głowie wciąż tkwiła mi świadomość, że odkryto już zwłoki Karoliny. Co prawda nie sądziłam, by tak łatwo do mnie dotarli, ale wiedziałam, że takie wydarzenie wzmoże czujność we wsi. Ktoś w końcu mógł zauważyć, że kręcę się po okolicy.

Był jednak jeden mały promyczek nadziei. Co jakiś czas chłopcy przed powrotem do domu wychodzili na szkolne boisko. Zazwyczaj z kolegami i jednak była to szkoła... ale nie miałam innego punktu zaczepienia. Musiałam coś wymyślić.

Choć nie miałam żadnego planu, nie przestawałam za nimi jeździć. Sprawdzałam, czy ich rozkład dnia nie ulegnie jakiejś zmianie, by ułatwić mi sprawę. Nic takiego się nie zdarzyło. Aż w końcu zadziało się coś, co całkiem zbiło mnie z tropu.

Tego dnia gówniaki wyszły ze szkoły i zamiast wpakować się do samochodu babci, ruszyły drogą w górę, w stronę centrum wsi. Jak gdyby nigdy nic. Patrzyłam na to i nie mogłam uwierzyć. Wyglądało na to, że po prostu idą na piechotę do domu. Taka okazja mogła się więcej nie powtórzyć. To nic, że wciąż nie miałam planu. Czy musiałam go w sumie mieć? W okolicy dość było miejsc, w których nie uświadczysz żywego ducha.

Odczekałam chwilę, by zdążyli przejść najgęstsze zabudowania, i ruszyłam za nimi, powoli, góra trzydzieści na godzinę.

Udało mi się to wyliczyć, prawie że idealnie, więc zauważyłam ich w miejscu, gdzie domy były już nieco oddalone od drogi. Zwolniłam prawie do zera. Byli jak dobrze wyszkolone psy, bo zaraz zeszli na skraj jezdni. Ja jednak zatrzymałam się przy nich i odsunęłam szybę.

– Przepraszam, chłopcy, chyba pobłądziłam. Dawno mnie w okolicy nie było... – Zrobiłam strapioną minę i uśmiechnęłam się nieśmiało. – Szukam dawnej koleżanki, Ludmiły Machniewicz, teraz po mężu nazywa się Budziak. Wiecie może, gdzie mieszka? Albo znacie kogoś, kto mógłby to wiedzieć?

Szczeniaki jakby na komendę spojrzały na siebie.

– A dlaczego pani jej szuka? – spytał nieufnie jeden z nich. Nie potrafiłam ich od siebie odróżnić. Jak dwie krople wody. Wcale nie byłam jednak pewna, czy są podobni do matki.

– Tak jak mówię, jestem jej starą koleżanką i właśnie wróciłam z zagranicy. Chciałam jej zrobić niespodziankę. – Wykonałam nieokreślony ruch w kierunku bagażnika, by pomyśleli, że może mam tam jakieś prezenty, skoro niby jadę w gości.

Wyraźnie ich to zaintrygowało, bo zbliżyli się do samochodu.

– Mama nic nie wspominała... – wyrwało się jednemu. Brat zgromił go wzrokiem, ale było już za późno.

– Ludmiła to wasza mama? Jak cudownie się składa! – zaszczebiotałam. – W takim razie, wsiadajcie, nie będziecie szli taki kawał. Bo to daleko, prawda? – Otworzyłam drzwi od ich strony. – Wskakujcie!

Ten, który chlapnął jęzorem, że Ludmiła to ich matka, chwycił za drzwi i pociągnął je do siebie. Jedną nogą był już w środku.

– Nie tak daleko – burknął ten drugi. – Tylko kilka minut. Ej, co robisz! Mama mówiła, żeby nie wsiadać nigdy z nieznajomymi do auta! – wrzasnął, łapiąc brata za bluzę. Ten był już jednak w środku i wgramolił się na tylne siedzenie.

– Przecież ta pani to znajoma mamy. Siadaj, nie gadaj!

– Debil! Skąd to wiesz? – Pochylił się w stronę brata, tułowiem będąc już w aucie. Poczzerwieniał ze złości. – Wysiadaj! Idziemy z buta!

Poczułam, że to ostatnia szansa i zaraz albo zaczną się kłócić i ktoś nas w końcu zauważy, albo ten głupszy wysiądzie. Raczej nie sądziłam, by ten drugi wsiadł.

Złapałam mocno za jego ramiona i pociągnęłam do auta. Miałam przewagę, był zajęty kłótnią z bratem. Wpadł do środka, uderzając czołem o drążek hamulca ręcznego. Nacisnęłam centralny zamek. Chłopak, jęcząc z bólu, podniósł się. Pomiędzy palcami przytkniętymi do czoła miał krew. Był oszołomiony, ale nie stracił przytomności, więc na wszelki wypadek poczęstowałam go zastrzykiem ze środków uspokajających, który został mi jeszcze po Karolinie. Tego drugiego też, choć siedział wystraszony jak trusia, zupełnie się nie odzywając. Chyba przestał już wierzyć w bajeczkę o dobrej koleżance mamusi.

– Słusznie mama mówiła: nie wsiadajcie do auta nieznajomego – powiedziałam zimno, chowając strzykawkę i wciskając pedał gazu.



Ujadanie psów odbijało się echem pomiędzy drzewami. Owczarek niemiecki szedł z nosem blisko ziemi, zupełnie nie zwracając uwagi na głosy swoich pobratymców, pilnujących domów przy budach. Trop był wyraźny i pies zmierzał pewnie w górę lasu. Dopiero po prawie trzystu metrach zaczął bezradnie krążyć w kółko. Koniec.

Cofnęli się o kilka metrów, gdzie ślad jeszcze przed chwilą był wyraźny.

– Szukaj, Rami, szukaj – wydał komendę przewodnik.

Owczarek ponownie złapał trop i znów doszedł do tego samego punktu.

– Co się dzieje? – spytał Czarnecki, obserwując tropicieli.

– Tu się urywa. Stąd musiał ją ktoś zabrać.

Czarnecki z powątpiewaniem rozejrzał się wokół. Las, drzewa, ostry spad stoku. Jak?

– Są ślady quada lub motoru? – spytała Dobrosława, jakby czytając w jego myślach.

Przewodnik psa pokręcił głową.

– Nie ma. Ale poszycie leśne jest suche. Dawno nie padało.

Miał rację. Opadłe liście i gałęzie były suche jak wiór.

– Czyli poszukiwaną ktoś dalej zabrał albo rozplynęła się w powietrzu. W takim razie musielibyśmy zakładać, że ktoś z nią współpracuje – podsumował komisarz.

– A wcześniej nie zakładaliście takiej opcji? – zdziwiła się Dobrosława.

Poczuł się jak przyłapany na błędzie w raporcie.

– Z tego, co udało nam się ustalić, kobieta nie miała żadnej bliskiej osoby w okolicy i z nikim nie utrzymywała kontaktu.

– Oprócz Barbary Mikołajewskiej.

Do jasnej cholery, zaczynało go już denerwować to wtrącanie się! W końcu jednak sam ją tu zaprosił.

– Sprawdźmy w takim razie, skąd przyszła – zwrócił się do policjanta z psem. – Może to nam coś podpowie.

Ruszyli z powrotem w dół zbocza. Dobrosława chwilę jeszcze przyglądała się roslym pniom drzew, po czym dogoniła ich szybkim krokiem. Minęli miejsce, gdzie znaleziono ludzkie szczątki nieznanego mężczyzny, minęli miejsce, gdzie Renacie musiała wypaść gra bliźniaków. Pies węszył między szeleszczącymi liśćmi i pewnie prowadził po tropie. Zamiast jednak iść dalej, tak jak przyszli, zwierzę ruszyło bardziej na skos. Dobrochna zaraz zorientowała się, że wyjdą kawałek dalej, bardziej w stronę Jasła.

Owczarek zaczął popiskiwać i przez chwilę nerwowo przykładał i odrywał nos od ziemi.

– Tropy się mieszają – wyjaśnił przewodnik. – Najwyraźniej szła tędy kilkukrotnie.

W końcu pies uspokoił się i znów złapał właściwy trop. Las przerzedził się. Zobaczyli koniec drzew, pole uprawne i szosę krajowej dwudziestki ósemki. Rami z panem przecięli asfalt i żwawo pobiegli na niewielki parking przy zjeździe, na którym stały wypolerowane samochody. Każdy z nich miał nie tylko niemieckie blachy, ale i kartkę z wielkim napisem „SPRZEDAM”.

Pies zatrzymał się przy czarnym audi i usiadł.

Czarnecki wziął głęboki wdech. Tyle szukali, tyle miejsc przeczesali.

– Cóż, komisarzu. Najciemniej zawsze pod latarnią – podsumowała ponuro Dobrosława.

Nie mógł się z nią nie zgodzić.



Nigdy nie sądziłam, że ósmiolatek jest taki ciężki, i to nawet jeżeli wyglądał jak te chuchra Ludmiły. A ja miałam ich dwóch. Mimo że podjechałam najbliżej wejścia, jak się dało, nie mogłam ryzykować, że ktoś mnie zauważy. Za daleko zabrnęłam, by mieli mnie złapać teraz, na sam koniec.

Zostawiłam ich ukrytych w lesie, a sama odstawiłam samochód na parking. Nie obudzili się przez ten czas, nie było takiej możliwości. Pozostawało zaciągnąć ich na miejsce i byłam w domu.

Droga nie była daleka, ale wzgórze strome i mocno zalesione. Kilkukrotnie potknęłam się o wystające korzenie. Przez chwilę nawet przeszło mi przez myśl, by zakończyć to błyskawicznie, nie bawić się w żadne mordy rytualne, tylko szybka kulka w łeb i po sprawie...

Odruchowo spojrzałam w stronę dołu znajdującego się na zboczu. Jeszcze tam leżał, bo gdyby było inaczej, z pewnością coś już bym wiedziała. Tu wieści szybko się rozchodzą.

Niektórzy jednak nie zasługiwali na szybką śmierć. Niektórzy powinni długo tkwić w niepewności, nim dopadnie ich to, co najokropniejsze.

Tak jak na przykład Ludmiła.

Lista osób była długa. Jednak te trzy wysuwały się na czoło.

Karolina. Bo gdyby nie Karolina, nie byłoby mnie tutaj.

Ludmiła. Gdyby nie Ludmiła, wszystko mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Daria. Gdyby nie Daria... kto wie, co by było, gdyby Daria nie postąpiła, tak jak postąpiła. Ale los sam wymierzył Darii karę. Nie było już jak na niej się mścić.

Malwina miała rację. Wszystkie trzy zasługiwały na karę. Nie było dla nich żadnego usprawiedliwienia.

Sama nie mogłam uwierzyć, gdy któregoś dnia zobaczyłam w burdelu Malwinę. W pierwszym odruchu jej nie poznałam, ot kolejna Polka, której nie wyszło za zachodnią granicą. Siedziała na wysokim stołku barowym i ze znudzoną miną rozglądała się po sali. Jak weteranka. Miała długie jasne włosy, mocno umalowane oczy i jakieś znajome rysy, co złożyłam na karb tego, że po prostu wydawała mi się podobna do kogoś z mojego poprzedniego życia.

Już miałam odwrócić wzrok i zająć się nielicznymi mężczyznami, którzy o tej porze szukali uciech, gdy nasz wzrok się spotkał. Nowej dziewczynie od razu zapaliły się iskierki w oczach, zeskoczyła zwinnie ze stołka i podeszła do mnie kocim krokiem.

– To ty? – wychrypiła cicho. – Nie wierzę!

Przyglądałam się jej w milczeniu przez dłuższą chwilę, próbując dopasować znajomą twarz do nazwiska. Dopiero jednak, gdy zrozumiałam, kto tak naprawdę przede mną stoi, zaniemówiłam.

– Nie... – zająknęłam się. – Jak?

Dziewczyna westchnęła ciężko, wydymając kształtne wargi.

– Naprawdę długa historia. Z pewnością nie na teraz, bo zaraz ktoś się nami zainteresuje, że tak sobie gawędzimy, zamiast pracować – szepnęła cicho, nachylając się nade mną, po czym złapała mnie za łokieć. – Przyjdź do mnie rano do pokoju. Na lewo od grubej Berty, wiesz której?

– Wiem – odszepnęłam. Wszyscy znali grubą Bertę, która z wyglądu przypominała anorektyczkę. Co ciekawe, apetyt miała zazwyczaj za dwoje.

Następnego dnia rano poznałam całą historię zniknięcia sióstr Myśliwiec i nie mogłam w nią uwierzyć. Wszystko było tak banalne... jak scenariusz z tandetnego filmu. On i ona. On, starszy, przystojny, bogaty, ona młoda trzpiotka zapatrzona w niego jak w obrazek. Tyle że on wcale nie miał dobrych intencji i od samego początku zamierzał wykorzystać naiwność młodej dziewczyny. Jakbym widziała siebie, jakby ktoś opowiadał mi moją własną historię. Choć musiałam przyznać, historia dawnej znajomej była o wiele bardziej mroczna.

On nie tylko był przystojny i bogaty, ale i miał niemiecki paszport i usilnie namawiał ją na wyjazd. Miał pieniądze i znajomości, a jego ukochana mogła za granicą zrobić karierę w modelingu. To były lata dziewięćdziesiąte, granice były jeszcze pozamykane, taki fart nie zdarzał się co dzień. Stwierdziła, że podejmie ryzyko, ucieknie z domu, zacznie światowe życie. Z rodzicami skontaktuje się, gdy już coś osiągnie, a jej twarz będzie zdobić okładki poczytnych magazynów. Tylko wtedy, gdy jej sukces będzie niezaprzeczalny, zrozumieją, że podjęła dobrą decyzję. W tej chwili nigdy by jej na to nie pozwolili, a wręcz byliby gotowi wywieźć ją do ciotki na drugi koniec Polski i zamknąć w domu na cztery spusty.

Była zdecydowana. Wyjazd zaplanowany był za kilka dni. I wtedy któregoś dnia usłyszała, jak jej najlepsza przyjaciółka Karolina rozmawia z Andreasem o innej dziewczynie.

– Długie nogi, duże cycki, brunetka. Spodoba ci się – zachwalała ją jak jakąś krowę na targu. Usłyszała krótkie chrapliwe „no pewnie” i śmiech. Poczula się, jakby ktoś jej dał w twarz. Dlaczego ona to robi? Przecież sama ich ze sobą poznała i co teraz? Andreas nic nie mówił o odwołaniu wyjazdu. Czy to miał być tylko niewinny skok w bok? Czy chodziło o coś całkiem innego? Może werbował jakąś kolejną modelkę? Przecież w końcu na tym zarabiał!

Spytała Karoliny, ale ta zaprzeczyła. Twierdziła, że w ogóle nie rozmawiała z Andreasem, lecz z jego kolegą. Ale przecież ona była pewna, słyszała jego głos, poznałaby go na końcu świata!

Na wszelki wypadek postanowiła odwołać chwilowo wyjazd i zobaczyć, jak mężczyzna się zachowa. Umówili się na spotkanie w środę, siedemnastego. To właśnie wtedy miała go poinformować o swojej decyzji.

Malwina przygotowała sobie dobre alibi, że niby idzie się uczyć do koleżanki, gdy w tym samym czasie spotkała się z Andreasem na skraju lasu na wałach, w miejscu, gdzie była mała szansa, że ktokolwiek ich zobaczy. Później dojechała Karolina z chłopakami i stało się. Gdy tylko powiedziała, że nie wyjeżdża, rozpętało się piekło. Już wtedy zrozumiała, że coś tu nie gra, a wielka miłość jest tylko wielkim przekrętem.

I wtedy nagle nie wiadomo skąd pojawiła się Daria. Początkowo pomyślała, że siostra jest jej wybawieniem, zaraz jednak okazało się, że sama przekracza bramę piekła. Oprawcy mieli już dwie ofiary, nie jedną.

Chciało jej się wrzeszczeć, że zamiast pobiec po kogoś, sama wpakowała się w kłopoty, że mając trzynaście lat, już powinna wiedzieć, co robić, gdy Daria wsadziła jej ukradkiem do ręki niewielki metalowy przedmiot i szepnęła: „Ona tu jest”. Nowa nadzieja wstąpiła w serce i dała siłę do walki. Nie były tu same. Ktoś jeszcze wszystko widział.

A potem w trakcie szamotaniny Andreas udusił jej własną siostrę.

Pomoc nie przyszła. Następnego wieczoru była już za zachodnią granicą. Wrzucili ją do piwnicy i gwałcili co godzinę, mimo jej próśb i krzyków. Po tygodniu, gdy nie miała już czucia od pasa w dół, dali jej spokój, by jak oznajmili z rechem, „odpoczęła” i mogła zabrać się do pracy. Po poprzednim życiu został jej tylko niewielki metalowy przedmiot, który Daria wcisnęła jej przed swoją śmiercią do ręki. Mały wisiołek w kształcie półksiężyca. Musiało minąć kilka miesięcy, by

zrozumiała, do kogo należał, i by dotarło do niej, kto był tego wieczoru na wałach i nie wezwał pomocy. Kto, jak dowiedziała się ode mnie, nie zrobił nic, nawet gdy w leśnym dole znaleziono ciało jej najbliższej przyjaciółki.

Ludmiła Machniewicz.

Płakałyśmy razem, obejmując się ramionami do momentu, gdy przyszła godzina, by pojawić się przy barze, by zapominając o tym, kim byłyśmy wcześniej, pozbywać się własnych ciał i oddawać je obcym facetom. Obie znalazłyśmy się w punkcie, z którego nie było już powrotu.

Malwina nie wiedziała jednak i tak najgorszego: że Andreasowi wystawił ją nie kto inny, tylko Karolina, jej najlepsza przyjaciółka. Karolina była naganiaczką, która za odpowiednią „prowizję” wystawiała Niemcowi i jego koleżkom ładne i naiwne dziewczyny, które kuszone obietnicą pracy za granicą lądowały w niemieckich burdelach. To stąd miała pieniądze na modne ciuchy, na swoje zachcianki, papierosy czy wypasioną wieżę.

Byłam w szoku, że Malwinie udało się przetrwać tutaj tyle lat. Trzymana pod kluczem, w końcu pogodziła się ze swoim losem i chyba tylko dlatego przeżyła. Przestała walczyć, nie próbowała uciekać, więc i jej nadzorcy nie katowali jej, by nie zostawić na ciele siniaków. Zmieniała miejscówki, zmieniała alfonsów, robiła wszystko, co jej kazali, aż trafiła tutaj. Aż nagle któregoś wieczoru zobaczyła zjawę z czasów, o których zdawało się, że już w ogóle nie pamięta.

Chyba właśnie przez to, przez świadomość, że jej dawne życie istniało naprawdę, a nie było jedynie urojonym snem, postanowiła podjąć ostatnią próbę ucieczki. Tym razem naprawdę ostatnią. Któregoś ranka, gdy wszyscy jeszcze spali, próbowała wymknąć się tylnym wyjściem. Wcześniej zabrała cały nocny utarg, trzymany po prostu

w jednym z pokojów. Nikt nie sądził, że któraś z dziewczyn okaże się tak bezczelna.

Nie zdążyła jednak przejść dwóch przecznic, gdy ochroniarze zorientowali się, co się stało, i ruszyli za nią. Nie wiem, czy minęło pół godziny, gdy jak worek wrzucili ją z powrotem na korytarz. Pieniądze rozsypały się po całym pomieszczeniu, podczas gdy oni kopali ją ciężkimi buciorami. Słyszałam pękające żebra, słyszałam jej zwierzęcy pisk.

Zakatowali ją na naszych oczach jak psa, dla przykładu, by nigdy żadna dziewczyna nie ważyła się iść w jej ślady. Patrzyłam na jej mękę i nic nie mogłam zrobić. Udało jej się przetrwać tyle lat, by w końcu dopadł ją los. Los, który – jak wszyscy myśleli – dopadł ją już dawno. W rękę ścisnęłam metalowy półksiężyc, półksiężyc, który należał do Ludmiły. Już wtedy buzowała we mnie chęć zemsty. Za nią, za mnie, na wszystkich, którzy nas kiedykolwiek zawiedli, na wszystkich, którzy nie przyszli nam z pomocą. Nie sądziłam, żebym kiedykolwiek miała taką okazję, ale co wieczór śniłam o słodkiej zemście.

A potem zjawił się Marcus i mnie uratował. Na wiele lat chęć zemsty została przysypana miłością. Przysypana, lecz nie zakopana głęboko pod ziemią. Śmierć osoby, która mnie uratowała, sprawiła, że znów przebiła się przez ziemię, odrodziła niczym Feniks z popiołów, jak nasiono, które jest w stanie przeleżeć wiele, wiele lat, by w końcu którejś wiosny ruszyć do życia. Byłam dokładnie tak samo owładnięta jedną myślą, ale już nie tą, żeby przeżyć, przetrwać za wszelką cenę.

Ukarać. Ukarać wszystkich winnych. Za mnie, za moją krzywdę. Za Malwinę.

Musiałam się zemścić – i za siebie, i za nią. Byłam jej to poniekąd winna.

Wrzuciłam więc dzieciaki w ciemną czeluść góry, doskonale wiedząc, że to najlepsze, co mogę teraz dla niej zrobić.

– Panie komisarzu, samochód zbadany. Ustawiamy wartę?

Czarnecki spojrział z ukosa na stojącą obok detektywkę, po czym przeniósł znów wzrok na młodego posterunkowego.

– Nie sędzę, by była taka potrzeba. Ona już tu nie wróci, wie, że jej szukamy. – Zawiesił głos, czekając, czy Dobrosława zaprzeczy. Nie zrobiła tego. Widać myślała tak samo. – Przekieruj ludzi do poszukiwań. Czuję, że zostało nam mało czasu. A za godzinę zapadnie zmrok.

Policjant zasalutował, po czym pośpiesznie odszedł. Dobrochna odprowadziła go wzrokiem. Dałby wiele za to, by wiedzieć, o czym myśli. Towarzyszyła mu podczas przesłuchania mieszkańców okolicznych domów, niestety było dokładnie tak, jak myślał. „Za dużo aut tutaj jeździ. Na parkingu też: jeden wjeżdża, drugi wyjeżdża, przyjeżdżają kupcy, oglądają, wyjeżdżają na jazdę próbną, wracają. Poza tym tu samochody cały czas jeżdżą. Dzień i noc. Przestaliśmy już zwracać uwagę”. Musiał przyznać, że mieli rację. Stali przy ruchliwej szosie i samochody jeździły cały czas, to w jedną, to w drugą stronę. Ktoś z pewnością musiał widzieć Renatę, tyle że ten ktoś znajdował się już zapewne daleko, może w Nowym Sączu, może w Katowicach, może w Rzeszowie, może pod Przemyślem, a może jeszcze dalej. Jeżeli nie targała stąd nieprzytomnych chłopców, a raczej tego nie zrobiła – skoro nie mieli takich zgłoszeń – nikt pewnie nawet nie zwrócił na nią uwagi. Zresztą musiał przyznać, że kobieta była inteligentna i to, co początkowo wziął za amatorszczyznę – na przykład niemieckie tablice rejestracyjne – było dokładnie wkalkulowane w plan.

Kolejny samochód śmignął koło nich, unosząc jedynie drobny pył na asfalcie.

– Ten las – odezwała się nagle Dobrosława. – Ten las jest kluczem.

Spojrzał na nią, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli. Kobieta wpatrywała się we wznoszące się przed nimi pasmo wzgórz, które biegło równoległe do drogi. To właśnie tam, na szczycie tego wzgórza za lasem, zamordowano dwadzieścia lat temu Darię Myśliwiec. To tam zaginęła Malwina. I to tam teraz zainscenizowano zabójstwo Karoliny Karaś, tam u podnóża znaleziono męskie szczątki.

– Co ma pani na myśli?

Dobrochna nie spuszczała wzroku z porośniętej lasem góry. Wyglądała na bardzo zmęczoną, do tego stopnia, że przez chwilę przeszło mu przez myśl, że może coś jej się ubzdurało i zaczyna bredzić w malignie.

– Ten las jest kluczem – powtórzyła spokojnie. – W nim coś jest.

Już miał jej zaproponować, że odwiezie ją do domu, i zasugerować konieczność odpoczynku, gdy detektywka w końcu odwróciła wzrok od wzgórz i spojrzała na niego. W ostatniej chwili ugryzł się w język. Spojrzenie miała wyjątkowo trzeźwe, a w nim jakiś dziwny błysk, który sprawił, że policjant pomyślał, iż ona może wiedzieć coś więcej.

– Niech sam pan pomyśli: przyjechała na parking, zostawiła samochód, poszła do lasu, tylko po to, by ktoś ją stamtąd zabrał. Dlaczego nie pojechała sama? Dlaczego nie umówiła się z tym kimś w neutralnym miejscu, ryzykując, że ktoś ją w tym lesie zobaczy, że ktoś zauważy wjeżdżający quad czy motor. Dlaczego musiała znaleźć się akurat w tym lesie?

Patrzył na nią i dopiero po chwili zrozumiał.

– Sądzi pani, że nie przypadkiem umówili się akurat tam?

– Sądzę, że ona z nikim się nie umawiała.

Teraz to już całkiem zgłupiał. Powinien jednak zaproponować jej odwiezienie do domu.

– Skoro nie, to co się z nią stało? Zniknęła?

Dobrosława westchnęła cicho.

– Mieszkańcy Trzciny wiedzieli od dawna, że na tym wzgórzu znajdowała się jakaś osada lub zamek. Już nawet nie chodzi o legendy, które wszyscy powtarzali z pokolenia na pokolenie, bo takich legend w okolicy jest dość. Ale w tej ziemi cały czas coś znajdowano, a to jakieś stare skorupy, a to metalowe przedmioty, o których nikt nic nie wiedział, oprócz tego, że musiały być bardzo stare. Za każdym razem, gdy ktoś coś kopał, w ziemi znajdowały się różne rzeczy. Ale nie tylko. W tej górze pełno było różnych jam... – Czarnecki słuchał cierpliwie, powoli rozumiejąc, do czego zmierza kobieta. – Te jamy były różne, większe, mniejsze. Czasem wyglądały jak nory wygrzebane przez zwierzęta, czasem zdawały się wykopane ludzką ręką. Ludzie niekiedy trzymali w nich ziemniaki, gdy nie mieli już u siebie miejsca, tak jak w tunelu kolejowym w Stępinie. – Uśmiechnęła się.

Komisarz kiwnął głową. Wiedział, o czym mówi. Kompleks schronów kolejowych w Stępinie, gdzie doszło do spotkania Hitlera z Mussolinim w czterdziestym pierwszym roku, zdecydowanie był idealnym miejscem do przechowywania żywności. Wilgotno, ciemno, chłodno nawet w lecie, piwnica w rozmiarze XXL dostępna dla wszystkich mieszkańców.

– W każdym razie wiele osób mówiło, że to pozostałości po podziemnych tunelach. Według niektórych było to ukryte podziemne wyjście z grodziska na wypadek oblężenia, według innych tunele ciągnęły się aż do Biecza, kolejni mówili, że biegną aż z góry Liwocz, albo i do jednej z jaskiń pod Cergową, zahaczając o Trzciny. Każdy jednak wiedział, że w ziemi coś było, jakieś przejścia wykopane ludzką ręką.

– Prowadzono przecież tu badania archeologiczne i nic nie odkryto? – upewnił się.

Pokręciła głową.

– Nie. Ale Renata lubiła kręcić się po okolicy, znikać na całe dni. Nie jest powiedziane, że nie znalazła tutaj jakiejś piwnicy. Wszystkie miejsca, które znała Ludmiła, już sprawdziliśmy, co nie wyklucza, że są takie, o których wiedziała tylko ona.

Czarnecki popatrzył z powątpiewaniem na wznoszącą się przed nimi górę.

– I myśli pani, że naukowcy przez tyle lat nie odkryli tych tuneli, a my teraz wejdziemy z miejsca i ot tak znajdziemy je od ręki?

Uśmiechnęła się szelmowsko, tak że przez chwilę wydawało mu się, że wręcz z niego pokpiwa.

– Naukowcy szukali na ślepo. My dzięki psu wiemy dokładnie, w którym miejscu zniknęła Renata.

Uniósł brwi, przyglądając się wzniesieniu. Poczuł się, jakby co najmniej miał szukać zaginionej Arki Przymierza, a nie dziury w ziemi. A on nigdy nie marzył o tym, by być Indianą Jonesem.



Wilgotny zapach ziemi wkręcał się w nozdrza, zdawał się osiadać na ubraniach i skórze, przenikać przez tkanki i wnikać w ich głąb. „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” – dźwięczały jej w głowie słowa proboszcza. Kiedyś, gdy jeszcze chodziła do kościoła, przerażała ją ta wizja: martwe ciało przywalone gliną, zjadane przez robaki. Poczerniałe, śmierdzące jak gnijący ziemniak zapomniany po wykopkach na kartoflisku. Potem zaczęła pić, więc kościół zszedł na dalszy plan, teraz zaś wiedziała już, że z losem nie można walczyć. Trzeba się z nim po prostu pogodzić.

Przejechała dłonią po szyi, chcąc odgonić łązące po niej robactwo, które już teraz chciało ją zezreć żywcem. Kościste palce kobiety zahaczyły o wystające z ziemi korzenie. Poczowała kilka grudek spadających na jej głowę. Piwniczne powietrze poruszyło się, wypełniając przestrzeń zapachem stęchlizny rozkładu. W porównaniu z tym miejscem piwnica była luksusem.

Przyszła jakiś czas później. Nie wiedziała, czy od czasu, gdy przyniosła jej miskę z jedzeniem i wodę, minęło kilkanaście godzin, czy dni. Zawiązała jej oczy przepaską i kazała iść. Zatrzymały się dopiero gdzieś w lesie na wałach, niedaleko, sądząc po odległości, lecz jej nogi już dawno odmawiały posłuszeństwa i utrudniały poruszanie. Znała jednak ten las jak własną kieszeń. Tak samo jak piwnicę Władka, gdzie przecież trzymali upędzony bimber i wino. Teraz jednak zupełnie nie wiedziała, gdzie jest.

Z ciemności dobiegł zduszony szloch, który po chwili przeszedł w skomlenie.

– Cicho tam, cicho... – mruknęła uspokajająco.

Nie wiedziała, od jak dawna ma towarzystwo. Gdy tamta ściągnęła jej przepaskę, w środku było całkiem ciemno. Czas przestał mieć znaczenie. Po kilku godzinach, a może dniach coś skrzypnęło i nad nią otworzył się sufit, a do środka wpadł blady snop stłumionego światła. Odruchowo odsunęła się, na tyle, na ile pozwoliły jej skostniałe od zimna i choroby stawy. Słusznie: nagle cień przysłonił otwór i do środka z hukiem coś wpadło. Rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwi i znów zapadła ciemność.

Powoli doczołgała się do dziwnych przedmiotów i zaczęła je badać dłońmi po omacku. Miękkie, ciepłe, lekko kościste. Człowiek. Dokładniej: dziecko. Wrzuciła jej do towarzystwa dwoje dzieci. Cóż, pomyślała, co komu jest pisane...

Siedziała i czekała cierpliwie na to, co nieuniknione. Swoje przeżyła, w sumie nie chciała więcej. Inaczej niż te dzieciaki. Zaraz gdy ocknęli się, zaczęli piszczeć i skomleć, jak te szczeniaki, które ledwo z matki wyszły. Zaczęła z nimi rozmawiać, uspokajać, żeby trochę ucichli. Dowiedziała się, od kogo są, jak mają na imię. Znała ich matkę, z Renatką do szkoły chodziła. Z dobrej, uczonej rodziny. Cieszyła się, jak córka akurat z nią się zadawała, zawsze to trochę mądrości mogło na nią przejść. Nie wiedziała tylko, czemu byli winni – ona, Karolina tak. Ale oni?

To nie powinno tak wyglądać.

To już Władek był bardziej winien, bo gdy wtedy po zaginięciu dziewczyn Zofia zorientowała się, jaki był w tym udział Karoliny, wysłała go do lasu, by opóźnił znalezienie ewentualnych zwłok. I tak też zrobił, bo kto jak kto, ale Władek znał ten las jak własną kieszeń i od razu rozpoznał, w którym miejscu się coś zmieniło.

Władek jednak nie żył i nie mógł odpokutować. I nikt nie powinien tego robić za niego, a już szczególnie dzieci.

Pomyślała, że już ma na sumieniu przegrane życie swoich pociech i że nie musi doliczać do rachunku kolejnych, obcych.

Podniosła się na nogi. Kolana ugięły się i padła jak długa prosto w wilgotną glinę. Jeden z chłopców znów zaszlochał.

– Cicho, już cicho tam. Idę po pomoc, wytrwajcie – powiedziała; z trudem podnosząc się i przytrzymując się ściany, ruszyła w przeciwną stronę od wejścia. Jeżeli się nie myliła, musiało być tu drugie wyjście. Otworem w suficie nie daliby radę się wygrzebać, był za wysoko, więc była to jedyna szansa. – Nie wychodźcie i za żadne skarby nie dajcie się wyciągnąć na zewnątrz – powiedziała.

A to mogło nastąpić praktycznie w każdej chwili. Czuła w kościach, że koniec jest blisko.



Las znów okrążał go w szczelnym uścisku, dusił, nie pozwalając się wyrwać z objęć. Pnie stały na baczność, przypominając o tym, co było, i o tym, co może się zdarzyć, jeżeli cokolwiek wyjdzie kiedyś na jaw. Miał nadzieję, że tego nie doczeka. Prawda zawsze wychodziła na jaw, prędzej czy później. Po raz kolejny stawał się tego naocznym świadkiem.

Dobrosława zatrzymała się przy żółtej taśmie, wciąż okalającej teren.

– Wstęp wzbroniony. – Wysoki policjant w jednej chwili pojawił się przy nich.

Marcin machnął mu przed oczami legitymacją.

– Komisarz Czarnecki z wojewódzkiej. Zresztą... byliśmy tu niedawno. – Złośliwy ogień błysnął mu w oczach.

– Oczywiście, komisarzu. – Policjant się wyprostował. – Nie zwróciłem uwagi...

Miał na końcu języka zgryźliwy komentarz, ale w ostatniej chwili odpuścił. Musieli się spieszyć. Noc była blisko. Zamiast tego podniósł taśmę i przepuścił detektywkę na drugą stronę. Ruszyli w górę po zboczu. Szelest suchych liści wypełniał ciszę między nimi, a Marcinowi zdawało się, jakby ten dźwięk był jednak odgłosem listopadowego wiatru szumiącego w koronach.

Minęli techników kręcących się jeszcze w miejscu, gdzie odkryto szczątki. Wyżej, tam, gdzie ostatecznie urwał się trop, nie było już nikogo.

Stanęli na wypłaszczeniu, w miejscu, w którym pies zaczął się nerwowo kręcić.

– I co teraz? – spytał. Las wyglądał tu tak samo: grube pnie nasuwały się na nich, chcąc zamknąć w potrzasku. Zobaczył blask reflektorów, ciemne auto sunące po leśnym dukcie. Charakterystyczny odgłos uderzenia i młaśnięcia przeciął gęstwinię. Zamrugał kilkukrotnie. Znow był w lesie w Trzciniicy.

– Szukamy – powiedziała Dobrosława, klęcząc na ziemi i rozgarniając rękoma stertę opadłych liści. Po kilku minutach odsłoniła fragment brunatnej ziemi. Jej dłonie zanurzyły się ponownie w listowiu. – Jeżeli mamy rację, coś tu powinno być.

„Mamy rację”, powtórzył w myślach, zauważając, że używa liczby mnogiej. Czy jednak naprawdę mógł jej ufać? Czy rzeczywiście grali do jednej bramki? Może teraz, może w tej jednej sprawie. W każdej innej nie miałyby skrupułów, by wystawić go, jak ten pies ślady Renaty Karaś. Mimo to kucnął obok niej i zaczął odgarniać poszycie w drugą stronę. Dotąd tej dziewczyny nie myliło przecucie. Była dobra, musiał przyznać. Zbyt dobra. Tym bardziej powinien trzymać ją na dystans.

Przyglądał jej się spod oka, nie przestając grzebać w liściach. Czuł, że to, co robią, jest kompletnie bez sensu. Przynajmniej nikt ich nie widział, więc przynajmniej nie narażał się na głupie komentarze kolegów. Ten las był tylko lasem. Nie było w nim nic niezwykłego. Żadnych tajnych przejść, żadnych lochów, żadnych ukrytych komnat. Tylko las.

Już miał się jej zapytać, czy ma może jakiś inny pomysł albo czy może wie, kto jednak mógłby Renacie pomagać, gdy zauważył, że detektywka zamarła w pół ruchu. Uporczywie wpatrywała się w jakiś przedmiot znaleziony w ziemi.

– I? – zapytał niecierpliwie, idąc w jej stronę na kolanach. Jego kręgosłup nie pozwoliłby poderwać mu się na równe nogi, o czym doskonale wiedział.

Nie odezwała się ani słowem. Jak zahipnotyzowana patrzyła w dół, pomiędzy liście, wymieszane ze ściółką. Spojrzał w tym samym kierunku.

Przekręciła dłoń, palcami odgarniając grudki gliny, po czym wskazała mu palcem znaleziony przedmiot.

Z ziemi wystawało duże metalowe kolucho.



Szła na czworakach, bo tylko w ten sposób była w stanie się przemieszczać w wąskim, niskim tunelu. Nawet gdyby przejście było wyższe i szersze, nogi i tak od dawna nie pozwalały poruszać się jej w inny sposób. W sumie dziękowała Bogu, że przynajmniej tak może.

Powoli posuwała się do przodu, nie wiedząc, ile czasu minęło ani ile kroków przebyła do tej pory, ile będzie musiała jeszcze pokonać i czy w ogóle kiedykolwiek zakończy swoją wędrówkę. Tunel skręcał, ziemia zamykała się nad nią jak ciemny grobowiec i zdawało się, że nic nie ma ani początku, ani końca, jest tylko ciemność i ziemia; nie było nic wcześniej ani nie będzie nic potem.

Podciągnęła się na ramionach i zaraz znów przywarła brzuchem do wilgotnej gliny. Leżała tak przez moment, czując, jak grudki ziemi wbijają się w jej policzek. Przez chwilę pomyślała, że tak będzie lepiej. Stanie się popiołem dokładnie tak jak jej przodkowie, spocznie w górze wśród ich prochów, tak jak działo się to od wieków i tak jak będzie działo się to w przyszłości. Wszyscy powstawali z ziemi i wszyscy w końcu w niej znajdowali swój koniec. Prędzej czy później. Ona była już bliżej końca, jednak musiała walczyć – dla tych, którzy mieli go jeszcze daleko przed sobą.

Podniosła się i jeszcze raz wyteżyła siły, by przejść kolejne kilka metrów. Czy jej się wydawało, czy tunel rozszerzył się, a wokół było

jakby więcej miejsca?

Wyciągnęła przed siebie dłoń, by to sprawdzić. Palce osunęły się po chropowatej powierzchni. Próbowwała zamknąć przedmiot w dłoni, gdy do niej dotarło: koniec nadziei. Przejścia nie było. Tunel był zamknięty.

Oparła brodę o ubite podłoże. Nie udało się. Mimo prób i wysiłków to był koniec.

Czy jej się zdawało, czy poczuła ruch powietrza za sobą? Czy było inne wyjście?

Usłyszała szept i coś dotknęło jej łydki.

To oddech śmierci, która po nią przyszła. Przymknęła oczy. Była na to przygotowana już od dawna. Szkoda tylko, że nie udało jej się choć trochę odkupić swoich win, uratować przynajmniej tych dwóch chłopaczków.

Poczuła, że coś dużego przechodzi po jej plecach.

– Zamknięte – usłyszała płaczliwy szept. – Nie ma przejścia.

– Pokaż! – Znów poczuła ucisk na ciele. Już wiedziała, że to jeszcze nie śmierć. Jeszcze przyjdzie jej chwilę poczekać na koniec.

– Dlaczego wyszliście? – spytała chrapliwie. – Przecież mówiłam, żebyście czekali.

Któryś z chłopców pociągnął nosem.

– Co by nam to dało? Przecież i tak stąd nie ma wyjścia, nie wróciłabyś po nas. – Zaczął szlochać.

– Cicho! – skarcił go drugi. – Patrz!

Usłyszała zgrzytnięcie i nagłe westchnienie. Rześki powiew omiół jej twarz i przez chwilę poczuła się, jakby była na łące w letni, ciepły dzień. Czy to już?

– Aaaaa... – rozległ się zduszony zachwyt. – Tam coś jest.

– Pociągnij mocniej! Ej, pomóż nam! – Któryś szturchnął ją pod bok. Otworzyła oczy. Przed sobą zobaczyła jaśniejsze pasmo odcinające się na ścianie... i wtedy zrozumiała. Byli uratowani.

Podniosła się na ramionach i usiadła. Wsadziła palce w szparę i zaczęła ciągnąć razem z chłopcami.

Drzwi powoli zaczęły ustępować. Jaśniejsze pasmo zaczęło rosnać, rosnać... głuchy hurgot wypełnił przestrzeń, a oni polecili z całą siłą na plecy, uderzając o ubitą posadzkę. Minęła dłuższa chwila, nim była w stanie podnieść się na kolana i przeczołgać się przez próg otworu.

Pomieszczenie było tylko odrobinę jaśniejsze od ziemnego korytarza. Czuć w nim było zapach ziemniaków, piwnicznej wilgoci oraz... ogórków kiszonych. Rozejrzała się wokół i już wiedziała, gdzie są.

Piwnica Władka.

– Co teraz? – pisnął chłopaczek. – To na nic. Wszystko na nic! Nie wyjdziemy stąd nigdy! – Rozpłakał się.

Nadaremno próbowała rozpoznać kontury przedmiotów w półmroku. Była tu nie raz i nie dwa, także już po śmierci Władka, bo dom stał niezamieszkały, a ona sama nie miała piwnicy. Ostatnio coraz rzadziej, no bo nie chodziła, ale nic tu się od tego czasu nie zmieniło. Był metalowy regał, którego można było użyć jako łomu, a może nawet i gdzieś w kącie leżała siekiera? Nie rozglądała się wcześniej, nie uważała tego za konieczne, bo pogodziła się ze swoim losem i faktem, że za błędy trzeba zapłacić. Teraz jednak miała motywację, teraz chodziło o życie niewinnych. Oparła się rękoma o jakieś gładkie, stojące pod ścianą baniaki – czy to były butle po winie, które z Władkiem pędzili? Siekiery jednak nie znalazła, było za ciemno.

– Nie rycz, zaświeć światło, tam na ścianie jest kontakt. – Wskazała w kierunku, gdzie powinny być drzwi, choć było mało prawdopodobne, by ją zobaczył. – Wyjdziemy stąd. I to już za chwilę – pocieszyła go.

Ten drugi, bardziej obrotny, rzucił się na ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Pomieszczenie wypełniło się jasnym, rażącym światłem. Zmrużyła oczy, oślepiona. Oczy, które od tak długiego czasu tkwiły w kompletnych ciemnościach, zabołały, jakby ktoś próbował wyszarpnąć je z oczodołów. W uszach zaczęło piszczeć. Przez chwilę pomyślała, że teraz to już naprawdę koniec. Taki prawdziwy, najprawdziwszy, że wszystko to: wydostanie się z tunelu, piwnica Władka, miało dać im tylko złudną nadzieję.

Dopiero gdy otworzyła oczy, powoli zaczęło do niej docierać, co widzi. Przed nią rozpościerał się widok na podwórko przed domem Bani. Drzwi stały otwarte.

Przetarła wierzchem dłoni powieki, nie mogąc uwierzyć. Obraz jednak nie zniknął.

Byli wolni.

Tylko jakiś cień przesunął się na tle jaśniejszego światła wdzierającego się do wnętrza piwnicy z zewnątrz. Dopiero teraz zauważyła, że chłopcy są strasznie cicho, nie cieszą się, nie odzywają, jakby przyczaili się, by przeczekać niebezpieczeństwo. Wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca.

Cień poruszył się, zasłaniając wyjście.

– W sumie to miałam cię oszczędzić, bo i tak sama zmarnowałam, co miałaś do zmarnowania. W tej sytuacji nie zostawiłam mi jednak wyboru. Tak jak i oni znikniesz z powierzchni ziemi i nikt nigdy nie dowie się, co się z tobą stało.

Nic z tego nie rozumiała. Wiedziała tylko jedno: ona wróciła.

A potem usłyszała trzask rozbijanej butelki i zobaczyła ogień rozlewający się po pomieszczeniu. W jednej chwili w pomieszczeniu zrobiło się całkiem jasno. Zdążyła jeszcze spostrzec, że to, o co się opierała, nie było wcale baniakami po winie, lecz butlami z gazem i zaraz potem powietrze rozdarł huk i zapadła ciemność.



Dobrosława wpatrywała się w metal bez słowa. Myślała o wszystkich skarbach, które zostały znalezione w trzcinińskiej ziemi, o posążkach dawnych bogów, cennych monetach, glinianych skorupach. Myślała o starych legendach o pradawnym grodzisku na wałach, które okazały się prawdą, i tych, które zdawały się tylko bajaniami. Aż do dzisiaj.

– Co to, do diabła, jest? – usłyszała nad sobą niepewny głos Czarneckiego.

Pociągnęła mocno. Ani nie drgnęło. Najwyraźniej jednak było przytwierdzone do podłoża. Odgarnęła palcami sypką warstwę ziemi. Ich oczom ukazały się przepróchniałe deski drewnianego wjazdu.

Dobrochna chwyciła za kolucho i pociągnęła mocno, nim Czarnecki zdążył zaprotestować. Zawiasy stęknęły metalicznie i kłapa drgnęła. Powoli, z wysiłkiem kobieta uniosła wieko.

Przed nimi czernią ziała dziura. Piwniczny zapach dobiegł do ich nozdrzy.

Czarnecki włączył latarkę w telefonie i poświecił w dół. Postrzępione korzenie drzew wystawały ze ścian, oplatając niewielką przestrzeń niby siecią. Duży, czarny żuk spłoszony nagłym światłem przebiegł po klepisku i schował się znów w ciemności.

– Halo! Jest tam ktoś?! – zawołał komisarz.

Odpowiedziała mu tylko cisza.

Popatrzyli po sobie niepewnie. Czarnecki już miał wstać i ruszyć po posiłki, gdy w tej samej chwili pod ziemią rozległo się głuchoe tąpnięcie. Zdawało się dobiegać z samego środka wzgórza, jakby rozdzierało skały. Zgodnie ze starą legendą: budziły się duchy przodków.

Czy ona powiedziała te słowa na głos?

– Wybuch. – Czarnecki pobladł.

Dobrochna w jednej chwili poderwała się na nogi i niewiele myśląc, wsadziła nogi do czeluści, chcąc opuścić się do środka.

Komisarz powstrzymał ją, przytrzymując jej ramię.

– Pójdziemy razem. Tylko wezwę posiłki.



Stało się. Winni zostali ukarani. Byłam wolna.

Stałam przed drzwiami piwnicy, która przez ostatnie kilka dni służyła mi za dom, i patrzyłam, jak wszystko obraca się w nicość. Przed oczami przelatywały mi obrazy: Władek, który przypadkiem odkrył w swojej piwnicy wejście do podziemnych korytarzy i który – pod pretekstem, że mi je pokaże – zwabił mnie do środka. Bo tunel owszem był, tylko że to nie o niego zupełnie tutaj chodziło. W domu by nie mógł, matka zaraz by wyczaiła, a jemu wcale już nie o matkę chodziło. Trzymał się jej, by mieć mnie blisko, a wiedział, że nie będę miała się nawet komu pożalić. Zresztą, kto by mi uwierzył? Córce alkoholiczki, która zawsze miała tendencje do zmyślania i wyolbrzymiania?

Nic nikomu nie powiedziałam przez te wszystkie lata. Także o tunelu. Dopiero Malwinie. Byłyśmy ze sobą połączone wspólnym losem. A teraz, gdy on już się dopełnił, również mogłam odejść.

Odwróciłam się plecami do piwnicy, która była zarówno miejscem mojej kaźni, jak i wybawienia, i powoli ruszyłam w las. Miałam jeszcze

trochę czasu, nim wybuch przyciągnie gapiów, jednak nie mogłam też dłużej zwlekać.



Pomieszczenie było ciasne i ciemne. Korzenie drzew zwisały z wydrążonych w ziemi ścian i co chwila zahaczały o włosy i skórę, tak, że zdawało się, że coś bezustannie po nich chodzi. Dobrosława pomyślała, że chłopcy musieli umierać ze strachu, jeżeli spędzili tutaj choćby kilka godzin. A do tego dochodził jeszcze wszechogarniający wszystko mrok: teraz przynajmniej światło kończącego się dnia wpadało przez dziurę i wydobywało kontury z półcienia.

Czarnecki poświecił latarką po bokach i zobaczyli, że całość ma jakieś cztery metry na cztery, nie więcej. Za to w jednym z rogów znajdował się wąski tunel prowadzący w głąb ziemi.

– Tam – powiedział. Snop światła omiótł powoli wejście. – Pójdę tam. Proszę zostać i poczekać na resztę. Zaraz powinni się zjawić.

– Dobrze sobie – zachnęła się. – Idę z tobą. – Z nerwów nawet nie zwróciła uwagi, że przeszła na ty.

Wyglądał, jakby przez chwilę rozważał za i przeciw.

– Dobrze – zgodził się w końcu. – Ale ja pierwszy. Będziesz asekurować tył. Gdyby coś zaczęło się dziać, bierzesz nogi za pas i zmykasz po posiłki. Nie wiemy, co tam się dzieje. Zrozumiano?

W pierwszym odruchu chciała zaprotestować, ale ostatecznie kiwnęła głową. To była uczciwa propozycja: i tak komisarz mógł mieć problemy, że dopuścił cywila do akcji, co dopiero mówiąc, że puścił go jako mięso armatnie.

– Skoro wszystko uzgodnione, to wchodzę. – Usiadł na skraju urwiska i podparł się rękoma. – Trochę głęboko – mruknął. – Proszę

uważać – przestrzegł ją jeszcze i w jednej chwili zniknął w czeluści. Usłyszała głuchy łoskot i krótkie, treściwe przekleństwo.

Dobrochna zaczerpnęła głęboko powietrza i poszła w jego ślady, pozwalając, by ciemność ją pochłonęła.

Skok był krótki, ale lądowanie bolesne. Stopy zabolęły, kolanem upadła na twarde podłoże. Próbowwała zaasekurować się ręką, jednak było tu tak ciasno, że łokciem obtarła o ścianę.

– Jesteś cała?

Stała na nogach. Poczowała lekki ból w kostce.

– Chyba cała.

Czarnecki zaświecił latarkę i skierował w jej stronę. Odruchowo zasłoniła twarz przed jasnym światłem.

– Przepraszam – zreflektował się i skierował snop w stronę podłoża. Przytrzymał telefon jedną ręką, a drugą sięgnął za pas. Patrzyła, jak wyciąga broń, i mimowolnie przeszedł ją dreszcz. Dopiero teraz dotarło do niej, że gdzieś przy końcu tego korytarza mogą znajdować się chłopcy – i nie wiadomo co jeszcze. Musieli być przygotowani na każdą okoliczność.

– Musimy być cicho – powiedział, jakby czytał w jej myślach. – Zaskoczenie będzie naszym głównym atutem. Ale to nie my możemy dać się zaskoczyć. – Zgasił latarkę. Zapadła ciemność.

Dopiero po chwili oczy przyzwyczały się do mroku: tu jednak wciąż wpadała poświata światła z lasu, która pozwalała zobaczyć kontury. Dalej, w tunelu, już jej nie będzie.

– Idziemy – szepnął Czarnecki i podał jej rękę, ciągnąc lekko w stronę podziemnego korytarza.

Przez chwilę poczuła się pewniej pod wpływem tego uścisku dłoni, pomyślała, że wszystko się jakoś ułoży: chłopcy się znajdą, złapią Renatę. Zaraz jednak mężczyzna puścił jej dłoń i wpełzł do ciemnego przesmyku. Wszystkie lęki wróciły. Ruszyła za nim wąskim, pozbawionym światła przejściem, a serce biło jej tak mocno, że pomyślała, iż wcale nie muszą być głośno, by zdradzić swoją obecność.

Tunel zwężał się, zakręcał. Byli jak te dwa robaki drążące pod ziemią tunele i jedyne, o czym myślała, to o tym, żeby jak robale nie zostali tu już na zawsze. Cały czas do przodu, nie oglądając się za siebie. Ku nieznanemu, nie wiedząc, co czeka ich na końcu. Chyba tylko śmierć.

Poczuła, że traci oddech. Trzeba było poczekać. Trzeba było pozwolić mu iść samemu. Ledwo to pomyślała, tunel się rozszerzył. Czy jej się wydawało, czy tam było jaśniej?

Czarnecki zatrzymał się na moment, jakby też to zauważył. Wstrzymując oddech, pokonał kolejny zakręt. W panującym półmroku widziała podeszwy jego butów.

Niewielki, jasny punkt wyraźnie odcinał się od wszechobecnej czerni. Zatrzymała się, nie bardzo wiedząc, na co właściwie patrzy.

Komisarz także zamarł. Zaraz jednak gwałtownie ruszył przed siebie, zapominając o ostrożności i zachowaniu ciszy.

Patrzyła, jak dopada do miejsca poniżej światła i przyświeca po nim latarką, wyraźnie czegoś szukając, i dopiero wówczas w czarnej jednolitej ścianie rozpoznała gruzowisko ziemi. Snop światła błędził niespokojnie, oświetlając sterty gruzów. Przez ułamek sekundy zobaczyła, jak drobna, ciemna dłoń wyciągnęła się w górę i rozpostarła palce na tle zwaliska.

Jęknęła.

– Nie dotykaj go! – syknął przenikliwie Czarnecki. – Może mieć uszkodzony kręgosłup. Popatrz, czy rozpoznajesz to miejsce, i sprowadź szybko pomoc.

Jak w transie ruszyła na stertę gruzu, omijając dziecko. W głowie kołatała się jedna myśl: muszą się stąd wydostać, za wszelką cenę, muszą się stąd wydostać.

W końcu udało jej się dotrzeć do otworu. Schyliła głowę.

Piwnica ziemna. Drzwi na zewnątrz wydarte, więc światło kończącego się dnia wypełniało jej wnętrze. Porozwalane przedmioty, roztrzaskane na podłodze słoje z ogórkami, burakami? Przeszedł ją dreszcz. Czy to buraki, czy krew? Pomieszczenie wyglądało znajomo, tak jakby już tutaj była, i to chyba nawet całkiem niedawno, choć bałagan utrudniał rozpoznanie.

Gorączkowo próbowała zlokalizować, gdzie mogą się znajdować, jeżeli weszli w lesie do podziemi. Nie wiedziała, w którą stronę podążał tunel, ale było wielce prawdopodobne, że znajdowali się w okolicach domu Karasiów. U nich jednak piwnicy nigdy nie było, za to u sąsiadów...

W jednej chwili zrozumiała, gdzie jest i dlaczego pomieszczenie wydaje się jej znajome. Piwnica Władka Bani. Była tutaj wczoraj z Ludmiłą.



Nie miałam dużo czasu. Zdecydowanie dużo mniej, niż zakładałam na początku. Głosy dobiegające od strony domostw sugerowały, że mocno pomyliłam się w swoich założeniach. Może też dlatego, że wszystko potoczyło się tak nagle, nieplanowanie. Do wybuchu miało dojść w środku nocy, gdy wszyscy śpią, by chwilę minęło, zanim dotrze do nich, co się wydarzyło, by musieli wstać z łóżek, ubrać się. By wstrząsnął całą

wsią i postawił ją na nogi. A ja zniknęłabym w ciemnościach lasu. Musiałam jednak działać szybciej, bo deptali mi już po piętach.

Rozwazałam dwa scenariusze. Mogłam uciec z powrotem za granicę. Nie byłoby to proste, ale też nie niemożliwe: oczywiście musiałam zakładać, że policja ma już mój wizerunek, skoro ustalili, jakim samochodem jeżdżę. Zmiana koloru włosów czy nawet oczu nie była wielkim wyzwaniem. Nie wiedziałam jednak, jak mogłoby wyglądać moje przyszłe życie: nie było już Marcusa, a ja nie miałam nic. Ani domu, ani osoby, do której mogłabym wrócić.

Drugie rozwiązanie kończyło wszystkie problemy. Wystarczyło tylko nacisnąć spust. Szybki, w miarę bezbolesny sposób. Miałam broń, zabrałam ją z sejfu Marcusa. I to właśnie było najlepsze zwieńczenie tej historii. Zakończyć wszystko w miejscu, w którym się to zaczęło.

Wszystko zataczało koło: Daria, Malwina, Szakal, Karolina, Ludmiła, Renata. Zamknięty krąg.

Sięgnęłam do torebki po pistolet. Gładki metal przyjemnie obciążał dłoń. Przyjrzałam mu się z zastanowieniem. Nie sądziłam, że w ogóle będę go używać. Ale gdy zobaczyłam w Jaśle na rynku tego drania, jak wdzięczny się do jakiejś młodej laski...

Z pewnością był winien. W końcu był chłopakiem Karoliny i tak jak ona doskonale o wszystkim wiedział. Pomyślałam, że jeżeli tylko nadarzy się okazja, powinien być następny, bo skoro o wszystkim wiedział – nie powinno mu zostać darowane.

Chciałam sprawdzić, czy jest na Tinderze, założyłam więc fejkowe konto, na które wstawiłam zdjęcie anonimowej młodej blondynki, takiej w typie tej, z którą widziałam go na mieście. Zaczęłam przeglądać profile w okolicy i jego wyskoczył mi właściwie w pierwszych kilku. W okolicy widać niewiele osób używało aplikacji. Przesunęłam go w prawo... i pozostawało czekać. Ewentualnie szukać na zwykłych portalach

społecznościowych, liczyłam jednak na to, że właśnie obietnica szybkiego seksu pozwoli mi to załatwić szybko i sprawnie. Nie pomyliłam się. Jeszcze tego samego wieczoru aplikacja nas sparowała i mogłam zacząć czat. Od razu złapał się na haczyk, umówiliśmy się na następny wieczór. Tak mu się chciało ruchać, że nawet nie zdziwił się, że na miejsce spotkania wyznaczyłam skraj lasu, wystarczyła ściema, że nie chcę, żeby ktoś z sąsiadów mnie zobaczył, bo dostanę szlaban od matki.

Od matki, dobre sobie.

Jeżeli nawet się zdziwił, że jestem starsza, nic nie powiedział. Może nawet było mu wszystko jedno, byle którejś wsadzić. Weszliśmy głębiej niby „pospacerować”, choć oboje wiedzieliśmy po co. Gdy zaczął rozpinać rozporek, strzeliłam mu prosto w głowę.

Szybka śmierć. Raz, dwa i po wszystkim, nawet dobrze nie zdążył się zdziwić. Gdy o tym myślę, stwierdzam, że może nawet za szybka. Powinien bardziej pocierpieć. Szybka kulka powinna należeć się tylko mnie.

Przyglądam się broni, jeszcze raz ważę ją w dłoni. Czy się waham? Może trochę. Może chciałabym jeszcze jednak trochę pożyć, może to po prostu instynkt. Głosów jest coraz więcej, wiem, że czas się kończy. Co prawda w lesie jest już praktycznie ciemno, ale jednak wciąż istnieje możliwość, że ktoś mnie tu znajdzie. Przykładam pistolet do głowy, lecz nie naciskam. Przypominam sobie, że żeby mieć pewność, lepiej wsunąć go sobie do ust. Opuszczam dłoń i w tej samej chwili rozlegają się szybkie kroki.

Nic nie mogę zrobić, gdy ktoś z całej siły przewraca mnie na leśną ściółkę.

Słyszę, jak huk wystrzału przesywa leśną gęstwinę i niesie się echem po okolicy. Jego pogłos wciąż dźwięczy mi w uszach.

Dobrosława dyszała ciężko, wpatrując się w nasuwające się na nią pnie. Las kręcił się i wirował. Przez chwilę próbowała sobie przypomnieć, co się właściwie stało. Wróciła tunelem i poinformowała ekipę o sytuacji. Razem z nimi dotarła do piwnicy Władka Bani, która była w opłakanym stanie. Patrzyła, jak rozpoczynają akcję ratunkową, i czuła taką kompletną niemoc, nie mogąc nijak pomóc, podczas gdy tam chłopcy przywaleni stertą gruzu czekali na pomoc... Zobaczyła las. I zrozumiała, że Renata musi być blisko. Prawie czuła na sobie jej wzrok.

Renata? Gdzie jest Renata? Z trudem przewróciła się na bok. Nagły ból rozdarł jej prawą nogę od biodra do kostki. Usłyszała zbliżające się głosy. Wystrzał zwrócił uwagę gromadzących się ludzi. Jeżeli Renata jeszcze tu jest, nie pozwolą jej uciec.

Spróbowała podciągnąć się na rękach, ale ból był zbyt silny. Czy kula przeszła jej nogę? Czy dlatego tak bolało?

Wyciągnęła rękę w stronę uda i poczuła coś lepkiego i ciepłego. Przysunęła ją do twarzy. Krew.

– Jednak – szepnęła do siebie z pewnym niedowierzaniem. Zawsze myślała, że postrzelone ciało boli bardziej, a tymczasem był to ból jak przy mocniejszym stłuczeniu.

I wtedy poprzez gwar nadciągających głosów usłyszała koło siebie jęknięcie. Nie była sama.

Przekręciła się jeszcze trochę i w zapadających ciemnościach zobaczyła Renatę. Leżała poniżej, skręcona w dziwnej pozycji, brzuch, klatkę piersiową i ramiona miała całe we krwi. Jęczała cicho, wypowiadając pojedyncze niezrozumiałe słowa. Dobrosława popatrzyła na swoją rękę i zorientowała się, że pocisk wcale nie trafił w jej nogę. To była krew Renaty.

– Tutaj! Tutaj! – usłyszała nad swoją głową wołanie.

– Proszę stąd odejść! Proszę nie robić zbiegowiska! – Wysoki męski głos przedarł się przez zgiełk. Zobaczyła snop światła z latarki, błędzący po pniach drzew. Przesunął się po niej, oślepiając na moment.

– Dobrochna! – rozległ się nagły damski pisk. Znała ten głos. Z pewnością go znała.

Podniosła głowę. Zauważyła kilkanaście osób, w tym mundurowych. Jakaś kobieta wyminęła jednego z policjantów i rzuciła się w jej stronę.

– Dobrochna! – Piskliwy głos Magdy zabrzmiał tuż nad jej uchem. – Nic ci nie jest? – Dopadła do niej i kucnęła przy jej głowie.

– Nie, chyba nie – szepnęła. – Ale Renata...

– Renata sama jest sobie winna – powiedziała tamta, rozjuszona. – Zawsze uznawała, że wszystko jej się należy, że tylko ona jest najważniejsza, ona, ona, ona...

– Proszę odejść na wyznaczone miejsce! – Policjant złapał Magdę za ramię. – Proszę nie utrudniać akcji ratunkowej!

– Ona! – krzyknęła histerycznie w stronę Renaty. Dwóch ratowników próbowało powstrzymać krwotok z okolic brzucha rannej. Jeden odgarnął jej długie, kręcone włosy, teraz całe nasiąknięte krwią, odsłaniając fragment szyi. Magda zachwiała się lekko, a potem zamarła, wpatrując się w siostrę jak osłupiała.

– Proszę odejść! – Mundurowy pociągnął ja ku górze. Kobieta bezwolnie poddała się temu gestowi, nie odrywając wzroku.

– Mój Boże... Ale... – zająknęła się. – Nie... Przecież...

– Proszę stąd odejść!

– Magda? – Dobrochna spojrzała na koleżankę pytająco.

Magda stała jak słup soli, nie mogąc się ruszyć.

– Nie, to niemożliwe... Przecież... To nie ona, to nie Renata – wydusiła z siebie w końcu. – Renata miała znamię, tu na szyi, takie duże, nieoperacyjne. – Przeciągnęła palcami dłoni od ucha w stronę karku. – To... to nie jest Renata. To jest... mój Boże, nie, to niemożliwe.

Patrzyła na nią, nie dowierzając.

– Mój Boże, przecież to jest Malwina.



Drzewa szumią nade mną, strzepując z gałęzi liście. Jest prawie tak jak wtedy, dwadzieścia lat temu. Chodziłam z Andreasem po tym lesie, zbierając różnokolorowe liście na bukiet. Wtedy jeszcze myślałam, że mnie kocha. Gdy liście opadły i las stał się nagi, straciłam wszelką nadzieję. Nad las nadeszła noc, a z nią skończyło się to, co do tej pory znane. Skończyła się przeszłość, przyszłość nie nadeszła.

Przymykam oczy, żeby nie widzieć tych drzew, nie widzieć liści, nie widzieć lasu.

Już sama nie wiem, kim jestem. Renatą? Malwiną? Obiema naraz?

Kolejne obrazy przelatują mi przez głowę, powodując coraz większy mętlik. Widzę Renatę w niemieckim burdelu, siedzącą przy barze, tam, gdzie przeniesiono mnie za dobre sprawowanie. Dostrzegam niedowierzanie malujące się na jej twarzy. Słyszę jej głos, zwierający mi się ze swojego zmarnowanego życia: słucham o tym, jak jej matka piła, jak Władek gwałcił ją w piwnicy, o tym, jak wszyscy się od niej odwrócili, oprócz ciotki w Jaśle. Tyle że jej również nie mogła powiedzieć całej prawdy, nie uwierzyłaby, że jej kryształowa młodzięcza miłość była zdolna do takich rzeczy. Czuję smak jej łez spływających po policzkach, a może to moje łzy?

Następny obraz to wykrzywiona z bólu nieruchoma twarz Renaty, leżąca w, jak go nazywali, „pokoju socjalnym”, gdzie jadłyśmy. Leżała tam przez cały dzień, całą noc i jeszcze trochę, na przestrożę. Dopiero gdy zaczęła śmierdzieć, zabrali ją, by nie odstraszyć klientów. W końcu ostatecznie i tak liczyły się tylko zarobki.

Nie widzę już lasu, ale szum liści rośnie w moich uszach, aż staje się całkiem nie do zniesienia. Czuję, jak przenika moje ciało, jak rozlewa się falą od brzucha w dół, próbuje rozedrzeć Renatę i Malwinę, rozdzielić, dojść do tego, która to ja, a która ona. Tyle że jest już na to o wiele za późno.

To, kim naprawdę jestem, przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jak każdy, zostanę prochem przeszłości.



Czarnecki patrzył na stertę ziemi, wypełniającą wilgotną, ciemną piwnicę i myślał, jak niewiele trzeba, by czyjeś życie legło w gruzach. Akcja ratownicza powoli dobiegała końca. Teraz wkroczą fachowcy, by móc dokładnie ustalić przebieg tragedii, choć można było już bez problemu wysnuć wstępną tezę: wybuch gazu. Jedna z butli – nie wiadomo dlaczego – nie wybuchła.

– Nikogo więcej nie ma pod gruzami – zaraportował wychodzący z piwnicy mężczyzna z psem.

Kiwnął głową. Całe szczęście, bo znalezione w lesie zwłoki mogły sugerować, że jednak potencjalnych ofiar może być więcej.

Zwłoki starszej kobiety, prawdopodobnie Zofii Karaś, były w opłakanym stanie.

Nagły ból w sercu uświadomił mu, że nie będzie łatwo. Wiedział już, że poszukiwana kobieta została znaleziona w lesie martwa, a raczej: zmarła podczas udzielania jej pierwszej pomocy. Tym gorzej, bo nie

odpowie za swoje czyny. Był winny. Nie potrafił jej złapać, nim było za późno.

Wyciągnął papierosa i zapalił.

Za jego plecami rozległy się kroki. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć kto to. Szósty zmysł.

Ciężki kamień zaległ mu w żołądku i poczuł, jak ciągnie go ku ziemi.



Dobrosława z trudem dokuśtykała w stronę wejścia do piwnicy. Noga okropnie ją bolała, paliła żywym ogniem, choć ostatecznie okazało się, że to tylko stłuczenie. Kula nawet jej nie drasnęła. Tak właściwie to chcieli zapakować ją do karetki i zawieźć do szpitala na obserwację, ale się nie zgodziła. Musiała wrócić, musiała sprawdzić, co z chłopcami.

Była już prawie na miejscu, gdy zobaczyła, że z piwnicy wychodzi mężczyzna z psem. Serce zaczęło jej bić szybciej, mimo narastającego bólu przyspieszyła.

Czarnecki stał obok, paląc papierosa. Cienka smużka dymu unosiła się, rozwiewając się w powietrzu. Komisarz wydawał się taki malutki, jakby skurczył się, zmalął. Jak krasnoludek albo staruszek, który nie jest już w stanie unieść ciężaru życia.

Zaraz obok wejścia zobaczyła czarny foliowy worek, taki, jaki czasem widuje się na poboczach drogi, gdy zdarzy się wypadek. Zarejestrowała jeszcze, że komisarz powoli odwraca się w jej stronę.

– Przykro mi. – Dwa słowa spadły na nią jak kamienie, przygniatając swoim ciężarem.

Poczuła, jak ziemia usuwa się jej spod stóp.

ROZDZIAŁ 7

Ziemia skrzętnie strzeże swoich tajemnic. Czasami jednak pozwala im wysunąć się ze swoich ciężkich łap i wydobyć się na powierzchnię. Odkryty tunel łączący piwnicę z lasem po przeprowadzonych przez naukowców badaniach okazał się późniejszy, niż podejrzewano, i raczej nie miał nic wspólnego z Karpacką Troją. Całkowicie jednak nie można było tego wykluczyć, gdyż istniało podejrzenie, że jego konstrukcja powstała na bazie innego starego przejścia, prawdopodobnie w okolicach jednej z wojen światowych. Samą drewnianą klapę musiał jednak wymieniać już ktoś ledwie kilkanaście lat temu, bo deski pociągnięte były współczesnym preparatem ochronnym. Władek Bania twierdził, że nic o przejściu nie wiedział, jednak w jego sytuacji ciężko byłoby oczekiwać, że się przyzna, tym bardziej że policja bardzo mocno rozważała jego współudział. Ostatecznie jednak uznano, że Renata, a właściwie to Malwina Myśliwiec, która ukrywała się pod tą tożsamością, działała sama.

Czarnecki kopnął niewielki kamień, który powoli potoczył się wzdłuż drogi. W oddali, poniżej znajdował się czarny las, w którym to dwadzieścia lat temu rozegrała się pierwsza z tragedii.

Tej nocy dwudziestotrzyletni Patryk Szymczyk, znany w okolicy jako Szakal, razem z Andreasem Muellerem oraz trzecim bliżej nieznanym mężczyzną uprowadzili Malwinę Myśliwiec i doprowadzili do nieumyślnej śmierci jej siostry Darii. Andreama wsadzono kilka lat później za udział w grupie przestępczej zajmującej się między innymi handlem ludźmi. Szymczyk, jak udało się ustalić po rozpadzie szajki, odsiedział kilka lat za rozboje, a po wyjściu z więzienia zaczął pracować na budowach za granicą. To właśnie jego ciało odnaleźli w lesie. Zaginięcie zgłosił znajomy mężczyzny, gdy ten przez kilka tygodni nie dawał znaku życia i nie można się było do niego dodzwonić. Była to pierwsza ofiara zemsty Malwiny Myśliwiec, co potwierdzała znaleziona łuska.

Co działo się po wywiezieniu uprowadzonej Malwiny za granicę? To wiedziała pewnie tylko sama dziewczyna, jednak z relacji niejakiej Gerty Stein, którą odnalazły niemieckie służby, jej przyjaciel Marcus zakochał się w dziewczynie i pomógł jej wydostać się z burdelu. Gerta знаła ją już jako Renatę Wenzel i jedyne, co właściwie o niej wiedziała od Marcusa, to to, że pod przymusem trafiła do domu publicznego, a jej najbliższa koleżanka, którą znała jeszcze z Polski, została zabita po próbie ucieczki. Przez kilka lat mieszkała z Marcusem, planowali nawet ślub, lecz przyjaciel zmarł na zawał jakiś czas temu. Gerta trochę niepokoiła się o Renatę, bo od pogrzebu nie miała z nią kontaktu, a biorąc pod uwagę jej życiorys, można było spodziewać się różnych rzeczy.

Czy Malwina z premedytacją przejęła imię i nazwisko koleżanki? A może trauma i szok pourazowy były tak silne, że dziewczyna nieświadomie utożsamiła się z zabita koleżanką? Tego mieli nie dowiedzieć się już nigdy. Malwina Myśliwiec zmarła na leśnej polanie po postrzale w brzuch. Zrealizowała swoją zemstę. Mogła odejść.

Zabierając ze sobą cztery osoby.

Czy świadomy jej przeszłości Czarnecki w ogóle w tej sytuacji mógł oceniać Malwinę Myśliwiec? W jej mniemaniu wymierzała sprawiedliwość po latach. Usunęła z drogi swojego oprawcę, a także dwie osoby, które swoim milczeniem przyczyniły się do jej tragedii. Tyle że w przypadku Ludmiły postanowiła wymierzyć ją pośrednio. Właśnie tego mógłby się kurczowo ucześcić, gdyby chciał, bo pod wpływem działań kobiety zginęło niewinne dziecko.

Czy jednak on sam był lepszy? Czy to, co zrobił, mogło postawić go wyżej na drabinie moralności?

Czy ten, który wymierza sprawiedliwość, nie staje się współwinnym? Czy wyświadczenie przysługi światu i społeczeństwu wymazuje popełniony czyn i oczyszcza ze zbrodni?

Trzy miesiące po sprawie z Damianem Więchem – gdy koledzy z Krosna wciąż męczyli się nad nieszczęsnym wypadkiem, lecz już było prawie pewne, że jeżeli na jaw nie wyjdą nowe okoliczności, skończy się na umorzeniu ze względu na niewykrycie sprawcy – Marcin postanowił pojechać do Węglówki. Był na swoim terenie, pracował teraz w komendzie wojewódzkiej, więc mógł bez przeszkód prowadzić śledztwa na obszarze całego województwa podkarpackiego. Jakby tego było mało, szczęśliwie miał teraz jedną z takich spraw, której końce od biedy zahaczyły w te rejony. Jeżeli ktoś by się przyczepił – mógł bez problemu wytłumaczyć się badaniem okolicy i przepytaniem mieszkańców. Ale nikt nie zapytał. Nawet żona zmarłego w wypadku nie była zdziwiona, że kolejny mundurowy przyjeżdża w tej samej sprawie. Monika Więch była kobietą atrakcyjną i bardzo miłą, odpowiedziała na wszystkie jego pytania, a smutny uśmiech czał się przez cały ten czas schowany w kącikach jej ust. Przez moment zrobiło mu się naprawdę przykro, że doprowadził do śmierci jej męża. Cóż winna była ta kobieta, by teraz tak cierpieć? I – jak miał nadzieję – by do końca życia nie wiedzieć, kto tak naprawdę stał za wypadkiem jej męża?

Usłyszał kroki zmierzające w stronę pokoju i w progu stanęła druga kobieta. Starsza, lekko posiwiała. „Matka”, pomyślał, przypominając sobie, że ofiara mieszkała z żoną i matką. Ona też zeznawała, że nic nie słyszała tego wieczoru. Żadnych odgłosów.

– Pan z policji? W sprawie wypadku? – spytała. – Wiecie już, kto to zrobił Damiankowi? – Jej głos drżał z podekscytowania.

– Przykro mi. Ale wciąż prowadzimy działania operacyjne – skłamał. Tak naprawdę, już dawno wspominał przy okazji kolegom z Krosna, że nie bardzo jest tu czego się ucześć i że pewnie statystyki im ucierpią z tego powodu. Przyznali mu rację, nikt nie zamierzał nadmiernie drażnić. Zresztą skoro komisarz z wojewódzkiej mówił, że będzie ciężko, to czemu mieli się wyrywać?

– Aha – mruknęła, od razu pochmurniejac. – Czyli dalej nic nie wiadomo?

– Niestety.

Kobieta kiwnęła niechętnie głową, niepokieszona, i usiadła na fotelu obok synowej.

– Dobrze, w takim razie wróćmy do sedna – powiedział, przyglądając się dyskretnie dwóm paniom Więch. Synowa nie skomentowała ani słowem, że teściowa usiadła obok, by przysłuchiwać się rozmowie. Właściwie to zdawała się nie zwracać nawet na to uwagi, jakby zaistniała sytuacja była dla niej całkowicie normalna. – Zeznała pani, że tego wieczoru nie słyszała żadnego niepokojącego odgłosu. Żadnych hałasów, pisków opon, odgłosu uderzenia...

– Tak, nic nie słyszałyśmy – potwierdziła matka. Uniosła lekko podbródek i popatrzyła na synową. – Nic, kompletnie nic.

„Dominujący charakter”, pomyślał komisarz, widząc, jak synowa potakuje. W tym domu musiała rządzić starsza z kobiet.

– Nie zdziwiło to pań?

Monika milczała, zerkając na teściową, jakby czekała na jej odpowiedź. Pomyślałby kto, że jeszcze chwilę temu ta rezolutna i niewątpliwie inteligentna kobieta rozmawiała z nim jak równy z równym, a teraz chowała się pod spódnicą starszej pani.

– W sumie... to nie.

– Nie zastanawiały się panie, czy jest możliwe, że pan Damian został potrącony później, a nie od razu po wyjściu z busa? – zadał kolejne pytanie.

– Jak? Co robiłby między wyjściem z busa a potrąceniem? Przecież ustaliliście, że z pewnością wrócił po siódmej – zirytowała się matka.

– Może poszedł do kogoś. Przecież mąż miał jakichś znajomych, znajome... – Zauważył przy ostatnim słowie, że Monika nieznacznie zaciska zęby.

– W sumie... – z ociąganiem przyznała matka. – Tylko dlaczego ten ktoś nic nie powiedział?

– Może nie chciał, by ktoś wiedział, że był ostatnią osobą, z którą rozmawiał pani syn.

Szczęki Moniki zacisnęły się jeszcze mocniej.

– Słyszysz, co pan milicjant mówi? Czyli uważa pan, że Damian mógł umrzeć później?

– Bardziej zastanawia mnie, czy przez cały wieczór na pewno panie nic nie słyszały.

Starsza pani zastanowiła się przez chwilę.

– Jakieś auto... – powiedziała w końcu. – Wydaje mi się, że jak oglądałam film, to słyszałam taki odgłos, jakby jechał samochód. I trzaśnięcie drzwi – dodała podekscytowana. – Może ktoś uderzył

w syna i zatrzymał się na sekundę, by zobaczyć... – głos jej się załamał – ...by zobaczyć, co się stało.

Marcin poczuł, że skóra zaczyna mu cierpnąć

– Być może. O której to było godzinie?

– Gdzieś koło dziesiątej. Chwilę po tym, gdy wyszłaś zapalić – zwróciła się do synowej.

Marcin przeniósł wzrok na młodszą z kobiet.

– Musiało ci się wydawać. Na polu nic się nie działo. Przecież widziałabym – powiedziała od razu zdenerwowana.

Przyglądał się jej spod oka. Godzina by pasowała. Czy naprawdę nic nie zauważyła?

– Szkoda – skwitował w końcu. Dla niego lepiej, że nie widziała. – Możliwe jednak jest w takim razie, że wypadek nastąpił później, niż sądzimy.

– Widzisz? Widzisz?! Gdybyś wyszła trochę później na tego papierosa, to pewnie byś go zauważyła. Przynajmniej jakiś pożytek byłby z tego twojego palenia! – fuknęła matka Damiana. Chęć obarczenia kogoś winą za wypadek syna aż wylewała się z każdego z jej słów. Nie złapali sprawcy, więc jedyną osobą, którą można było winić, była synowa, która wyszła za wcześnie zapalić.

– Pani Moniko? – próbował ją zachęcić i odwrócić uwagę od gadania teściowej.

– Przed dziesiątą – przyznała z ociąganiem. – Trochę denerwowałam się, że już późno, a męża wciąż nie ma. Telefonu też nie odbierał.

– Nie zdziwiło to pani?

Pokręciła głową.

– Zawsze wyłączał go w szkole. Sądziłam, że jak zwykle zapomniał włączyć ponownie.

„Tak, tak pewnie było – pomyślał Marcin. Tak musiało być”.

– Zresztą mąż często wyłączał telefon. Nie lubił, żeby ktoś mu przeszkadzał w pracy. Twierdził, że to go rozprasza.

– Widziała pani kogoś? Wtedy, kiedy wyszła? Może jednak wypadek zdarzył się później?

– Nie, nikogo nie było. Żywego ducha nie było we wsi – powiedziała, nie patrząc na niego, i Czarniecki doskonale wiedział, że kłamie. Czy mogła widzieć podjeżdżający samochód? Czy mogła zauważyć ludzi Pawła wywlekających zwłoki z pojazdu? Czy patrzyła, jak wrzucają go do fosy, pozorując potrącenie? Z raportu, który przeczytał wcześniej, wynikało, że mężczyznę znaleziono ledwie kilkanaście metrów od domu. Jak najbardziej było to prawdopodobne.

Jeżeli jednak tak było, dlaczego nic nikomu nie powiedziała?

Nie chcąc przedłużać wizyty, pożegnał się, zadawszy jeszcze kilka rutynowych pytań dla porządku. Monika Więch odprowadziła go do samochodu, matka została w domu. Kobieta odpaliła papierosa i otuliła się szczelnie połami kurtki. Zauważył, że jej wzrok przez kilka sekund zastygł na szarym asfalcie ulicy. Zaraz jednak obojętnie przeniosła go na samochód komisarza. Czy właśnie tak to wyglądało tego listopadowego wieczoru?

– Proszę się nie martwić, znajdziemy go – powiedział i od razu ukłuło go w okolicach serca na to kłamstwo.

Kobieta strzepnęła popiół na biały śnieg.

– Dla niektórych ludzi czasami lepiej jest odejść wcześniej – powiedziała cicho.

– Co pani ma na myśli?

Z trudem zdusiła westchnienie.

– Tylko to, że widać tak musiało się stać. Nie ma co rozpamiętywać przeszłości. Ktokolwiek to zrobił, sam będzie musiał z tym żyć.

Nie drażył, choć powinien, bo kobieta zdawała się wiedzieć o wiele więcej, niż mówiła. Wrócił do domu i dopiero wówczas zrozumiał, jak dużo mu ta rozmowa dała. Zauważył ostatni rys psychopatycznego charakteru nożownika z Podkarpacia: Więch zabijał, bo po raz pierwszy poczuł, że ma nad czymś kontrolę, że matka i żona nie decydują za niego.

Teraz jednak w tej sytuacji, kto był bardziej winien? On czy nieżyjący już Więch? Czy jego jedna ofiara była ważniejsza od sześciu ofiar Więcha? Czy zabijając go, pomścił je, czy też wręcz odwrotnie – ostatecznie odebrał im pamięć, gdyż nazwisko prawdziwego sprawcy nigdy nie wyszło na jaw?

Nie wiedział. I nie chciał wiedzieć.

Kolejny kamień potoczył się po asfaltowej drodze. Czarnecki zobaczył, że czerwony samochód nadjeżdża od strony skansenu. Mimowolnie poczuł, że serce mu przyspiesza.

Od dnia wybuchu w piwnicy widział się z Dobrosławą kilka razy, oczywiście w celach służbowych. Zazwyczaj na jasielskiej komendzie, ale nigdy u niej w domu. Nie dałby rady spotkać się z jej rodziną, nie był w stanie spojrzeć w oczy ani jej matce, ani siostrze. Nie był w stanie wytłumaczyć sobie, że przecież zrobił wszystko, co mógł w tej sytuacji. Jeden z chłopców zginął, takie były fakty.

Czerwony samochód zatrzymał się na poboczu. Strzeliły otwarte i zamknięte drzwi. Dobrosława stanęła obok niego.

– Dzień dobry, komisarzu – powiedziała.

Dziś po raz pierwszy przyjechał do niej prywatnie. Patrzył, jak kobieta wyciąga papierosa i odpala.

– Jak się czuje pani siostra? – spytał cicho.

Wydymuchała dym.

– Kiepsko – przyznała. – Wciąż nie może sobie wybaczyć, że ich wtedy nie odebrała. Cały czas wyrzuca sobie, że gdyby nie to, nic by się nie wydarzyło.

– Tego nie może być pewna. Podejrzewam, że Malwina Myśliwiec czekałaby do skutku, aż nadarzy się okazja.

Spojrzała na niego tymi swoimi brązowymi oczami, aż przeszły go ciarki.

– Ale wówczas moglibyście ją już wcześniej przymknąć w związku ze śmiercią Karoliny.

Miała rację jak zawsze.

– A Antek? – spytał.

– Pracuje z psychologiem – powiedziała wymijająco.

Zapadła ciężka cisza. Antek, oprócz kilku siniaków i zadrapań, ostatecznie wyszedł z wybuchu fizycznie bez szwanku. Zapewne dlatego, że w chwili eksplozji był już w tunelu, a główna siła uderzenia poszła jednak w piwnicę. Zofia, która była w centrum wybuchu, zginęła na miejscu, Alek, który według analiz musiał znajdować się przy samym wejściu, został przygnieciony odłamkami. Jedynie Antkowi było dane ujść z życiem. Tyle że z kompletnie zrujnowaną psychiką.

Przez dłuższą chwilę patrzyli, jak zachodzące zimowe słońce oświetla stoki wzgórz i dolinę nad rzeką.

– Ja... – zaczął Czarnecki. Chciał wyjaśnić jej, że w takim razie to już koniec, że właściwie to przyjechał dopytać o chłopca. Nie było mu

jednak dane.

– Komisarzu, ja wiem, po co pan przyjechał – przerwała mu. – Tak samo jak wiem, co się stało z prawdziwym nożownikiem z Podkarpacia.

Zastygł bez ruchu, w pół zdania, w pół ruchu, w pół mrugnięcia. Coś piknęło mu w okolicach klatki piersiowej, tak jakby serce również mu stanęło w tej samej chwili. Tak pewnie byłoby lepiej: paść tu trupem. Przyszłość skończyła się definitywnie. Nie miał już żadnej.

– Skąd...?

– To nie było trudne. Pani Monika ma bardzo dobrą pamięć, a ja, jak już komisarz miał okazję zauważyć, jednak całkiem nieźle łączę fakty ze sobą.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Oblizął spierzchnięte wargi. Co właściwie powinien zrobić? Nie miała żadnych dowodów, żadnego potwierdzenia, że jej teza jest prawdziwa. Nie odważy się, nie spróbuje... jednocześnie doskonale wiedział, że detektywka rzeczywiście coraz lepiej sobie radziła, może nawet już lepiej od niego. Był stary, węch mu się stępił, pamięć zawodziła. Wolał jednak skończyć na emeryturze niż w pierdłu.

„Przede wszystkim nie tracić zimnej krwi”, pomyślał.

– I co zamierza pani zrobić z tą wiedzą?

Uśmiechnęła się jak Mona Lisa.

– Wiedza, komisarzu, to bardzo cenna rzecz.

A więc tak. Szantaż? Czy tylko trzymanie w szachu? Nie wiadomo, co gorsze. Nie wiadomo, jak rozegrać tę partię, by wyjść z niej zwycięsko. W sumie to tak na dobrą sprawę najlepiej byłoby po prostu pozbyć się pani detektyw.

Gdyby tylko Paweł żył!

– Ale proszę, komisarzu, się nie martwić. Niektórzy ludzie po prostu sami zgotowali sobie ten los i nie trzeba już szukać winnego. – Popatrzyła na niego i znowu się uśmiechnęła.

Odetchnąłby z ulgą, gdyby nie to, że nie wiadomo dlaczego przeszły go ciarki. Niektórzy ludzie sami zgotowali sobie ten los... Czy to było tylko o Więchu?

Nie wiedział, jaki powinien być jego następny ruch, więc zdecydował się na najprostszy. Również się uśmiechnął, po czym podał jej rękę.

– Pani Dobrosławo, może to już najwyższy czas, byśmy oficjalnie przeszli na ty? Marcin.

Patrzył, jak detektywka płonie rumieńcem.

– Dobrosława. – Uścisnęła jego dłoń.

Słońce zniknęło już za wzgórzem, zostawiając po sobie jedynie krwawą lunę.

Wszystkie tajemnice wychodzą na jaw. Niektóre po prostu muszą dłużej na to czekać niż inne, niekiedy przykryte warstwą ziemi.

PODZIĘKOWANIA

Kochani, przed Wami (lub za Wami jeżeli czytacie te słowa już po lekturze) kolejny, trzeci już tom przygód detektywki Dobrosławy. Mam nadzieję, że dobrze bawiliście się przy tej, „przykrytej ziemią i prochami”, części. Jako że większość miejsc, która pojawia się w książce, istnieje naprawdę, należy się wam kilka słów wyjaśnienia.

Oczywiście prawdziwy jest skansen, tzw. Karpacka Troja, położony w dolinie rzeki Ropy, będący jednym z najważniejszych stanowisk archeologicznych w Polsce, do którego zresztą serdecznie was zapraszam, jeżeli będziecie w okolicy. Większość informacji na temat jego powstania oraz historii ludów zamieszkujących te tereny czerpałam z oficjalnej strony <https://karpackatroja.pl>, a także z artykułu A. Krzemińskiej, J. Garncarskiego oraz B. Nowackiego, *Karpackie Mykeny*, który ukazał się w styczniowym wydaniu „Świata Nauki” w roku 2004. Staralam się jak najwierniej oddać zawarte w nim fakty, a jeżeli mimo tego pozostały gdzieś jakieś nieścisłości lub błędy, powstały one wyłącznie z mojej winy. W większości prawdziwa jest również Trzcinica, jednak w kilku miejscach musiałam trochę nagiąć jej topografię, by dopasować ją do fabuły – mam nadzieję, że mi to wybaczycie. Pozostaje również kwestia tajemnego przejścia, które oczywiście nie istnieje. Jednak legendy o podziemnych tunelach są jak

najbardziej prawdziwe, więc kto wie, może jeszcze ich pozostałości zostaną kiedyś odkryte.

W tym miejscu chciałabym również podziękować zespołowi Wydawnictwa Kobiecego, bez którego ta książka nie ujrzałaby światła dziennego, a także wszystkim recenzentom oraz czytelnikom. Dziękuję za wszystkie miłe słowa oraz niecierpliwe dopytywania o kolejny tom. Jesteście najlepsi!

Autorka

SPIIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

Podziękowania

Karta redakcyjna

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Wyklejka: © Imott11 / Stock.Adobe.com

Zdjęcie na okładce: © LIGHTFIELD STUDIOS / Stock.Adobe.com

Copyright © 2023 by Anna Kusiak

Copyright © 2023, Wydawnictwo Kobieta Agnieszka Stankiewicz-
Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego
uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-849-6



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobieta

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek